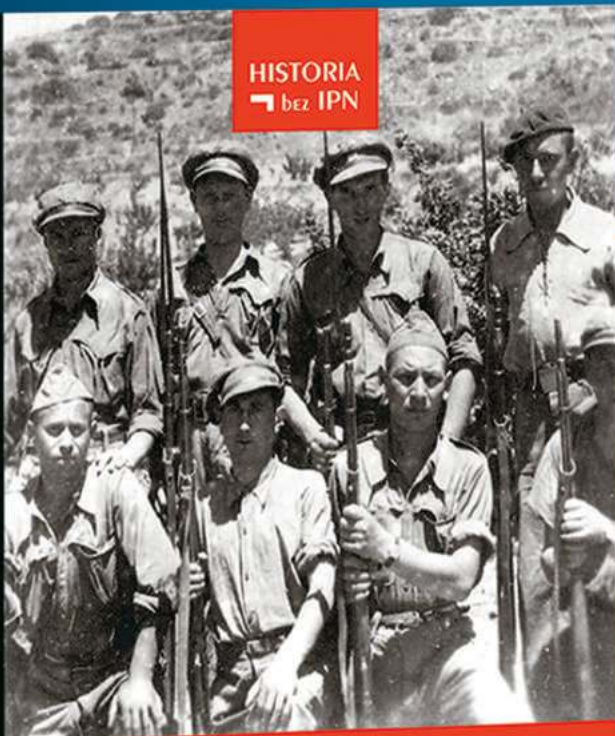


Zakopane szykuje się do żniw

JADĄ CEPRY, JADĄ



HISTORIA
bez IPN

PIOTR CISZEWSKI

DĄBROWSZCZACYNA ŚWIECIE SZANOWANI,
W POLSCE PONIŻANI**„DĄBROWSZCZACY”**

Autor demaskuje fałszerstwa prawicowej propagandy. Pokazuje ochotników i ochotniczki z Brygad Międzynarodowych walczących w Hiszpanii. Ludzi ideowych i odważnych, a przy tym niepozbawionych wad. Ich losy były niezwykle powikłane i dramatyczne.

49 zł

NIE ZWLEKAJ Z PREZENTEM!**TO NAJLEPSZA KSIĄŻKA
POD CHOINKĘ**

Książkę można kupić, wpłacając 49 zł oraz opcjonalnie koszt wysyłki (bezpłatna wysyłka pocztą) na konto wydawcy PRZEGŁĄDU 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821 Fundacja Oratio Recta, 03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7, lub przez sklep internetowy: www.sklep.tygodnikprzeglad.pl

Gwarancją dostawy przed świętami jest wybór przesyłki kurierskiej, złożenie i opłacenie zamówienia do 17 grudnia!

Wybierz sposób dostawy:

- GRATIS wysyłka poleconą Poczta Polska
- dostawa kurierem FedEx 14,90 zł
- darmowa wysyłka kurierska przy zamówieniu na minimum 200 zł

Więcej informacji: tel.: 22 635 84 10 wew. 111, e-mail: sklep@tygodnikprzeglad.pl

CYTATY

BP TADEUSZ PIERONEK

Wielu księży w Polsce patrzy z ukosa na papieża Franciszka. „Zdanie”

DANIEL PASSENT, komentator

Spośród wszystkich kłamstw doby obecnej najbardziej beczelnym były (są) kłamstwo smoleńskie i kłamstwo o Polsce w ruinie. „Polityka”

MAJA KLECZEWSKA, reżyserka teatralna

Cały czas jesteśmy zbyt delikatne, zbyt ostrożne i nic się w naszym kraju nie zmienia. „Wysokie Obcasy”

RAFAŁ OLBÍŃSKI, malarz grafik

Maluję coraz więcej, bo ciągle mam zamówienia, ludzie są ciekawi moich obrazów. „Charaktery”

MÓJ PRZEGLĄD

Jerzy Domański



Profesorze, pamiętamy

Niewielu poznałem ludzi, którzy tak zasługują na szacunek jak prof. Zdzisław Sadowski. Niezwykły, choć jakże polski, życiorys. I wybitna, urzekająca osobowość. Odszedł mąż stanu. Patriota w najlepszym wydaniu. Całe życie w służbie ojczyźnie. Tej i takiej, która realnie była.

Czy robiąc w czasie wojny tajną maturę, należąc do Narodowych Sił Zbrojnych i Armii Krajowej, mógł przypuszczać, że droga życiowa i służba publiczna doprowadzą go do funkcji wicepremiera i przewodniczącego Komisji Planowania w rządzie też profesora i też ekonomisty Zbigniewa Messnera? I do wieloletniego kierowania Polskim Towarzystwem Ekonomicznym? Ponad 30 lat spotkań i bardzo ważnych dla mnie rozmów. Choćby o tym, jakie wnioski wyciągnął z powstania warszawskiego. Bo o odwadze kpr. pchor. Sadowskiego, żołnierza Grupy Bojowej „Krybar”, ciężko rannego, z niechwytną do końca życia ręką, więcej dowiadywałem się od innych. Mówił: „Poszedłem do powstania z taką opinią i wyszedłem z niego z taką samą – że podjęto działanie bez sensu, kompletne szaleństwo, ale to wspólna dola, trzeba wziąć udział i robić, co się da”. Prawie wszyscy z jego klasy zginęli. Powstanie dla niego było nie zwycięstwem, tylko wielką klęską. Sam stał się po wojnie więźniem politycznym. Mimo to uważał, że najważniejszy jest osobisty udział w odbudowywaniu gospodarczym Polski, bo kraj był w strasznym stanie.

A gdy po Październiku '56 pojawiły się szanse na reformowanie gospodarki, brał coraz aktywniej udział w poprawianiu, a później w zmienianiu systemu. Był współautorem reform gospodarczych w latach 80. Obowiązujący dziś pogląd, że te reformy zaczęły się od prof. Balcerowicza, jest tylko propagandowym mitem. Bo już w lutym 1982 r. zlikwidowano obligatoryjne planowanie centralne jako zasadę sterowania gospodarką. A w samorządach działały setki tysięcy osób, które później wykorzystały te doświadczenia w gospodarce rynkowej. Reformy rynkowe inicjowane przez prof. Sadowskiego i wielu jego współpracowników były mocną podstawą tego, co się działo po 1989 r.

Ale od początku przestrzegał przed skutkami społecznymi reform. Masowym bezrobociem i upadkiem zakładów oraz marginalizowaniem roli państwa. Uważał, że zmiana systemu mogła i powinna być znacznie mniej kosztowna dla społeczeństwa i gospodarki.

Niestety, nowej władzy zabrakło uczciwości w ocenie wysiłków poprzedników. A w przypadku prof. Sadowskiego, bezpartyjnego, wybitnego fachowca, ten dorobek był ogromny. Wierzę, że historia doceni go na miarę ogromnych zasług dla Polski.

FAUL

Walczyłem, panie, walczyłem

Obłuda i fałszowanie historii stały repertuar prawicy. Nic więc dziwnego, że i w tym roku politycy PiS i PO tradycyjnymi kłamstwami opisywali rocznicę stanu wojennego. Coraz odważniejsi w krytyce ludzi, którzy przekazali im władzę na aksamitnej poduszce. Z każdym rokiem rośnie też ich rola w walce ze starym systemem. Tyle w tym prawdy, ile mają umiejętności w rządzeniu krajem. I uczciwości w sięganiu do państwowej kasy. Dowodów na bohaterские czyny nie ma, nawet ktoś tak usłużny jak prezes IPN Szarek nie wykopie ich z archiwów. Niebawem wykopią ich wyborcy.

BAKOWSKI



W NUMERZE

KRAJ

- 8 **Jadą cepry, jadą**
Zakopane szykuje się do żniw
- 14 **Wrzuceni na głęboką wodę**
Z domu dziecka w bezdomność
- 17 **Uliczny bałagan**
„Niesłuszni” patroni wracają
- 20 **Mazur nie zmienił Dąbrowszczaków**
Zamieszanie z nazwami w Olsztynie
- 21 **Jak „prawdziwy pies” został złym gliniarzem**
Poszkodowany przez swoich
- 24 **I tylko Uszatka żał**
Upadki łódzkiego Se-ma-fora

ZAGRANICA

- 28 **Kontynuacja czy nowy początek?**
Korespondencja z Berlina
- 32 **Zaryglowane drzwi do amerykańskiego snu**
Exodus wywołany zmianą klimatu
- 36 **Demokracja, rzecz zbędna**
Młodzi doceniają inne wartości
- 54 **Telefon z drogi**
Przypadki tłumacza z Darfuru

DALEKA BRUKSELA BLISKA LUDZIOM

- 31 **Mapa drogowa edukacji**
– rozmowa z Krystyną Łybacką

PRZEGŁĄD ZWIĄZKOWY

- 38 **Spory zbiorowe na nowo?**

KULTURA

- 40 **Andrzej Seweryn pół wieku na scenie**
Obce mu kaprysy gwiazdy
- 44 **Kulturalia**
- 66 **Hawrot + Krajewska + Waliszewska**

HISTORIA

- 46 **Nędza nie zniknęła**
Zanim pojawiło się państwo dobrobytu

NAUKA

- 50 **Czym nas kosmos jeszcze zaskoczy?**
– rozmowa z dr. Krzysztofem Ziolkowskim

OBSERWACJE

- 58 **Pluszowe kajdanki pod choinkę**
Boże Narodzenie – nowa świecka tradycja

FELIETONY I KOMENTARZE

- 3 **Jerzy Domański**
Profesorze, pamiętam
- 35 **Jan Widacki**
Sensacja?
- 39 **Roman Kurkiewicz**
Pamela kontra polskie dzbany
- 43 **Tomasz Jastrun**
Nie ma żartów
- 53 **Ludwik Stomma**
Dobry książd
- 57 **Edward Mikołajczyk**
Ślepa kiszka Europy

I TYLKO USZATKA ŻAŁ

Upadki
łódzkiego
Se-ma-fora

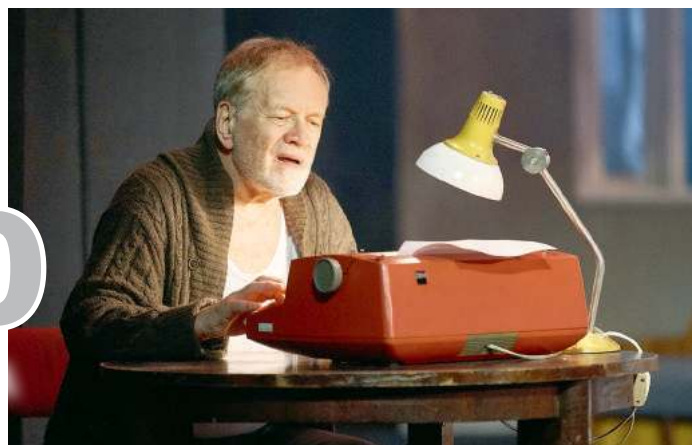
24
KRAJ



ZARYGLOWANE DRZWI DO AMERYKAŃSKIEGO SNU

Exodus wywołany zmianą klimatu

32
ZAGRANICA



ANDRZEJ SEWERYN PÓŁ WIEKU NA SCENIE

Obce mu kaprysy gwiazdy

40
KULTURA

Projekt okładki: Iza Mierzejewska

FOT. TADEUSZ KONIARZ/REPORTER/EAST NEWS



NIESPODZIANKA.

Polityk, który może namieszać!

PROF. BOGDAN GÓRALCZYK

Chiny chcą być numerem 1 w świecie

REMIGIUSZ MRÓZ

Potyczki z wydawcami

JERZY STUHR

Moja szkoła to „Pat i Pataszon”

Nominacja za miliony Czarotoryskich

W konkursie Grand Press jury nominowało do nagrody za najlepszy tegoroczny news artykuł Leszka Konarskiego „Znikające miliony u Czarotoryskich” zamieszczony w PRZEGŁĄDZIE nr 13 z 26 marca br. Jako pierwsi ujawniliśmy w nim, że z konta krakowskiej Fundacji XX. Czarotoryskich w tajemniczy sposób zniknęło 100 mln euro, które minister kultury i dziedzictwa narodowego Piotr Gliński przekazał za sprzedaż obiektów muzealnych, biblioteki i budynków. Po trzech dniach, w wyniku naszej publikacji, pieniądze zostały odnalezione w... Lichtensteinie.

Główną nagrodę w kategorii News otrzymał zespół dziennikarzy portalu Onet za cykl artykułów „Afera taśmowa. Kelnerzy obciążają Morawieckiego”. Natomiast nasza redakcja, zgodnie z ustawą o rzeczach znalezionych z 20 lutego 2015 r., powinna otrzymać od ministra kultury 10% znaleźnego, czyli 10 mln euro. Wydaje nam się jednak, że ani Adam Karol Czarotoryski nie zwróci 100 mln, ani my nic nie dostaniemy od ministra.

Nadal nie możemy zrozumieć, jak można niezauważenie przekazać na konto zagranicznej instytucji 100 mln euro, skoro wszystkie polskie banki mają ustawowy obowiąz-

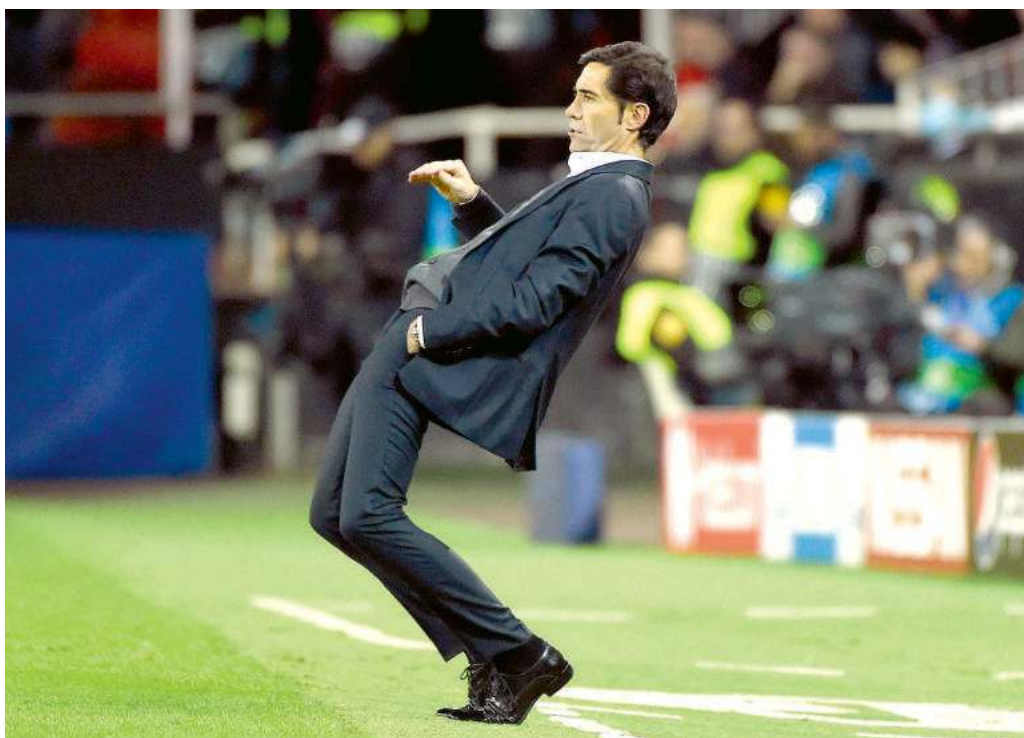


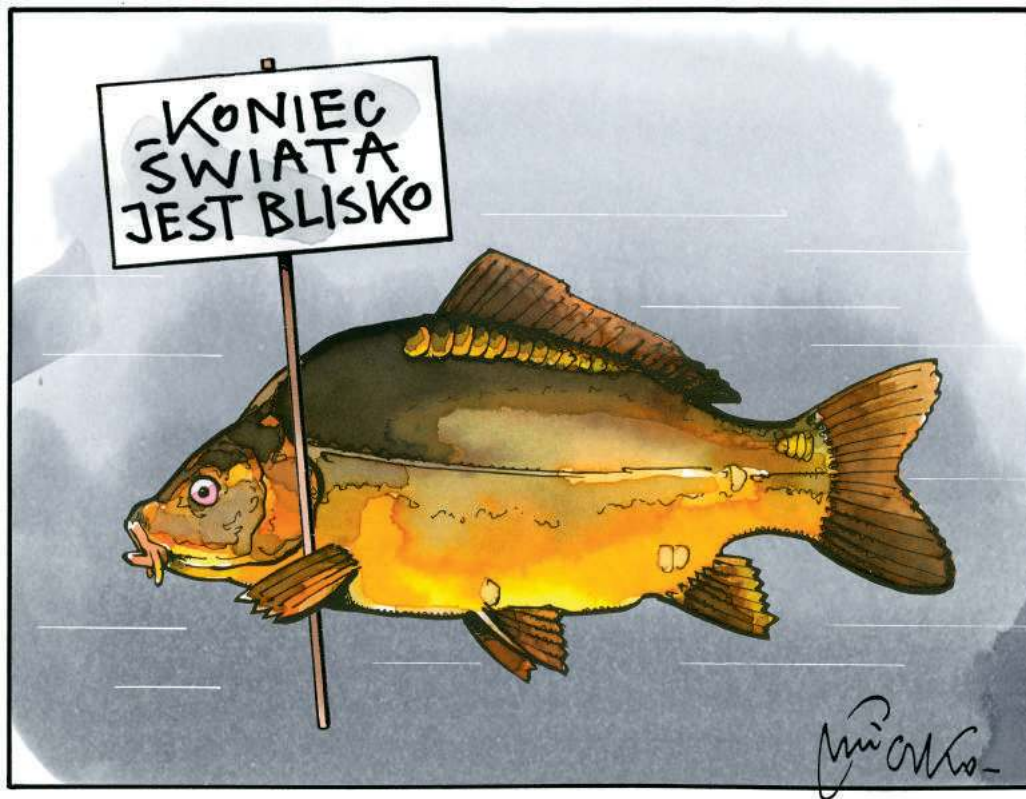
zek rejestrowania przelewów przekraczających kwotę 15 tys. euro lub jej równowartość i informowania o tym

właściwych urzędów skarbowych w celu sprawdzenia, czy pieniądze nie pochodzą z przestępstwa. W wypadku podejrzanych operacji finansowych urząd skarbowy ma obowiązek zawiadomić Generalnego Inspektora Informacji Finansowej. Od ponad pół roku sprawę badają Najwyższa Izba Kontroli oraz służby finansowe. Do dzisiaj nie ma wyników kontroli przeprowadzonych w Fundacji XX. Czarotoryskich.

ZDJĘCIE TYGODNIA

Co trener ma na myśli? Marcelino García Toral, trener klubu Valencia CF, podczas meczu z Manchesterem United w Lidze Mistrzów UEFA.





www.mleczo.pl

www.sklep.mleczo.pl

PYTANIE TYGODNIA | Telewizja, Kościół, sąsiedzi – kto nam mówi, jak jest?

PROF. JAN WOLEŃSKI,
*filozof, Wyższa Szkoła Informatyki
i Zarządzania w Rzeszowie*

To zależy, w jakiej kwestii. Drugiej w kolejności instytucji w ogóle nie dowierzam, chyba że mówi o sprawach nadprzyrodzonych, które mnie akurat nie interesują. Poleganie na jej osądach w sprawach społecznych jest dość ryzykowne. Jeśli chodzi o sąsiadów, to jeżeli chcemy się dowiedzieć, czy klatka schodowa jest posprzątana lub czy spotkali kogoś na ulicy, zwykle mówią, jak jest. W innych kwestiach na ocenę rzeczywistości będą wpływać ich poglądy, przy czym będą przekonani, że mówią prawdę. Najbardziej ufalbym środkom masowego przekazu, pod warunkiem że ich wiarygodność jest potwierdzona, czego nie można powiedzieć o obecnych mediach publicznych. Jednak inne telewizje również mają swoje poglądy polityczne, dlatego warto korzystać z różnych źródeł informacji i być wobec nich krytycznym. Im źródło bardziej zideologizowane, tym mniej wiarygodne.

PROF. STANISŁAW OBIREK
antropolog kultury, UW

Ludzie są różni i różne bodźce zewnętrzne wpływają na ich myślenie o świecie. Mam

jednak wrażenie, że zdecydowana większość Polaków ogląda rzeczywistość przez filtr tego, co usłyszy w kościele. Ten przekaz jest wzmacniany przez sprzężony z nim przekaz mediów rządowych, w których regularnie pojawiają się księża oraz komentatorzy bardzo liczący się ze zdaniem Kościoła. Jedynie mniejszość, co mówię z poczuciem pewnej frustracji, a nawet przegranej, uważa wspomniane dwa przekazy za fałszujące rzeczywistość i nie tylko nie ulega ich wpływom, ale wręcz myśli zupełnie odmiennie. Od zawsze staram się myśleć krytycznie, tzn. żadne zewnętrzne wyznaczniki nie określają mojego światopoglądu. Zamiast tego staram się wyznaczać własny azymut.

WIESŁAW GAŁĄZKA
dziennikarz, Dolnośląska Szkoła Wyższa

Według mnie te źródła są ułożone we właściwej kolejności. O otaczającej nas rzeczywistości dowiadujemy się przede wszystkim z telewizji, którą oglądamy. Praktykujący katolicy bardzo wiele dowiadują się z ambony. Natomiast wydaje mi się, że mamy coraz mniej okazji do rozmowy z sąsiadami, przynajmniej ci z nas, którzy dużo pracują. Co więcej, jak wynika z mojego doświadczenia, gdy już ich spoty-

kamy, staramy się rozmawiać na neutralne tematy, bo nie wiemy, jakie mają przekonania. Z tymi, o których wiemy, że mają poglądy podobne do naszych, po prostu sobie przeklinamy. Bardzo ważną rolę odgrywa obecnie internet. Niestety, wielu rzeczy dowiadujemy się z hejtu i bardzo często nie szukamy nigdzie głębiej.

czytelniczy PRZEGLĄDU



TERESA KOMOROWSKA

Wszystko zależy od nisz czy też plebienia, do których się należy. Dla jednych będzie to kolorowy magazyn, dla drugih „Tygodnik Powszechny”, jeszcze inni wolą „Independent”, CNN czy telewizja Rosija 1. Najgorsze, że każde plemię uważa, że to jego medium ma monopol na prawdę.

KAMIL ŁUKASZEK

Postawy życiowe Polaków tworzą korporacje i wielki biznes za pośrednictwem mediów, co jest zgodne z interesem wszystkich kapitalistów *en bloc*. Wbrew pozorom Kościół ma niewielki wpływ na codzienne wybory społeczeństwa.

Not. Michał Sobczyk

JADĄ CEPRY, JADĄ

Wkrótce pod Tatry ściągnie rzesza ludzi. Zakopane szykuje się do żniw

Paweł Grocholski

Najpierw ceny – w przygotowaniu są nowe cenniki. Godzina jazdy na nartach z instruktorem kosztuje niemal 100 zł, jednodniowa wycieczka z przewodnikiem na najwyższe tatrzańskie szczyty to już przeszło 1000 zł, uczestnictwo w trzygodzinnym kuligu – 120 zł. Obiad w góralskiej karczmie 45-60 zł, w barze mlecznym 22 zł. Nocleg od 40 zł w pensjonacie do 980 zł w hotelowym „apartamencie”. Niemal wszystkie dobre miejsca noclegowe w Zakopanem na okres świąt i sylwestra zostały już wykupione.

ZAKOPIANKA

Przyjazd do Zakopanego w szczycie sezonu oznacza trening cierpliwości. Słynna zakopianka jest w ciągłej budowie, o której zakończeniu wiemy tyle, że już miało nastąpić, ale przesunęło się w czasie. W dodatku szerzą się pogłoski o kłopotach finansowych głównego wykonawcy robót. Trudy tej ekspedycji zostaną nam wynagrodzone widokami banerów reklamowych, najczęściej informujących o magicznych wręcz zdolnościach nowotarskich medyków, którzy nie



Kto będzie miał szczęście, może trafić na góralskie wesele.

ne w czasach, kiedy ludzie nie mieli tylu samochodów. – Nanosząc korekty i zmiany, prowadzimy wyścig z inwestorami wykorzystującymi tę lukę – mówią w urzędzie miasta.

Tymczasem w celu odciążenia zakopiańskich ulic burmistrz Leszek Dorula, mimo protestów części prywatnych przewoźników, rozpoczął tworzenie komunikacji miejskiej. Powoli, ale konsekwentnie kupowane są nowe, ekologiczne autobusy, które kursują punktualnie, są czyste, a cena

ski Park Narodowy od stycznia do września tego roku.

Zakopane łączy najbiedniejszych z najbogatszymi, miłośników gór z tymi, którzy gór nie znoszą, profesorów z osobami bez wykształcenia. Biznesmeni spacerują z ekologami, a dandysi lub hipsterzy ze sportowcami. Obok rodzin z dziećmi pojawiają się bardzo młodzi ludzie w stadium pierwszego w życiu tańca godowego, a między nimi już trochę starsi wytrawni single na łowach. Wszyscy spotykają się na Krupówkach i kupują oscypka lub jakąś tanią, regionalną pamiątkę. Ciupagi, pluszowe misie lub owce, chusty, magnesiki na lodówkę, drewniane koraliki, zabawki, łyżki, kamienie półszlachetne, a nawet bursztyny i elementy stroju góralskiego. Każdy coś dla siebie znajdzie. Najmłodsi tradycyjnie wybiorą strzelające kulki lub diabełki, ale w głębi serca i tak będą marzyć o plastikowym pojemniczku z substancją o nazwie glut lub baloniku z „helem do gadania”.

Zakopane łączy najbiedniejszych z najbogatszymi, miłośników gór z tymi, którzy gór nie znoszą, profesorów z osobami bez wykształcenia.

tylko za pomocą licznych operacji powiększają piersi i zmniejszają brzuchy, ale najwyraźniej posiadli też tajemną wiedzę o tym, jak zatrzymać czas i przerwać proces starzenia się.

Ulice Zakopanego z perspektywy kierowcy są już bezpieczne – samochody jeżdżą tak wolno, że blokują ruch furmanek. Kłopot jedynie z zaparkowaniem. Niestety, do dziś wydawane są pozwolenia na budowę obiektów z np. 120 miejscami noclegowymi i tylko 30 parkingowymi. W miejscowym planie zagospodarowania pokutują jeszcze zapisy tworzo-

przejazdu wynosi 3 zł. Jednocześnie urząd miasta, Tatrzański Park Narodowy i lokalne media prowadzą kampanię zachęcającą turystów do pozostawiania samochodów w miejscu noclegu i korzystania z autobusów.

NAJAZD

Wiadomo, że znów przyjadą tłumy. Szacuje się, że sama impreza sylwestrowa na Równi Krupowej przyciągnie 80-90 tys. widzów. Oni raczej nie pójdą w góry. W odróżnieniu od 3 mln, które odwiedziły Tatrzań-

TRUCICIELE

Skrywaną w najgłębszej tajemnicy plagą trapiącą zimową stolicę Polski są pluskwy. Listopad i grudzień to

czas panów trucicieli. – Bywaliśmy już nawet w najbardziej luksusowych, zrobionych ze szkła i betonu obiektach – mówią z nieskrywaną dumą. – Owady, z którymi walczyliśmy, prowadzą nocny tryb życia, chowają się w zagięciach kanap, w wykładzinach, a nawet w ramach obrazów. Przenoszone są w walizkach i na ubraniu. Z roku na rok ich przybywa. Żywią się krwią gości, ale najpierw wstrzykują im substancję znieczulającą, ukąszenie nie boli, dopiero potem zaczyna śwędzieć.

Pluskwy wytrzymują niskie temperatury, nie szkodzi im też brak pożywienia, wygłodniałe hibernują, do tego są małe i odporne na zgniatanie. Truciele hermetycznie zamykają zaizolowane pomieszczenie, następnie zakładają maski i rozpylają substancję chemiczną zachęcającą pluskwy do wyjścia z kryjówek. Finałem jest rozpylenie trucizny i ewakuacja trucicieli. Wypranie wszystkich wykładzin, dywanów, firanek i innych tkanin należy już do obsługi hotelu.

ŚNIEŻOCE

Skomplikowanym elementem przygotowań do sezonu zimowego jest konieczność uporania się ze sprzecznymi oczekiwaniami gości w stosunku do śniegu. Z jednej strony, wczasowicze chcą lśniącego w słońcu białych gór i przysypanych śniegiem górskich chat, z drugiej, śliska nawierzchnia lub niechlujnie odśnieżone parkingi wywołują u nich gniew i chęć procesowania się. Najbardziej pod tym względem wymagający są goście z Polski i Ukrainy. Turyści z bogatszych państw są o wiele bardziej tolerancyjni. Ale to inny temat. Górale muszą więc magazynować zarówno sól służącą do rozpuszczania śniegu, jak i sam śnieg. A w tym roku piękna i sucha jesień spowodowała, że jest mało wody. Wielu właścicieli wyciągów zwlekało zatem z rozpoczęciem produkcji sztucznego śniegu, jednak utrzymujące się w ostatnim tygodniu listopada niskie temperatury sprawiły, że niemal na wszystkich stokach ruszyły armatki śnieżne.

Sztuczne śnieżenie jest trudne. Praca trwa najczęściej w nocy i wymaga ciągłej uwagi: trzeba analizować prognozy pogody, sprawdzać temperaturę powietrza i kierunek wia-

tru. Przez drobny błąd popełniony na początku sezonu narciarze do końca zimy będą jeździli po lodzie lub wcale nie będą jeździli. Zbyt wcześnie rozpoczęte śnieżenie może nadweryżać zapasy wody. Jeśli zacznie się zbyt późno – trzeba będzie śnieżyc, gdy na stoku pojawią się narciarze. A niepisana zasada lub raczej elementarna kultura wymaga, by armatki śnieżne już wtedy nie pracowały.

Śnieżoce, bo tak nazywani są pracownicy odpowiedzialni za śnieżenie, w zależności od pogody albo snują się bezrobotni, albo pracują bez przerwy. Dłonie mają twarde, palce opuchnięte, oczy czerwone i zaróżnione twarze. W chwilach przerwy, bez zdejmowania ciepłych ubrań, przysiadają w przegrzanych kontenerach. Piją zalewaną kawę Prima z dużą ilością cukru i palą papierosy. W mil-

tury zmieniają siłę przepływu wody. Zwykle nie używają przy tym rękawic, nawet gdy odłączają węże doprowadzające wodę.

Złe, jeśli w ich szeregi wkradnie się alkohol. Dlatego niektórzy właściciele wyciągów wymagają od śnieżocy zaświadczenia „z Górki”. W Zakopanem na ulicy ks. Kaszelewskiego 9, w „kościeliku na Górcie”, jezuici od lat prowadzą działalność określaną mianem „duszpasterstwa trzeźwości”. Można tam złożyć przysięgę, że nie będzie się spożywało alkoholu. Trzeba tylko zadeklarować, przez jaki okres. Górale są honorowi i danego słowa dotrzymują. Jezuici wystawiają papierek, który dla pracodawcy jest gwarancją trzeźwego pracownika, dlatego wielu górali w ramach przygotowań do sezonu musi „iść na Górkę”. Lokalna społeczność



Na Krupówkach spotyka się całe Zakopane.

czeniu sprawdzają warunki atmosferyczne i czasem zrywają się do biegu, zostawiając wszystko. Na zewnątrz, w zamrożonym błocie stoją quady i samochody terenowe z kluczykami w stacyjce. Nieco później błoto znika, quady zastępowane są skutermi śnieżnymi, a pick-upy ratrakami. Śnieżoce podjeżdżają do armatek i nie wyłączając silników, wyskakują z pojazdów, następnie, czasem bluzgając siarczysto, wykonują konieczne operacje sprzętowe. Sprawdzają jakość śniegu, przesuwają armatkę, tak by sypała w odpowiednią stronę, oczyszczają łączenia przewodów z lodu lub w zależności od tempera-

szanuje te przysięgi, a powiedzenie „jestem na Górcie” uwalnia od bycia częstowanym alkoholem.

Przygotowanie zaśnieżonego stoku to już czynność rutynowa, pod warunkiem że ma się odpowiedni sprzęt. Bogate ośrodki, np. Białka, zakupiły nowe maszyny, ale mniejsze wciąż korzystają z nieśmiertelnych, sprowadzonych z Austrii ratraków. Urządzenia te dawno straciły swój jaskrawy kolor, dawno też w krajach, gdzie zostały skonstruowane, wycofano je z użytku. I podobnie jak w okręcie Tezeusza wymieniono w nich wszystkie części. Nie wiadomo zatem, może to są nasze polskie ratraki? ▶

► Jednym z nich zajmuje się Krzysztof Kułach, mechanik w wiosce Ząb, syn właściciela wyciągu. O maszynie, którą reperuje, mówi: – E, ja nie wiem, kielo ma roków. Silnik chodzi nawet dość, ale ta hydraulika, no syćkie przewody musiołek wymienić.

RATOWNICY

Najczęściej jeszcze w lecie TOPR prowadzi rozmowy dotyczące warunków pracy na stoku w zbliżającym się sezonie zimowym. Ustalane są wtedy przynajmniej trzy sprawy: kwestie finansowe, zorganizowanie i wyposażenie dyżurki oraz – jeśli to kolejka krzeselkowa (ostatnio po pańsku nazywana kanapą) – sporządzany jest plan ewakuacji. Kiedy te sprawy zostaną załatwione, na stok przyjeżdżają ratownicy i we współpracy z kolejarzami ćwiczą ewakuację na wypadek, gdyby kolejka

specjalnego przyrządu zjeżdżają po stalowej linii kolejki do krzeselka, gdzie czekają pozoranci. Montują system do opuszczania, ubierają jednego z pozorantów w trójkąt i opuszczają. Czynność trzeba powtarzać do opuszczenia wszystkich.

Problem w tym, że na wyciągu w jednej chwili może utknąć bardzo dużo ludzi. TOPR nie dysponuje wystarczającą liczbą ratowników, by szybko ich ewakuować, w związku z tym do części prac przyuczani są strażacy oraz pracownicy kolejek. Miejscami najbardziej zagrożonymi awarią są nowe wyciągi. W styczniu 2010 r. doszło do takiej sytuacji na Rusińskim Wierchu. Dzięki przedsezonowym ćwiczeniom, współpracownicy kolejarzy, straży pożarnej i TOPR udało się wszystkich uwolnić, zanim wpadli w hipotermię.

Niektórzy właściciele wyciągów wymagają od śnieżocy zaświadczenia „z Górki”.

opowiadając sobie anegdoty z dawnych czasów, kiedy rzeczywiście na szkoleniu zarabiali się sporo pieniędzy. – W sezonie 2001/2002 zarabialiśmy 50 zł za godzinę, odpalając wyciągowemu 5 zł za dzień, i to były dobre czasy. Teraz mamy 35 zł, natomiast klient płaci 95 zł szkółce i jeszcze musi kupić karnet. Harujemy po 12 godzin dziennie i tak naprawdę tylko wożymy tych ludzi – opowiada 60-letni instruktor z licencją SITN, którą trudno zdobyć; od lat pracuje na Kotelnicy Białczańskiej. Mimo to legenda o śnieżnych pieniądzach zarabianych jakby przy okazji zabawy i bez wysiłku pozostaje żywa.

SYLWESTER

Miasto Zakopane nieśpiesznie i z pozytywistycznym optymizmem szykuje się do powitania przyjezdnych. W przygotowaniu są liczne imprezy. Przykładowo Światowy Dzień Śniegu: już teraz miasto usypuje górkę, która ma stanowić żelazny zapas na tę okazję. Niestety, będzie o jedną górkę mniej, niż bywało, bo trzeba zostawić miejsce na plenerowego sylwestra. Szykowany jest też Slalomowy Maraton, gdzie po rozstawionym na Polanie Szmoszkowej slalomie zawodnicy będą jeździć przez 12 godzin. Rekordziści pokonują w tym czasie ponad 600 km, za każdy kilometr wypłacana jest pewna kwota pieniędzy na cel charytatywny. Szczegóły dopiero są ustalane.

O wszystkich imprezach dowiaduję się, pytając w urzędzie miasta o przygotowania do państwowego sylwestra. Tu nikt o nim nic nie wie lub nie chce mówić. Kierują mnie do naczelnika wydziału kultury, a stam-



Pamiątki z Zakopanego – nie do podrobienia.

przestała działać, a na linie pozostali uwięzieni ludzie.

Ćwiczenia wyglądają tak: kilku ratowników, określanych mianem pozorantów, wsiada na krzeselko, kolejarze uruchamiają wyciąg i wywożą pozorantów tak, żeby zatrzymali się między pierwszą a drugą podporą (żeby nie trzeba było daleko chodzić). Wtedy pozostali wędrują do drugiej, stojącej wyżej podpory. Są wyposażeni w dynamiczną linę wspinaczkową i trójkąt ewakuacyjny. Na podporę wychodzą pojedynczo, asekurowani liną z dołu. Następnie przy użyciu

Zwykle w połowie grudnia większość stoków jest już gotowa. I jeśli to ośrodek narciarski zatrudniający TOPR, przed otwarciem tras ratownicy dokonują tzw. odbioru. Robi się to jednorazowo, ale potem, w trakcie sezonu, trasy codziennie przed otwarciem są sprawdzane przez ratownika, który może ze względów bezpieczeństwa nie dopuścić do ich otwarcia.

INSTRUKTORZY

Na sezon niecierpliwie czekają instruktorzy narciarstwa i snow-

tańd do Zakopiańskiego Centrum Kultury. W centrum mówią, że o szczegółach decyduje sama TVP.

STRAŻNICY

W związku z sylwestrem Podhale musi się przygotować do przyjęcia gości, dla których sporty zimowe lub górskie wędrówki nie mają znaczenia. Okres świąt i Nowego Roku przyciąga do Zakopanego osoby lubiące prostą, taneczną muzykę, mocny alkohol i dania mięsne. Ludzie ci, gnani egzystencjalnym niepokojem, z jednej strony niemal do łez wzruszają się, słuchając o zmysłowej miłości i musującym winie pod Giewontem, a z drugiej są zdolni do bezwzględ- nego niszczenia niespodziewanych przeszkód stojących na ich drodze. Najczęściej są to kubły na śmieci, ale mogą być i witryny sklepowe. Szczęśliwie odkąd sylwestrowa impreza jest organizowana na Równi Krupowej, właściciele sklepów przy Krupówkach nie muszą już barykadować swoich lokali. Wcześniej w ramach przygotowań do sezonu musieli zabezpieczyć materiały do zastąpienia drzwi i okien. Zanim jednak tłumy doczekają się upragnionego sylwestra, ruszają w stronę Morskiego Oka.

Do tej masowej wędrówki muszą się przygotować zarówno pracownicy Tatrzańskiego Parku Narodowego, jak też policja. Od dwóch lat morskooczny tłum w okresie świąt usiłuje zmusić wszystkie służby do podstawienia autobusów, które go zwiozą. I reaguje gniewem, gdy się dowiaduje, że TOPR zwozi z gór tylko osoby realnie poszkodowane, a TPN wożeniem turystów w ogóle się nie zajmuje. Nieformalne przywództwo w tej masie przejmują młodzi mężczyźni, niekiedy chwalcący się wykształceniem prawniczym lub tym, że są notariuszami (rok 2017). Zachowują się przy tym bardzo agresywnie w stosunku do Straży Parku i opowiadają dużo o uciemiężonych matkach z dziećmi, niektórzy nawet poszturchują strażników. W przygotowaniu jest więc akcja informacyjna, że w Tatrach po zmierzchu robi się ciemno. TPN prowadzi także rozmowy z fiakrami, by ograniczyć liczbę osób wwożonych w górę, a zwiększyć zwożonych.

Tatrzański Park Narodowy jak co roku przygotowuje się do odważnej akcji „Nie strzelaj w sylwestra”. Uzasadnia ją w ten sposób: „Zanim odpalicie fajerwerki, zastanówcie się, czy w pobliżu nie ma zwierząt – dzikich, bezdomnych, domowych. Huk wywołuje u nich olbrzymi stres, a nawet ataki paniki, które mogą okazać się groźne dla ich zdrowia i życia. Nie bądźmy egoistami, świat należy nie tylko do nas, ludzi”.

BIEDRONKA

Do luksusowego hotelu Litwor w jego ostatnich latach funkcjonowania wędrowali goście z wielkimi reklamówkami z Biedronki. Witaił ich lokaj w liberii ze złotymi guzikami, a oni chyłkiem szli do pokoi, żeby się najeść, bo restauracja zbyt droga. Są jednak też tacy klienci pensjonatów oraz hoteli, którzy korzystają z możliwości zjedzenia posiłku przygotowanego przez kucharza. I patrzą z pogardą na tych biedronkowców, chociaż sami również zaopatrują się w Biedronce.

Bo w Biedronkach, podobnie jak na Krupówkach, znowuż wszyscy się spotykają. Obok studentów usiłujących się zorientować, czy dana bułka kosztuje 80 gr, czy może 1,40 zł, przeciskają się z wózkami osoby, które ze względu na swoje artystyczne dusze i zbolate ciała wybierają hotel Art i SPA, a teraz poszukują czegoś bezglutenowego. Zwieńczeniem ▶

ABC jak zdobyć PRZEGLĄD

Szanowny Czytelniku!

Jeśli masz problem
z kupieniem PRZEGLĄDU
lub dostawą prenumeraty

- **zadzwoń do nas: 22 635 84 10 wew. 120**
 - **napisz: kolportaz@tygodnikprzeglad.pl**
- Postaramy się rozwiązać ten problem.

A PRZEGLĄD można kupić

- w salonikach prasowych **Kolportera, Garmond Press, Pol Perfectu, GLM i Empiku**
 - w wybranych sklepach sieci **Auchan, Carrefour, E.Leclerc, Intermarche, Kaufland, Tesco, Żabka**
 - na stacjach paliw **BP, Circle K i Lukoil**
- Pełna lista sklepów na naszej stronie
www.tygodnikprzeglad.pl

B PRZEGLĄD można czytać w wersji elektronicznej jako e-wydanie.

Cena tylko 3,50 zł
sklep.tygodnikprzeglad.pl

C PRZEGLĄD można zaprenumerować.

Najlepiej w redakcji.
Zamówienie należy złożyć poprzez

- sklep.tygodnikprzeglad.pl
 - wpłacając odpowiednią kwotę na konto Fundacji Oratio Recta 72 1090 2851 0000 0001 2023 0921
- Szczegóły prenumeraty na s. 13
Informacje: tel. 22 635 84 10 wew. 120
kolportaz@tygodnikprzeglad.pl

zakupów będzie ser z koziego mleka, chociaż miała być ośmiornica w szpinaku. Niestety, ci przedstawiciele klasy średniej są naciskani przez chmary kupującej kielbasę i piwo młodzieży. Między nimi przemykają, już nie tacy młodzi, ale jeszcze nie starzy mężczyźni. Ich wzrok jest rozbiegany, a obecne w sklepie kobiety myślą im się z leżącymi na półkach towarami. W ostatecznym rozrachunku kupują jeden batonik lub trzy jabłka, a następnie rozpoczynają negocjacje w kolejce: – Mam tylko jedną rzecz, przepuściłbyś mnie? Tymczasem w kolejce stoją gaździnki zapopatrujące pensjonaty i one nie przepuszczają. Wtedy ci najwyraźniej przyzwyczajeni do wydawania rozkazów mężczyźni krzyczą głośno: – Dlaczego nie wszystkie kasy otwarte? Gdzie jest obsługa?! Oburzeni, z obłędem w oczach zawracają w alejki zablokowane przez dość nerwowe i nie zawsze zgodne rodzinki z dziećmi. Produkty z naciśniętych ze wszystkich stron półek lecą na podłogę; w końcu przejście zostaje zablokowane i pojawia się ktoś z obsługi. Drzę ze strachu, że naród zaraz rozszarpie ubranego na zielono nieszczęśnika, ale ten działa na wszystkich kojąco. Jego wschodni akcent i absolutny spokój łagodzą napiętą do granic możliwości atmosferę, ludzie robią przejście i nie przeszkadzają w sprzątaniu.

TATAR

Najbogatsi idą do restauracji Bubuja lub Zakopiańskiej i najchętniej wybierają dania z wołowiny. Pikantną ekstrawagancją wiążącą się z przełamaniem pewnego tabu jest ekskluzywny i kosztujący w Zakopiańskiej 40 zł tatar wołowy. Potrawa ta, kilka lat temu jeszcze niewyobrażalna na zakopiańskich salonach, zrobiła karierę w krupówkowym barze Meta Seta. Tam kosztowała ok. 10 zł i zamawiana nad ranem do ostatnich kieliszków wódki oznaczała gorzkie zakończenie nocy – surowe mięso z pieprzem i surowym jajkiem, bo nie udało się poderwać jakiegś dogma-



tycznej wegetarianki. Lądują tam też uliczni grajkowie o zmarzniętych dłoniach i zawsze gotowi do heroicznego boju zwolennicy któregoś z nieistotnych piłkarskich klubów. W powietrzu unosi się lekka, rzadka w Zakopanem nutka agresji.

Ludzie potrafiący docenić elegancję zaaranżowane wnętrza oraz sztuka góralskich cieśli, a nie tylko smak panierowanych ozorków w koprze włoskim, odnajdują leżącą u wylotu Doliny Chochołowskiej Ziębówkę. Inni tupać do Obrochtówki lub Karczmy

Skrywaną w najgłębszej tajemnicy plagą trapiącą zimową stolicę Polski są pluskwy.

przy Młynie. Niestety, w szczycie sezonu niemal wszędzie można się spodziewać kolejek do stolików. A potem w czasie jedzenia trzeba unikać głodnego wzroku czekających gości.

W polskim tłumie pojawiają się wędrujący z plecakami podróżnicy, tzw. backpackerzy. Wyglądają biednie, ale potrafią się stołować w drogich restauracjach. Nie znają języka i niekoniecznie przyciągają ich góry. Przyszli, bo w ich napisanym drob-

Na straganach pełno wszelakiego dobra.

nym drukiem granatowym przewodniku „Europe” w rozdziale „Poland” wskazano, że trzeba odwiedzić Wieliczkę, Auschwitz i Zakopane. Zamiast kompasu mają telefony, które bezbłędnie kierują ich w stronę hosteli. Jednym z nich jest Good Bye Lenin Hostel. Usytuowana na skraju słonecznej łąki, oparta o ścianę lasu stuletnia góralska chata z płazów jest jednym z niewielu miejsc w Zakopanem, gdzie ci podróżnicy czują się zupełnie bezpiecznie. Czasem przez pomyłkę przychodzą tu znani nam z Krupówek i Biedronki zwykli turyści. Myśleli, że zarezerwowali sobie nocleg w pensjonacie, a tu ludzie z całego świata siedzą i rozmawiają o dziwnych miejscach, muzyce, filozofii i problemach trapiących naszą planetę. Czasem zdumienie spodziewających się polskiego pensjonatu turystów przechodzi w zachwyt, kiedy indziej w zgorzzenie, wtedy mówią: – No jak

to, nie ma odsnieżonej, asfaltowej drogi, a obsługa nie mówi po polsku? Niekiedy reakcją jest zawstydzony, podobny jak w Litworze, uciekanie do pokoju. Ale matematyk Tomek, z którym się wspinałem, jest zadowolony. – Nie sądziłem, że w Zakopanem spotkam osoby z Nowej Zelandii, Australii i Ameryki. Do tego jeszcze goście z całej Europy, od Ukrainy po Hiszpanię!

Klienci hosteli są jednymi z nielicznych zakopiańskich gości chętnie wybierających potrawy jaskie. Tymczasem przycupnięte nieśmiało na ulicy Witkiewicza Sushi zostało zamknięte, a bar wegetariański uzupeł-

nił ofertę o kotlety mielone i schabowe. W związku z tymi trudnościami backpackerzy gotują sobie sami w dostępnej dla wszystkich hostelowej kuchni, oczywiście z produktów zakupionych w Biedronce. Czasem zbierają się w grupę i wspólnymi siłami z pomocą translatora Google usiłują zamówić pizzę z Adamo. Sukces na tym froncie świętują tańcem i śpiewem przeciągającymi się długo w noc.

Paweł Grocholski

Mądry prezent pod choinkę



Prenumerata 2019

**W ciągu roku
8 numerów gratis,
czyli 2 miesiące
za darmo!**

PRENUMERATA

Roczna
Półroczna
Kwartalna

ekonomiczna:

289 zł
149 zł
79 zł

priorytetowa:

329 zł
169 zł
89 zł

sklep.tygodnikprzeglad.pl

tel.: 22 635 84 10 wew. 120

kolportaz@tygodnikprzeglad.pl

DOWÓD / POKWITOWANIE DLA WPLACAJĄCEGO

nr rachunku odbiorcy
72 1090 2851 0000 0001 2023 9821

nr rachunku odbiorcy c.d.

odbiorca:
Fundacja Oratio Recta
ul. Inżynierska 3 lok. 7
03-410 Warszawa

kwota:

zleceniodawca:

tytułem:

Prenumerata

nazwa odbiorcy		Fundacja Oratio Recta	
nazwa odbiorcy cd.		ul. Inżynierska 3 lok. 7, 03-410 Warszawa	
nr rachunku odbiorcy		7 2 1 0 9 0 2 8 5 1 0 0 0 0 0 0 1 2 0 2 3 9 8 2 1	
Polecenie przelewu / wpłata gotówkowa		W P waluta kwota	
nr rachunku zleceniodawcy (przelew) / kwota słownie (wpłata)			
nazwa zleceniodawcy			
nazwa zleceniodawcy cd.			
tytułem		Prenumerata redakcyjna (ekonomiczna lub priorytetowa)	
tytułem cd.			
eprasa.pl 2e16616d87			

Katarzyna Wierzbicka

Umiesz liczyć, licz na siebie – mówi zdecydowanym tonem niewysoki, ciemnowłosy chłopak, patrząc w ziemię. – Ja tam się cieszę z tego, co mam: jestem na wolności, pracuję. Nikogo nie muszę o nic prosić – jego głos lekko się zmienia. – Brakuje tylko kogoś bliskiego.

Marcin ma 25 lat. Z tego 14 spędził w domach dziecka i innych placówkach. Rozmawiamy podczas jego długiej przerwy w pracy. W kilkudziesięciu minutach ujmuje swój życiorys: picie rodziców i domowe awantury, zabranie z domu razem z dziewięciorgiem rodzeństwa, dom dziecka, problemy z narkotykami, śmierć matki. Najbardziej uderza mieszkanie samowystarczalności i tęsknoty: „od nikogo niczego nie chcę” na zmianę z „dobrze byłoby mieć kogoś, do kogo się wraca po pracy”.

Byli wychowankowie domów dziecka samodzielne życie zaczynają bardzo wcześnie – Marcin, idąc na „swoje”, miał 21 lat. Niektórzy są jeszcze młodszy. Emocjonalnie poturbowani, pozbawieni wsparcia bliskich, zaczynają od zera.

ZOSTAWIENI SAMYM SOBIE

– Kiedy osiem lat temu zmarła moja mama, straciłem zupełnie kontakt z dalszą rodziną – opowiada Marcin. – Jak wyszedłem, byłem sam. Złożyłem wniosek o przyznanie mieszkania, ale sąd zdecydował, że mi się nie należy, bo mój ojciec ma zadłużone mieszkanie w Sochaczewie. Musiałem wrócić do ojca. Przez te wszystkie lata nic się nie zmieniło. Potem ojciec kazał mi się wynosić.

– Pamiętam, że z domu zabrano nas jakoś tuż przed Wigilią – 22-letni Patryk zawiesza głos. – W domu dziecka spędziłem 11 lat. Moje dwie młodsze siostry zostały adoptowane, przez jakiś czas nie miałem z nimi kontaktu. Adoptyjni rodzice go sobie nie życzyli. Teraz mam kontakt ze starszą, która jest już dorosła.

Patryk placówkę opuścił zaraz po skończeniu 18 lat. Na odchodne dostał 3,9 tys. zł i przydział na mieszkanie, tyle że musiał na nie czekać dwa lata. – Pieniądze szybko mi się skończyły, a mieszkania wciąż nie miałem. Jakiś czas byłem bezdomny.

WRZUCENI NA GŁĘBOKĄ WODĘ

Domy dziecka opuszcza co roku 5-6 tys. wychowanków powyżej 18. roku życia. Zmuszeni do ekspresowego wejścia w dorosłość, często mogą liczyć tylko na siebie

Po jakimś roku snucia się po noclegowniach Patryk zgłosił się do Fundacji Po DRUGIE, zajmującej się m.in. młodymi bezdomnymi i byłymi wychowankami placówek. Fundacja zapewnia im pomoc psychiatryczną i psychoterapeutyczną oraz wsparcie w wychodzeniu na prostą. Jednym z jej projektów jest program mieszkań treningowych – podopieczni uczą się w nich samodzielnego życia.

– W domach dziecka rzadko przebywają sieroty, które straciły rodziców w wypadku – mówi Agnieszka Sikora, prezeska fundacji. – Większość to dzieci, które zabrano od rodziców, bo działa im się krzywdą. Jeśli nie dostają odpowiedniego wsparcia, często wracają do domów, z których kiedyś je zabrano i w których nic się nie zmieniło. Albo na ulicę.

Zabrano nas jakoś tuż przed Wigilią. W domu dziecka spędziłem 11 lat.

Wedle ustawy byłym wychowankom placówek opiekuńczych przysługuje mieszkanie socjalne i jednorazowe wsparcie finansowe w dwóch formach: pomoc na usamodzielnienie się i na zagospodarowanie. Wysokość tych świadczeń wynosi odpowiednio od 1735 do 6939 zł i 1577 zł. Pierwsza forma wsparcia zależy jednak m.in. od długości pobytu w placówce i przeznaczona jest na pokrycie kosztów związanych z „pójściem na swoje”. „Na dwa miesiące przed osiągnięciem przez wychowanka pełnoletności wyznaczany jest opiekun usamodzielnienia, z którym osoba osiągnąca pełnoletność opracowuje indywidualny plan usamodzielnienia – czytamy na stronie powiatowego centrum pomocy rodzinie. – Program określa

również potrzeby takie jak uzyskanie mieszkania, wykształcenia zgodnego z możliwościami i aspiracjami osoby, uzyskanie kwalifikacji zawodowych, zatrudnienia, przysługujących świadczeń, środków finansowych i pomocy rzeczowej”. Wysokość jednorazowo wypłacanej kwoty pomocy ustalana jest zatem indywidualnie. Jak podkreśla Agnieszka Sikora, wiele też zależy od uzasadnienia wniosku o udzielenie wsparcia. Jeśli PCPR uzna je za wystarczające – podopieczny placówki dostaje to, o co prosi. Ponieważ jednak ustawa nie określa jasno, na co może on otrzymać pieniądze, kwota wsparcia bywa uznaniowa. Nie bez znaczenia są zasoby, jakimi dysponują samorządy. Jedyna regularna i o stałej wysokości pomoc finansowa dla wychowanków placówek dotyczy tylko tych, którzy chcą kontynuować naukę. To 526 zł miesięcznie, wypłacanych do ukończenia 25. roku życia.

Różnie bywa także z gwarantowanymi w ustawie mieszkaniami socjalnymi – niektóre gminy zwyczajnie nie dysponują zasobami lokalowymi. Nawet w dużych miastach okres oczekiwania nierzadko przekracza rok. Przez ten czas wrzuceni na głęboką wodę 18-, 19- i 20-latkowie bez żadnego rodzinnego zaplecza muszą radzić sobie sami.

– Wśród naszych podopiecznych jest dziewczyna, która przydział dostała od razu, ale od półtora roku czeka na koniec remontu. Niedawno mieliśmy pod opieką inną byłą wychowankę, która na mieszkanie czekała dwa lata. Zgłaszają się do nas młodzi bezdomni dorośli, często kilka lat po wyjściu z instytucji – opowiada prezeska fundacji, dodając: – Mówimy o bardzo młodych osobach, bywa, że



po traumatycznych przejściach, bez żadnych pozytywnych wzorców, czasem wymagających specjalistycznej pomocy psychiatrycznej i psychoterapeutycznej. Oni wszystkiego uczą się od zera: planowania wydatków, prania, gotowania i innych nawyków, które są dla nas oczywiste. Od tego, jak poradzą sobie z codzienną rutyną, zależy często ich przyszła wydolność, również wychowawcza. Przecież nawet 18-latek z tzw. normalnego domu nie jest gotowy do samodzielności.

KLUCZOWY MOMENT

– Po wyjściu z domu dziecka mieszkanie dostałem dość szybko. Mogłem też liczyć na pomoc dyrektorki placówki, do dziś utrzymujemy kontakt – opowiada żyjący „na swoim” od ośmiu lat Piotr, mąż i ojciec czwórki chłopców. – W domu dziecka skończyłem technikum budowlane, praca była od razu. Wiele zawdzięczaam swoim wychowawcom. Nie wiem, gdzie dzisiaj bym był, gdybym został z ojcem.

Historia Piotra do pewnego momentu jest dość podobna do opowieści Marcina i Patryka. Każdy z nich został zabrany od biologicznych rodziców w wieku kilku lat i spędził w domu dziecka kilkanaście. Ich losy zaczynają się rozbiegać, gdy osiągnęli pełnoletność, bo w odróżnieniu od Patryka i Marcina Piotr mógł liczyć w tym okresie na wsparcie byłych wychowawców.

Agnieszka Sikora: – Uważam, że naszą wielką porażką jest każda sy-

tuacja, w której zabieramy dziecko z biologicznej rodziny, po to by miało lepszy start, mogło się uczyć i stanąć na własnych nogach, a potem okazuje się, że nie jesteśmy w stanie do tego doprowadzić, nie umiemy przeciąć błędnego koła, w którym tkwili jego rodzice. Nie jestem pewna, czy sprawiedliwe jest rozliczanie tych dzieci z błędów, które popełniają, gdy często są one skutkiem niewydolności systemu i braku wsparcia w przejściu między instytucją a samodzielnością.

Waga tego etapu została podkreślona w nielicznych opracowaniach na ten temat. „Przebieg procesu usamodzielnienia wydaje się kluczowy dla przebiegu dalszych losów wychowanków”, czytamy w raporcie z badań przeprowadzonych przez Agnieszkę Golczyńską-Grondas z Instytutu Socjologii Uniwersytetu Łódzkiego, autorkę książki „Chybotliwa łódź. Losy wychowanków placówek opiekuńczo-wychowawczych”. Przeprowadziła ona kilkadziesiąt wywiadów z byłymi wychowankami instytucji. „W każdej z opowiadanych historii usamodzielnienie jest traktowane jako punkt zwrotny, można też zauważyć, że od tego momentu losy narratorów zdecydowanie się różnicują”, pisze badaczka w podsumowaniu projektu.

Tymczasem podopieczni często opuszczają ośrodki, nie mając przy sobie żadnej bliskiej osoby dorosłej. Niekiedy wychodzą nieufni wobec instytucji i dorosłych, spragnieni niezależności, licząc, że jakoś to będzie. Po czym wykładają się na pierwszym

zakręcie – tak jak przeciętny 19- czy 20-latek pozbawiony wsparcia. Z kolei to, czy je mają, zależy od zaangażowania ich byłych wychowawców i dyrektorów placówek, którzy także nie zawsze mogą go udzielić w takiej formie, w jakiej jest potrzebne.

O niewystarczalności pomocy systemowej jest też mowa w raporcie NIK z 2015 r. Czytamy w nim m.in., że „rozwiązania w zakresie pomocy w usamodzielnieniu się pełnoletnich wychowanków pieczy zastępczej (...) sprowadzają się głównie do doraźnej pomocy finansowej, utrzymywanej na minimalnym poziomie, który młodym osobom u progu dorosłego życia nie zapewnia bezpiecznych warunków rozwoju. Jednocześnie z ustaleń kontroli wynika, że nie istnieje skuteczny system pomocy dla usamodzielniających się (...). Brak jest zwłaszcza narzędzi dla zapewnienia usamodzielnianemu wychowankowi wszechstronnego wsparcia”.

NIK zwraca uwagę, że mimo malejącej liczby dzieci w Polsce (zmniejszyła się o 12% między rokiem 2005 a 2013) o 6,5% wzrosła liczba tych, które są umieszczane w pieczy zastępczej, co wskazuje na słabe wspieranie rodzin z problemami opiekuńczo-wychowawczymi. Sprawozdanie NIK podkreśla fiasko tzw. opiekunów usamodzielniania, których kompetencje nie są jasno określone, i nierówne rozdzielanie pomocy pomiędzy podopiecznych placówek: „System pomocy – funkcjonujący w oparciu o dwie różne ustawy – prowadzi do nierównego traktowania wychowanków. Uregulowania zawarte w ustawie o pieczy zastępczej i ustawie ▶

Pani Minister
Danucie Waniek

wyrazi
głębokiego współczucia
z powodu śmierci

Matki

składają
*Jolanta i Aleksander Kwaśniewscy
wraz ze współpracownikami*

o pomocy społecznej różnicują osoby uprawnione do świadczeń, np. ze względu na okres pobytu w rodzinnej i instytucjonalnej pieczy zastępczej oraz ze względu na formę sprawowanej opieki, czego konsekwencją są różne wysokości dofinansowania”.

Z przedstawionych przez NIK danych wyłania się obraz klęski: niewystarczająca praca z rodzinami na etapie poprzedzającym umieszczenie dziecka w placówce, niewystarczające i nierówne wsparcie finansowe dla opuszczającej domy dziecka młodzieży, brak wsparcia psychologicznego i nieokreślone kompetencje osób mających go udzielać. Efekt: wzrost liczby dzieci w niewydolnym systemie opiekuńczo-wychowawczym i słabe ich przygotowanie do wejścia w dorosłość. Nazywając rzecz inaczej: większe poranienie na starcie, więcej trudów i samotności.

Choć losy Piotra, Marcina i Patryka są różne, znamienną jest waga, jaką każdy przywiązuje do niezależności.

– Nikt mi nie powie, że jestem na jego utrzymaniu – mówi Marcin.

– Praca to podstawa. Nie muszę liczyć na niczyją łaskę – cieszy się Patryk.

GLÓD

– Niektórzy podopieczni fundacji mówią: „pani jest jak mama” albo

wprost mnie tak nazywają. A mnie się robi głupio, bo przecież wcale nie robię tyle, ile robię jako matka – zwierza się Agnieszka Sikora. – Czasem mam wrażenie, że każemy im iść do pracy i być dorosłymi, a oni wciąż potrzebują przeżyć dzieciństwo.

Niekiedy tęsknota wychowanków domów dziecka za bliskimi jest wykorzystywana przez rodziców. – Przez 11 lat pobytu w placówce nie widziałem swojej mamy – opowiada Patryk. – Odezwała się tuż przed moją osiemnastką, zaprosiła mnie do domu. Opuściłem wtedy ośrodek, chciałem wierzyć, że wszystko się zmieniło, że ona to robi z miłości. Na początku rzeczywiście tak wyglądało. Po jakimś czasie okazało się, że wszystko jest po staremu, a mama chciała ode mnie pieniędzy. Liczyła też, że udostępnię jej mieszkanie, które miałem dostać.

Z doświadczeń Urszuli Polanowskiej, dyrektorki Domu dla Dzieci Mieszko w Rzeszowie, wynika, że takie historie nie należą do rzadkości: – Niektórym rodzicom przypomina się, że mają dzieci, dwa tygodnie przed skończeniem przez nie 18 lat. Zawsze chodzi o pieniądze albo mieszkanie. Pamiętam matkę jednego z podopiecznych. Dziecko bardzo cierpiało, bardzo za nią tęskniło. Ona była jak głaz. Kiedy miał wyjść z placówki, odezwała się i on w to poszedł. Przeprowadził się do niej, wy-

dał sporo pieniędzy z otrzymanego wsparcia na remont jej mieszkania. Skończyło się jak zwykle.

– Dziecko, choćby miało 18 lat i nieraz doświadczyło odrzucenia przez najbliższych, i tak będzie wierzyć, że mama przyjeżdża je odwiedzać, bo na nowo je pokochała. Idzie w tę nadzieję jak w dym – wzdycha dyrektorka domu dziecka w Bninie, Dorota Borysiewicz. – Pamiętam chłopaka, który wyszedł od nas właśnie omamiony taką kochającą rodziną. Przez dwa tygodnie za jego pieniądze bawiła się cała wieś. Potem został bez pieniędzy i bez przyjaciół.

Gorzej jest jednak, gdy dorastający wychowanek decyduje się opuścić placówkę przed 18. urodzinami – wtedy traci prawo do wszelkich świadczeń. Nawet jeśli w domu dziecka spędził większość życia.

– Najbardziej chciałbym poznać jakąś dziewczynę i mieć dzieci, rodzinę – odpowiada Marcin na pytanie o najważniejsze plany życiowe.

– Cieszę się z tego, co mam, choć bywają też chwile załamania – przyznaje Patryk. – Staram się na razie nie wybiegać za bardzo w przyszłość.

– Mam czwórkę wspańiałych synów, świetną żonę, nie mam żadnego powodu do narzekania – mówi z kolei Piotr. – Cieszę się ze swojego życia.

Katarzyna Wierzbicka

LISTY

Cichy krzyk samotnych matek

Przykro, że taka jest polityka państwa wobec samotnych matek. Dla władzy nie są docelową grupą wyborczą, dlatego tak się sprawy mają. Dla takich matek nie ma pomocy, a dla bogatych z drugim dzieckiem i następnymi jest 500+. To jest paranoja polityki nastawionej na pozyskanie elektoratu, a nie na rzeczywistą pomoc. Samotna kobieta aktywna zawodowo, wychowująca dziecko powinna być pod szczególną ochroną państwa. A w naszym państwie wspiera się ludzi, którzy nie chcą pracować.

Emil Sulwiński

Kradniesz baton – idziesz siedzieć. Okradasz notorycznie swoje dziecko – państwo umywa ręce.

Urszula Wojdan

A potem jeszcze w dorosłym życiu przyjdzie dziecku spłacać długi ojca albo płacić na niego alimenty, bo uchylając się od płacenia, pracuje na czarno i na emeryturę nie uzbiera.

Aleksandra Wetna

Jestem samotną matką od 16 lat. Pamiętam końcówkę funkcjonowania funduszu alimentacyjnego z ZUS, zli-



kwidowanego przez rząd SLD. Zostałam wtedy z 40 zł zasiłku rodzinnego i pracą za 250 zł przy sprzątaniu biur. W obecnym funduszu próg dochodowy uprawniający do otrzymywania alimentów od 2008 r. wynosił 725 zł. Rząd PO-PSL nie podniósł go nawet o złotówkę. Teraz próg będzie podniesiony do 800 zł. Mój dochód jest o 24 zł wyższy. Były mąż różne rzeczy wyczyniał, by nie płacić. A komornik był bezradny. Od dwóch lat były mąż pracuje, syn dostaje alimenty. Ale nie wiem, jak długo tak będzie.

Dlatego mam prośbę do panów: wyedukujcie swoją pleć w odpowiedzialności. A niepłacących alimentów na dzieci wykluczcie ze swojego środowiska, bo to oni stosują przemoc ekonomiczną. I jest na to przyzwolenie. Zamiast z takim zerwać kontakty i skazać go na ostracyzm, kolega zaprosi „biedaka” na piwo. W porządku, nie kochają już naszych dzieci, nie chcą mieć z nimi nic wspólnego, ale niech chociaż płacą. Bo spłodzenie dzieci to nie sztuka. Sztuka to ich wychowanie.

Stanisława Kuzio-Podrucka

Ewa Rogowska

Przyjmuję wyroki do wiadomości, ale się z nimi fundamentalnie nie zgadzam – stwierdził wojewoda mazowiecki Zdzisław Sipiera na wieść o tym, że decyzją Naczelnego Sądu Administracyjnego z 7 grudnia 44 ulice w Warszawie wracają do nazw, jakie nosiły przed tzw. dekomunizacją. Zapowiedział też, że choć procedura sądowa się zakończyła, w jego mniemaniu sprawy to nie zamyka.

CZYSZCZENIE

2 września 2016 r. weszła w życie tzw. ustawa dekomunizacyjna. Zgodnie z nią m.in. nazwy ulic „nie mogą upamiętniać osób, organizacji, wydarzeń lub dat symbolizujących komunizm lub inny ustrój totalitarny, ani w inny sposób takiego ustroju propagować”. Na podstawie tej ustawy do 2 września 2017 r. samorządy lokalne miały wyczyścić swoje miasta czy gminy z niewłaściwych nazw. Ustawodawca przewidział, że samorządy mogą mieć problemy z określeniem, które nazwy podlegają ustawie. Dlatego do pomocy zobowiązał Instytut Pamięci Narodowej. Jak wynika z informacji podanych przez IPN, pracownicy instytutu na prośbę poszczególnych wojewodów przygotowali 1015 opinii o patronach ulic. Samorządy mogły, ale nie musiały ich uwzględnić. Do dziś zmieniono ok. 2,2 tys. nazw, albo całkowicie, albo częściowo, np. zamiast ulicy 9 Maja – bo tego dnia Dzień Zwycięstwa jest obchodzony w Rosji, wprowadzono ulicę 8 Maja – wtedy obchodzi się go na Zachodzie. Część zmian wprowadzili wojewodowie. Nie wiadomo, ile skarg na nie wniosły rady miast czy gmin do wojewódzkich sądów administracyjnych i na jakim etapie są te sprawy. – IPN nie ma takich informacji – twierdzi dr Maciej Korkuć z Oddziałowego Biura Upamiętniania Walk i Męczeństwa w Krakowie, który jest koordynatorem wszystkich działań dotyczących informowania samorządów w sprawach związanych z dekomunizacją. – Gminy nie mają obowiązku nas informować o zażarciach. Nie jesteśmy też stroną w postępowaniach sądowych, więc w tych procedurach formalnie nie uczestniczymy.

ULICZNY BAŁAGAN

W ramach dekomunizacji w kraju zmieniono ok. 2,2 tys. nazw ulic. Często bezzasadnie



Niestety, NSA zdecydował, że gdańska ulica Dąbrowszczaków musi zmienić nazwę. Teraz będzie to ul. Lecha Kaczyńskiego.

– To, że jacyś urzędnicy IPN uważają, że niektóre nazwy propagują komunizm, nie znaczy, że musimy się z nimi zgadzać – zastrzega Jarosław Szostakowski, przewodniczący klubu Koalicji Obywatelskiej w Radzie m.st. Warszawy. Kilka lat wcześniej warszawscy radni dostali listę nazw ulic wytypowanych przez IPN do dekomunizacji i było ich znacznie mniej niż nazw, które zostały zmienione. Po wejściu w życie ustawy rada zmieniła nazwy sześciu ulic (Juliana Bruna na Giordana Bruna, Jana Kędzierskiego na Apoloniusza Kędzierskiego, Anastazego Kowalczyka na Jana Kowalczyka, Lucjana Rudnickiego na gen. Klemensa Rudnickiego, Józefa Feliksa Ciszewskiego na Jana Ciszewskiego, Gustawa Reichera na Michała Reichera – przyp. red.). – Uznaliśmy, że pozostałe nazwy nie symbolizują komunizmu. W przeciwieństwie do wojewody dokładnie przeanalizowaliśmy listę IPN. W przypadku Armii Ludowej uznaliśmy, że ta nazwa nie powinna podlegać zmianie, ponieważ żołnierze tej formacji walczyli w powstaniu warszawskim, dwóch oficerów AL zostało przez dowódz-

two powstania odznaczonych krzyżami Virtuti Militari, a kilku żołnierzy Krzyżami Walecznych.

Wojewoda nie był usatysfakcjonowany tak skromnym zakresem zmian. 9 listopada ub.r. wydał zarządzenia zastępcze zmieniające nazwy 47 ulic w stolicy, a 13 grudnia do listy dołożył kolejne trzy ulice. Takie narzędzie dała wojewodom ustawa dekomunizacyjna, bo normalnie nie mają oni prawa wtrącać się do tego, jak samorządowcy nazywają ulice w swoich gminach. W pierwszej turze, pod nr. 25, znalazło się przemianowanie alei Armii Ludowej na ulicę Lecha Kaczyńskiego. Ale radni warszawscy nie zgodzili się z tymi decyzjami. Zgłosili swoje wątpliwości do wojewódzkiego sądu administracyjnego. Niemal wszystkie decyzje wojewody zostały cofnięte. Ten jednak złożył skargę kasacyjną do NSA. Sądowa procedura dotycząca 44 ulic zakończyła się 7 grudnia br. Sześć ulic jeszcze czeka na rozstrzygnięcie NSA.

– NSA oddalił skargę kasacyjną wojewody, bo uznał, że nie wykazano, że nazwa propaguje komunizm – mówi Jarosław Szostakowski. ▶



Trudno określić, ile będzie kosztowała wymiana tablic niezbędna po działaniach związanych z tzw. ustawą dekomunizacyjną.

► – Mogliśmy mieć jedno rozstrzygnięcie więcej, ale sąd nie powiadomił o rozprawie stowarzyszenia Miasto Jest Nasze, będącego w tym wypadku stroną postępowania. Jeszcze nie ustalono terminu dwóch rozpraw, które w pierwszej instancji miasto przegrało, wobec czego złożyło skargę kasacyjną.

Odrzucenie przez NSA skargi kasacyjnej oznacza, że 44 ulice wrócą do nazw, które nosiły przez lata. Wojewoda chyba się nie spodziewał takiego obrotu sprawy. Natomiast w IPN tak bardzo przejęto się sytuacją, że już w niedzielę, dwa dni po rozstrzygnięciu NSA, pojawił się apel do władz Warszawy, aby „w poczuciu obywatelskiej odpowiedzialności, niezależnie od bieżących sporów politycznych, nowe władze samorządowe Miasta Stołecznego Warszawy odstąpiły od procedury przywracania już zmienionych nazw symbolizujących lub propagujących komunizm”. Zgoda na przywrócenie starych nazw będzie – zdaniem IPN – działaniem „szczególnie bolesnym w roku obchodów stulecia odrodzenia Państwa Polskiego”. Kiedy zabrakło argumentów merytorycznych, zagrano patriotyzmem i stuleciem niepodległości.

APETYT WOJEWODY

Wojewoda mazowiecki okazał się najgorliwszym wykonawcą decyzji rządzących – w Warszawie poprzez tzw. zarządzenia zastępcze zmienił nazwy aż 50 ulic, a w całym województwie wprowadził jeszcze 53 zmiany. W Sochaczewie – pięć, w Otwocku – cztery, w Gostyninie – trzy, w Łomiankach, Milanówku, Piasecznie, Radzyminie, Sulejówku, Radomiu, Płocku

– po dwie, w wielu pozostałych miejscowościach po jednej. Siedem razy nowym patronem został rtm. Witold Pilecki, który okazał się gwiazdą rankingu, a po cztery razy Danuta Siedzikówna „Inka” i Zbigniew Herbert.

Różne były konsekwencje zmian. Jeśli przy danej ulicy nikt nie był zameldowany i nie prowadzono działalności gospodarczej, przemianowanie było mało uciążliwe i tanie – miasto czy gmina wymieniały tablice i tyle. W przypadku ulic w dużych miastach zmiana mogła dotyczyć tysięcy osób i kilkudziesięciu firm. Wymieniać dowodów osobistych nie było trzeba, ale mieszkańcy musieli zgłosić zmianę nazwy ulicy we wszystkich instytucjach, w których są obowiążani podawać aktualny adres, także w sądzie

nił wojewoda, są przechowywane w magazynie. Jeśli tak faktycznie było, wystarczy się odkurzyć i zawiesić ponownie. Teraz jedna z urzędniczek stwierdziła, że wymiana tablic potrwa do końca stycznia i – w zależności od długości nazwy – będą one kosztować od 160 do 400 zł.

NADGORLIWI I OPORNI

Miasta i gminy można podzielić na kilka grup. Pierwsza to takie, które były nadgorliwe we wprowadzaniu w życie ustawy dekomunizacyjnej. Te na wszelki wypadek wysyłały do IPN listy wszystkich miejscowych nazw ulic, by uzyskać jego opinię. Tak zrobili m.in. Jaworzno i Będzin. A zdarzało się, że zmieniano nazwy

Najpracowitszy okazał się wojewoda mazowiecki. Zmienił nazwy aż 103 ulic, w tym 50 w Warszawie.

zajmującym się księgami wieczystymi. Tu postawie łaskawie poszli na rękę dotkniętym dekomunizacją ulic. Konieczne zmiany np. w księgach wieczystych i innych dokumentach urzędowych są nieodpłatne. Z kolei miasta lub gminy musiały wymienić nie tylko tablice z nazwami ulic, ale też tablice na budynkach, oznaczenia przystanków komunikacji miejskiej, plany miast wolnostojące lub zainstalowane na przystankach. Jeżeli zmiana nazwy została wprowadzona zarządzeniem zastępczym wojewody, a miasto się odwoływało i wygrało, konieczne było ponowne zainstalowanie tablic ze starymi nazwami. W Warszawie jeszcze w ubiegłym roku urzędnicy twierdzili, że tablice z nazwami ulic, które zmie-

nawet tych ulic, których nie obejmowała dekomunizacja, ale radnym wydawało się, że tak będzie dla nich bezpieczniej. Dlatego np. zniknęły ulice Ludwika Waryńskiego, mimo że IPN nie widział przesłanek, by na podstawie ustawy dekomunizacyjnej dokonywać tej zmiany.

Część gmin próbowała znaleźć wyjście jak najmniej dokuczliwe dla mieszkańców. Na przykład Rada Gminy Tuchomie w województwie pomorskim zdecydowała, że ulicę Mariana Buczka, który był działaczem stalinowskiej konspiracji w Polsce, zmieni na ulicę Buczka, czyli małego buka. Wojewodzie wydało się to podejrzane. Poprosił o opinię IPN, a ten podtrzymał wcześniejszą negatywną ocenę dla Mariana Buczka, nie chcąc przy-

jąc do wiadomości, że teraz chodzi o małe drzewo. Wojewoda unieważnił więc uchwałę rady gminy, nakazując wybranie innej nazwy. Radni ustąpili.

Rada Gminy Żukowo zmieniła ulicę Jana Krasickiego w Leźnie na Ignacego Krasickiego. W Sopocie ulicę 23 Marca zmieniono na... 23 Marca, znajdując inne uzasadnienie dla tej daty.

W Bogatyni w województwie dolnośląskim zmieniono nazwy 10 ze 130 ulic. Rada Miejska w Pieszycach w tym samym województwie zdecydowała, że aby iść na rękę mieszkańcom, Naftalego Botwina zastąpi się botwiną. Wojewoda dolnośląski nie wiedział, co z tym fantem zrobić, i poprosił o pomoc IPN. Otrzymał odpowiedź, że ulica Botwina nadal dotyczy tego samego Botwina, którego trzeba zdekomunizować, mimo że radni twierdzili, że chodzi o liście buraka. IPN zaproponował więc ulicę Botwinową i radni na to przystali.

Z kolei w Lwówku Śląskim rada miejska przy okazji dekomunizacji pozbyła się jako patrona właśnie Ludwika Waryńskiego. A że zmiana nie wynikała z ustawy dekomunizacyjnej, mieszkańcy nowej ulicy Polskiego Czerwonego Krzyża będą musieli zapłacić za wymianę dokumentów. We Wrocławiu rada miejska zmieniła jedynie trzy ulice, w tym 9 Maja na 8 Maja.

POTYCZKI

Nie tylko wojewoda mazowiecki zmieniał nazwy ulic, które jego i IPN zdaniem powinny zniknąć z mapy miejscowości. Aczkolwiek żaden z pozostałych 15 wojewodów nie zrobił tego w tak wielkiej skali. Wojewoda wielkopolski na mocy tzw. zarządzeń zastępczych zmienił nazwy 51 ulic. Cztery były w Poznaniu: 23 Lutego, Braterstwa Broni, 9 Maja i Marcina Chwiłkowskiego. Rada miasta odwołała się do wojewódzkiego sądu administracyjnego w sprawie ulicy 23 Lutego. W marcu br. sąd umorzył zarządzenie wojewody. Ale ten nie dał za wygraną – złożył skargę kasacyjną do NSA.

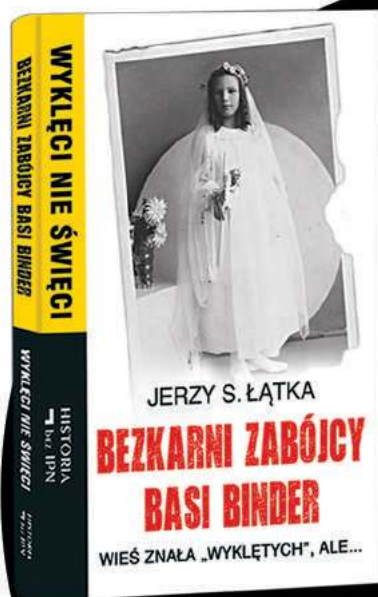
13 listopada br. sąd ją oddalił. Ulica 23 Lutego wróciła.

Wojewoda łódzki zmienił nazwy 26 ulic i jednego placu w samej Łodzi oraz 60 ulic w województwie. Placem, którego nazwa została zmieniona zarządzeniem zastępczym, był plac Zwycięstwa na Widzewie. Wojewoda zdecydował, że jego patronem będzie Lech Kaczyński. Nie było to co prawda miejsce zbyt godne, znacznie lepszy byłby położony w samym centrum miasta plac Wolności, od którego bierze początek słynna ulica Piotrkowska, ale cóż – nazwy plac Wolności nie udało się podważyć, poza tym plac Zwycięstwa przecina ważna arteria – ul. Józefa Piłsudskiego, więc jakby mimochodem prezydent mógł się przytulić do marszałka, a to bezcenne. Łódzcy radni próbowali walczyć o zachowanie placu, podjęli nawet uchwałę, która przywracała wcześniejszą nazwę i uzasadniała, że dotyczy ona nie zwycięstwa nad faszyzmem, lecz wojny

polsko-rosyjskiej, i w roku 100-lecia niepodległości warto by było ją utrzymać. Ich uchwała została jednak unieważniona ze względów prawnych. Ale przecież nie o to chodziło, by radnym dać szansę. Zamysł był taki, by w Łodzi miał swój plac Lech Kaczyński. Rada miasta wniosła skargę na decyzję wojewody dotyczącą nazwy placu do wojewódzkiego sądu administracyjnego. 10 lipca br. WSA decyzję wojewody uchylił.

Podobny problem mieli mieszkańcy Katowic. Tam wojewoda zdecydował, że plac Wilhelma Szewczyka, śląskiego pisarza, zmieni patrona na Marię i Lecha Kaczyńskich. Rada miasta odwołała się do wojewódzkiego sądu administracyjnego i 20 maja br. sąd uchylił decyzję wojewody.

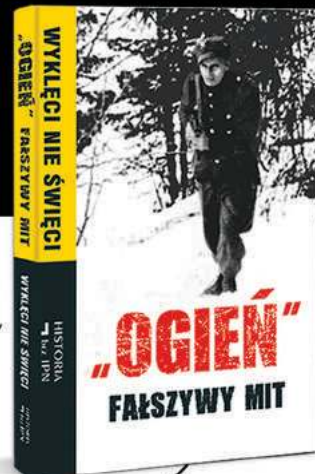
Wojewoda podlaski miał zastrzeżenia jedynie do ośmiu ulic, w tym trzech w Białymstoku: 1. Armii Wojska Polskiego, Leona Kruczkowskiego i Maksyma Gorkiego. Co do tego ostatniego IPN przez długi czas ▶



Mordowali z zimną krwią. Kobiety zakopali w pobliskim lesie. Wieś знаła zabójców, ale ci przez lata byli bezkarni. Dziś uchodzą za bohaterów AK. Za „żołnierzy wyklętych”.

WYKLĘCI NIE ŚWIĘCI

Gwałcili. Mordowali kobiety i dzieci. „Ogień” i jego banda zabijali Polaków, Żydów i Słowaków.



45 zł Książki można kupić, wpłacając odpowiednią kwotę oraz opcjonalnie koszt wysyłki (bezpłatna wysyłka pocztą) na konto wydawcy PRZEGLĄDU 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821 Fundacja Oratio Recta, 03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7, lub przez sklep internetowy: www.sklep.tygodnikprzeglad.pl Gwarancją dostawy przed świętami jest wybór przesyłki kurierskiej, złożenie i opłacenie zamówienia do 17 grudnia!

Wybierz sposób dostawy:

- GRATIS wysyłka poleconą Poczta Polska
- dostawa kurierem FedEx 14,90 zł
- darmowa wysyłka kurierska przy zamówieniu na minimum 200 zł

Więcej informacji: tel.: 22 635 84 10 wew. 111, e-mail: sklep@tygodnikprzeglad.pl

46 zł

nie miał jasnego zdania, no bo jeśli pisarz tworzył na terenie ZSRR... Wojewoda podlaski uznał, że bezpieczniej będzie zmienić nazwę na Anatola Radziwonika. Żadna rada miejska nie zaskarżyła decyzji wojewody do WSA.

Tymczasem w Gdańsku już nie było tak słodko. Wojewoda pomorski wydał siedem zarządzeń zastępczych, m.in. w Gdańsku ulicę Dąbrowszczaków zmienił na ulicę Prezydenta Lecha Kaczyńskiego. W marcu WSA orzekł, że dekomunizacja ulic w Gdańsku jest bezprawna. Jednak wojewoda złożył skargi kasacyjne do NSA. 13 listopada, trzy tygodnie przed rozstrzygnięciem dotyczącym Warszawy, NSA ogłosił wyroki w sprawie Gdańska. W trzech przypadkach sąd utrzymał decyzję wojewody i ulice Dąbrowszczaków, Leona Kruczkowskiego oraz Mariana Buczka jednak zmienia nazwy, ta pierwsza na Lecha Kaczyńskiego.

ODPUSZCZĄ CZY NIE?

W Warszawie batalia o patronów była najbardziej zacięta. Wojewoda Zdzisław Sipiera uznał, że ustawa dekomunizacyjna daje mu jedyną szansę wygospodarowania dla byłego prezydenta jakiejś prestiżowej i ruchliwej ulicy. A tak naprawdę pula ulic do rozdysponowania po niemal trzech dekadach dekomunizacji znacznie się skurczyła. Nie ma już alei Rewolucji Październikowej – jest aleja Prymasa Tysiąclecia, ulica Juliana Marchlewskiego stała się aleją Jana Pawła II, a ulica Marcelego Nowotki – ulicą gen. Władysława Andersa. Z tak godnymi patronami trudno konkurować. Można by wprowadzić zrezygnować np. z ulicy Wołoskiej na Mokotowie, która to nazwa zastąpiła wcześniejszego patrona – kosmonautę Władimira Komarowa, i dać jej imię Lecha Kaczyńskiego, ale tego nie zrobiono. Przypuszczalnie więc wojewoda Sipiera będzie szukał jakichś kruczków prawnych, by Lech Kaczyński ulicę w Warszawie miał. Może przyjdą mu z pomocą postowie jakąś nowelą do ustawy? A może i to nie będzie potrzebne, bo jak stwierdził 13 grudnia w RMF FM szef klubu PO w Sejmie, Sławomir Neumann, Lech Kaczyński powinien mieć ulicę w Warszawie, skoro był jej prezydentem. – Nie upierałbym się przy ulicy Armii Ludowej – dodał Neumann.

Ewa Rogowska

MAZUR NIE ZMIENIŁ DĄBROWSZCZAKÓW

Zamieszanie związane ze zmianami nazw ulic w Olsztynie sięgnęło zenitu. Kto za to zapłaci?



Protesty mieszkańców Olsztyna broniących ulicy Dąbrowszczaków przyniosły sukces. NSA w tym wypadku oddalił skargę kasacyjną wojewody.

Marek Książek

W połowie listopada Naczelny Sąd Administracyjny oddalił kasację wojewody warmińsko-mazurskiego od wyroku sądu niższej instancji w sprawie zmiany nazwy ulicy Dąbrowszczaków w Olsztynie na ulicę poety Erwina Kruka. To kolejna porażka historyków z Instytutu Pamięci Narodowej i ustawy dekomunizacyjnej. Zwłaszcza że w tym samym czasie NSA unieważnił – po odwołaniu olsztyńskich radnych – zarządzenie wojewody zmieniające nazwy ulic Wincentego Pszostowskiego i prof. Stefana Poznańskiego.

Kilka miesięcy wcześniej Wojewódzki Sąd Administracyjny w Olsztynie podważył zasadność zmiany nazwy pod względem merytorycznym, uznając, że polskiej formacji walczącej z faszyzmem nie można określać mianem komunistycznej, bo komuniści stanowili zaledwie 40% jej składu. Pozostali bojownicy o demokrację w Hiszpanii to ochotnicy: socjaliści, robotnicy, bezrobotni, związkowcy, a nawet działacze sanacji (pisaliśmy o tym w tekście „Dąbrowszczacy wracają do Olsztyna?”, PRZEGLĄD nr 15/2018). Od tego wyroku wojewoda wniósł kasację, ale NSA właśnie ją odrzucił.

Sprawa była o tyle nośna, że niemal rok temu Artur Chojecki, wojewoda z nadania Prawa i Sprawiedliwości, zmienił nazwę Dąbrowszczaków na Erwina Kruka, mazurskiego poety, który zmarł zaledwie półtora roku wcześniej. Zmiana była niezgodna z prawem miejscowym, przyjętym przez radę miasta, zgodnie z którym patronami ulic, placów i parków mogą być osoby zmarłe przynajmniej pięć lat przed ich uhonorowaniem w takiej formie. Wojewoda tłumaczył, że ustawa dekomunizacyjna przebiją wszystko, łącznie z tym prawem. Z drugiej strony nadanie ulicy nazwy Erwina Kruka, osoby szanowanej za życia, niemieszającej się do polityki (choć do 1980 r. członka PZPR, kierownika działu partyjnego w „Gazecie Olsztyńskiej”), wzbudziło wątpliwości rodowitych Mazurów. Ich zdaniem była to celowa zagrywka, aby wytrącić argumenty z rąk obrońców ulicy Dąbrowszczaków. Bo można było im zarzucić, że są przeciwko Krukowi, a nawet w ogóle przeciw Mazurom („Mazurem w Dąbrowszczaków”, PRZEGLĄD nr 52/2017).

Po ostatnim wyroku NSA zapanował kompletny chaos. Od pewnego czasu na dwóch gmachach olsztyńskich sądów wiszą tabliczki z nazwą ulicy Erwina Kruka, taki też adres widnieje na ich stronach internetowych

oraz pieczętkach. – Koszty kolejnych zmian nie będą wielkie, ale musi tym się zająć przynajmniej jeden pracownik, który mógłby w tym czasie robić co innego – mówi sędzia Olgierd Dąbrowski-Żegalski, rzecznik prasowy sądu okręgowego. Może przez pewien czas będą obowiązywały dwa adresy, choć w zasadzie powinny trzy: Dąbrowszczaków – dawniej Erwina Kruka – dawniej Dąbrowszczaków. Zupełnie jak w przypadku słynnej firmy cukierniczej: E. Wedel – dawniej 22 Lipca – dawniej E. Wedel.

Być może stare tabliczki i pieczętki zachowali przezorni przedsiębiorcy, którzy mają siedziby firm przy tej ulicy. Chociaż radny Łukasz Łukaszewski podejrzewa, że mogą oni znaleźć powód, aby w związku z zamieszczeniem domagać się odszkodowania. Najlepiej od konkretnej osoby, nie od skarbu państwa. Od wojewody?

– Ktoś mu źle doradzał, skoro tak głęboko poszedł w zmiany niezgodne z miejscowym prawem i oczekiwaniami mieszkańców – dodaje Łukaszewski, przewodniczący komisji komunalnej rady miasta w minionej i obecnej kadencji. – Szkoda tylko, że na skutek tego zszargano pamięć Erwina Kruka, który na to nie zasłużył. Na pewno imieniem poety zostanie nazwana inna ulica, gdy tylko minie pięć lat od jego śmierci.

Nie wiadomo natomiast, jak się skończy sprawa ulicy Pstrowskiego, jednej z najdłuższych w mieście. Wojewoda początkowo zmienił ją na ulicę Żołnierzy Piątej Wileńskiej Brygady Armii Krajowej, a że przekraczało to uchwalony w miejscowym prawie limit 35 znaków, w drugiej wersji skrócił ją do 5. Brygady Wileńskiej AK. NSA stwierdził, że ani IPN, ani wojewoda nie udowodnili, że przodownika pracy z czasów powojennych można traktować jako symbol komunizmu. Ba, przez niektórych jest on uważany za ofiarę starego systemu, jako że jego wysiłek był ponad ludzkie siły. Być może jednak radni zachowają zmienioną nazwę, by już nie utrudniać życia mieszkańcom i przedsiębiorcom.

Nie udowodniono propagowania komunizmu również prof. Stefanowi Poznańskiemu, patronowi małej ulicy na profesorskim osiedlu Brzeziny. Co prawda, należał on do PZPR i był posłem na Sejm, ale przede wszystkim był uczonym, prorektorem uczelni rolniczej, z której wyszły tysiące świetnie wykształconych absolwentów. ■



Jak „prawdziwy pies” został złym gliniarzem

Narkotykowi przestępcy obiecywali mu zemstę. Ale bardziej zaszkodzili mu koledzy policjanci

Marek Książek

Jako szef wydziału narkotykowego olsztyńskiego oddziału Centralnego Biura Śledczego Policji miał znakomite wyniki w walce z przestępczością. Pewnie do tej pory mógłby ścigać złoczyńców, gdyby nie patrzył krytycznym okiem na poczynania kolegów. Także na swoich podwładnych, w tym jednego wyższego stopniem, których próbował zmusić do większego wysiłku. A gdy się opierali, usunął ich z wydziału. Wkrótce jednak przygarnął ich podległy Komendzie Głównej Policji olsztyński wydział Biura Spraw Wewnętrznych. „Borys”, bo taką ksywkę nadano mu w policyjnym środowisku, zaczął dostawać pogróżki w stylu „Załatwimy cię”. I tak się stało. Po 18 latach służby musiał odejść z policji.

Taką wersję wydarzeń przedstawia nadkom. Marcin Miksza, od lutego 2017 r. policjant w stanie spoczynku. Razem z dwoma partnerami z wydziału, po rocznym zawieszeniu w obowiązkach, został zmuszony do przejścia na wcześniejszą emeryturę. Powód się znalazł – w tym czasie wokół „sprawy »Borysa«” zaczął

się szum medialny, co kierownictwo uznało za szkodzenie dobremu wizerunkowi policji.

ŚCIGAJĄC PRZESTĘPCÓW

Mierzący 190 cm Marcin Miksza kojarzy się trochę z brawurowym komisarzem „Majamim”, grany przez Piotra Stramowskiego w gangsterskich filmach Patryka Vegi. Chociaż na pytanie, czy też był taki ostry w kontaktach z bandytami, odpowiada dyplomatycznie: – Nie pamiętam.

Pochodzi z rodziny o milicyjno-policyjnych tradycjach. W Rucianem-Nidzie mieszkał nad posterunkiem, gdzie jego ojciec był dzielnicowym. Marcin pamięta, że ojciec w kaburze nosił kanapki zamiast pistoletu, a jedyną jego bronią była gumowa pałka. Ale cieszył się szacunkiem w tym mazurskim miasteczku, tak jak inni funkcjonariusze, których sam widok przywoływał ludzi do porządku. Po tem rodzina Mikszów przeniosła się do Mrągowa i tam 19-letni Marcin wstąpił do policji. Już na początku służby zwrócił uwagę przełożonych, kiedy pomógł kolegom z komendy wojewódzkiej złapać sprawców zabójstwa jednego z uczestników

► Pikniku Country. I ci koledzy na początku nowego wieku ściągnęli go do wydziału narkotykowego KWP.

– Olsztyn był wtedy brązowym miastem – wspomina „Borys”. Po serii porwań w 2000 r. miejscowi gangsterzy, powiązani m.in. z mafią pruszkowską, szukali nowych źródeł dochodu i znaleźli je w „brązowym towarze” – narkotykach. Miksza opowiada, że jego wydział zaczął walczyć z handlarzami prochów i miał niezłe wyniki. Wkrótce „Borys” dostał propozycję wejścia do zespołu werbunkowego, czyli takiego, który szuka ludzi, głównie przestępców, do współpracy. Od dawna bowiem policyjna robota opiera się na informatorach. Ale trudno pozyskać dobre źródło, dlatego przeszedł w Warszawie specjalne szkolenie i dostał odpowiedni certyfikat.

W tym czasie miał już na koncie udział w poważnych sprawach, np. w poszukiwaniu sprawców zabójstwa policjanta w Mikołajkach, który zginął na służbie podczas strzelaniny między bawiącymi tam gangsterami. Kiedy wiceszefem Centralnego Biura Śledczego został Janusz Czerwiński, wcześniej naczelnik wydziału kryminalnego KWP w Olsztynie, Miksza przeszedł do miejscowych struktur CBS (od 2014 r. Centralne Biuro Śledcze Policji – CBŚP). Po pewnym czasie, w 2013 r., został szefem wydziału narkotykowego służby nazywanej polską FBI. Poczuł, że ma mocne narzędzie do walki z przemytnikami i handlarzami narkotyków i na serio podjął misję wypłenicia z terenu Warmii i Mazur marihuany, kokainy, a ostatnio także dopalaczy. Dobrał kilku podobnie myślących. Likwidowali plantacje konopi indyjskich i grupy przestępcze, a bandyci na samo wspomnienie „Borysa” zgrzytali zębami. W więzieniach zaznaczali sobie datę wyjścia na wolność z dopiskami: „Borys – wisisz!” albo „Tego dnia zaj... Borysa!”.

SZUKANIE HAKÓW

Miksza miał wyniki i był doceniany przez kierownictwo, ale narobił sobie wrogów także we własnym środowisku. Zwłaszcza gdy zwolnił – jak sam mówi – dwóch lewusów, w tym wyższego stopniem Sławomira K. Tamten się oburzył, bo „przecież kapitan nie może ruszyć majora”, czyli podin-

spektora, ale niedługo pozostał bez przydziału; podobnie jak drugi wyrzucony z CBŚP znalazł zajęcie w Biurze Spraw Wewnętrznych, czyli „policji w policji”. I zaczęły się pogroźki pod adresem „Borysa”.

– Docierały wieści, że zbierają na mnie informacje, że teb mi spadnie, bo przecież go skrzywdziłem. Nie przejmowałem się tym, ale w końcu miarka się przebrała i napisałem raport do komendanta CBŚP, w którym opisałem całą sytuację – opowiada nadkom. Miksza. Podobno raport do adresata nie dotarł, choć „Borys” twierdzi, że zapis o jego wysłaniu figuruje w książce nadania olsztyńskiego zarządu. Czy zaginął gdzieś po drodze?

Niezależnie od tego wydział narkotykowy nadal dobrze funkcjonował, a gdy dotychczasowy szef zarządu olsztyńskiego CBŚP szykował się na emeryturę, zaczęto mówić o Mikszy jako o kandydacie na to stanowisko. Wtedy akcja rozkręciła się na dobre.

Pojawiły się plotki: miałem być sutenerem, łapówkarzem i dilerem narkotyków.

– Ruszyła lawina, zaczęły wyciekać tajemnice o naszych osobowych źródłach informacji, pojawiły się plotki: miałem być sutenerem, łapówkarzem i dilerem narkotyków. Funkcjonariusze BSW szukali na mnie haków, rozpytywali informatorów, czy mam gdzieś plantację marihuany, czy gdzieś na boku kręcę lody, ale nic się nie potwierdziło. W końcu przyczepili się do mojej roboty – wspomina Marcin Miksza.

Rok temu jego sprawą zajął się „Superwizjer” TVN. Reporter Grzegorz Głuszak zadzwonił do podinsp. Sławomira K. z olsztyńskiego Biura Spraw Wewnętrznych z pytaniem, czy próbował znaleźć na Mikszę kompromitujące materiały. Ten nie odpowiedział, odsyłając dziennikarza do rzecznika komendanta głównego policji. Reporter TVN dotarł z kolei do informatorów wydziału narkotykowego, a ci potwierdzili, że BSW chciało ich nakłonić do ujawnienia jakichś grzechów „Borysa”. Nie udało się, choć jeden z przestępców mógł tym sposobem wymigać się od więzienia.

Później Marcin Miksza powiadomił organy ścigania o możliwości popełnienia przestępstwa przez funkcyj-

ariuszy olsztyńskiego wydziału BSW. Sprawa trafiła do Prokuratury Okręgowej w Toruniu, ale jak nas poinformował jej rzecznik, w lutym tego roku została umorzona, gdyż „czyn nie zawiera znamion czynu zabronionego”. Co prawda, rzecznik potwierdził, że w lutym 2016 r. funkcjonariusze BSW rozmawiali z dwoma przestępcami, ale były to czynności operacyjne mieszczące się w granicach prawa. Z zebranych materiałów nie wynika, aby kogoś nakłaniali, tym bardziej na zlecenie prokuratury, do składania fałszywych zeznań na niekorzyść Marcina M.

Z MYŚLIWEGO STAŁ SIĘ ZWIERZYNĄ

Użycie M. zamiast pełnego nazwiska nie jest przypadkowe. W czasie gdy BSW zbierało haki na „Borysa”, naczelnik został wezwany do Prokuratury Regionalnej w Szczecinie (!!), gdzie usłyszał zarzuty niedopełnienia

obowiązków i przekroczenia uprawnień. Na pytanie „Superwizjera”, co się kryje pod tymi sformu-

waniami, prokurator Aldona Lema odparła, że zarzuty wynikają przede wszystkim z ustawy o policji, z czym „wiąże się konkretne przestępstwo narkotykowe”. Konkretnych odpowiedzi pani prokurator nie chciała udzielić, zasłaniając się tajemnicą śledztwa.

Równie enigmatycznie odpowiedział rzecznik prasowy szczecińskiej prokuratury na nasze pytanie, dlaczego po trzyletnim postępowaniu prokurator Lema nie skierowała wobec policjantów z Olsztyna aktu oskarżenia do sądu. A jeśli nie popełnili przestępstwa, dlaczego śledztwa nie umorzono? „Czas trwania tego postępowania wynika z jego charakteru”, pouczył nas rzecznik Marcin Lorenc, dodając, że czynności są prowadzone na bieżąco i na dodatek planowane. A śledztwo przedłuża sam Marcin M., bo ostatnio nie stawiał się na przesłuchanie.

– Pani prokurator chciała coś dodatkowo wyjaśnić, ale wezwanie dostałem dwa dni przed terminem. Powiadomiłem ją, że nie zdążę, bo z Olsztyna do Szczecina kawał drogi, a i ja mam swoje plany – tłumaczy Marcin Miksza. W mediach występuje pod własnym nazwiskiem i z otwartą przytłbicą. Jeden z jego

kolegów, Tomasz Sobczyński, również nie bał się pokazać w programie TVN. Drugi natomiast ciężko przeżywa całą sytuację. Z tego względu „Borys” może mieć wyrzuty sumienia, lecz z drugiej strony jest przekonany, że nie zrobił nic złego i słusznie domaga się przywrócenia do służby. Zwłaszcza że decyzję o przeniesieniu go na emeryturę policyjna góra podjęła przed prawomocnym wyrokiem.

TAJEMNICA ŚLEDZTWA

– Pracując pod przykrywką, szczególnie w wydziale narkotykowym, każdy może być w jakiś sposób umoczony. Nikt nie jest czysty jak niemowlak po kąpieli i na każdego można znaleźć haka – opowiada jeden z długoletnich gliniarzy. Co prawda, Miksza zapewnia, że nie przekroczył tej cienkiej linii, ale coś widocznie na niego znalaziono, skoro postępowanie trwa już trzy lata. Nie może jednak o tym mówić, bo... tajemnica śledztwa. Tymczasem „Superwizjer” zrekonstruował wy-

darzenia, które mogły zdecydować o postawieniu zarzutów byłym już funkcjonariuszom CBŚP.

Miksza i jego dwaj podwładni zastawili pułapkę na handlarzy narkotyków w Trójmieście. Przed gdyńskim hipermarketem ich informator miał się spotkać z dilerem i odebrać od niego porcję prochów. Samochód funkcjonariuszy CBŚP stał w pobliżu i nagle któryś z nich zauważył, że i oni są obserwowani. Sądzi, że przez innych przestępców, więc przerwali operację i diler odjechał z narkotykami, ale w trzech samochodach obserwowali ich funkcjonariusze olsztyńskiego BSW, a odwołana akcja (w konsekwencji – wprowadzenie narkotyków na rynek) posłużyła do postawienia zarzutów „Borysowi” i jego kolegom z CBŚP. Czy ta rekonstrukcja odpowiada prawdzie, będzie można się przekonać podczas rozprawy sądowej. Jeśli do niej dojdzie.

40-letni emeryt Marcin Miksza próbuje sobie znaleźć jakieś zajęcie, ale już wie, że życie mu ucieka. Jego wiara w sprawiedliwość mocno ucierpiała. Po programie telewizyjnym zgłosił

się do niego z pomocą Janusz Kaczmarek, były prokurator krajowy i minister spraw wewnętrznych w rządzie PiS, teraz wzięty adwokat. Ale nie wiadać, żeby i on miał wpływ na zakończenie „sprawy »Borysa«”.

Nie doczekaliśmy się również od rzecznika CBŚP jasnej odpowiedzi na pytanie, jakie były podstawy zwolnienia, formalnie – przeniesienia na emeryturę, Marcina Mikszy i jego kolegów jeszcze przed sformułowaniem wobec nich aktu oskarżenia. Kom. Iwona Jurkiewicz powołała się na „ochronę prawnie chronionych tajemnic”, w tym prawo do prywatności osoby fizycznej (czyli Mikszy, który nie ukrywa swojej tożsamości). Nie dowiedzieliśmy się też, czy policjanci będą mogli wrócić do służby po ich ewentualnym uniewinnieniu. Na razie ich sprawą zajmuje się także Zachodniopomorski Wydział Zamiejscowy Departamentu ds. Przestępczości Zorganizowanej i Korupcji Prokuratury Krajowej w Szczecinie. A ta groźna nazwa mówi sama za siebie.

Marek Książek



Smaker

•

Odkryj tajemnicę udanych świąt

•

wejdź na
www.smaker.pl

I TYLKO USZATKA ŻAL

Upadek łódzkiego Se-ma-fora to wielka strata dla polskiej kultury, ale nie koniec rodzimej animacji lalkowej



Studio Małych Form Filmowych Se-ma-for było najbardziej znane z seriali dla dzieci, m.in. o Misiu Uszatkcu.

Michał Sobczyk

12 października w nieczynnym od stycznia Muzeum Animacji Se-ma-for pojawił się komornik. Liczne eksponaty, m.in. figurki Misia Uszatka i Misia Colargola, zostały zajęte na poczet długów obecnego właściciela placówki, spółki Se-ma-for Technikal Solutions. Wcześniej, 18 września, Wydział Kultury Urzędu Miasta Łodzi złożył do prokuratury doniesienie o możliwości popełnienia przestępstwa w postaci niewłaściwego zabezpieczenia zabytków, gdyż część scenografii ze słynnych animacji była składowana przed siedzibą muzeum i niszczała. Magistrat od dawna zabiegał o uznanie ekspozycji za mienie porzucone, dzięki czemu mógłby ją przejąć, jednak wiosną okazało się to niemożliwe, gdyż została objęta egzekucją komorniczą. W tym samym czasie zerwane zostały negocjacje muzeum z resortem kultury, któ-

ry zaproponował odkupienie zbiorów. Właściciel zażądał za nie bowiem aż 3 mln zł.

Większość eksponatów w placówce była pożyczona od innych łódzkich instytucji, m.in. od Muzeum Kinematografii, te przedmioty wróciły do właścicieli. Na prośbę komorników FilMOTEKA Narodowa wyceniła przejęte lalki i dekoracje, jej zdaniem są one warte 300 tys. zł. 18 października przyjechał do Łodzi wiceminister kultury Paweł Lewandowski i uspokajał, że żaden eksponat o wysokiej wartości kulturalnej nie trafi na aukcję. Prawo pierwokupu przysługuje instytucji wskazanej przez resort, który deklaruje, że odkupi zbiory i przekaże je Narodowemu Centrum Kultury Filmowej w Łodzi.

Pamiętki po bajkach, na których wychowały się pokolenia Polaków, wydają się zatem bezpieczne. Niestety, wszystko wskazuje na to, że smutny koniec spotkał sam Se-ma-for.

DWA OSCARY I DWA UPADKI

Wytwórnia powstała w 1947 r. jako Studio Filmów Kukiełkowych Filmu Polskiego. Po kolejnych przekształceniach od 1960 r. funkcjonowała jako samodzielne Studio Małych Form Filmowych Se-ma-for, specjalizujące się w produkcji filmów lalkowych i rysunkowych, również dla dorosłych, a także krótkich filmów aktorskich, dokumentalnych i eksperymentalnych. Pierwsze filmy kręcili w nim twórcy tej rangi co Roman Polański, Andrzej Kondratiuk, Filip Bajon, Krzysztof Krauze, Józef Robakowski czy Zbigniew Rybczyński, któremu współpraca z łódzkim studium przyniosła w 1983 r. Oscara za najlepszy krótkometrażowy film animowany. Jednak wytwórnia była najszerzej znana z seriali dla dzieci: lalkowych, jak „Miś Uszatek”, „Przygody Misia Colargola” czy „Mały pingwin Pik-Pok”, oraz rysunkowych, jak „Zacza-

rowany ołówek” i „Dziwny świat kota Filemona”. Wiele z nich było lub nadal jest emitowanych również za granicą, a w Słowenii, Finlandii i Japonii Uszatek jest wręcz misiem instytucją.

Jedyna w kraju wytwórnia filmów lalkowych, od roku 1990 działająca pod nazwą Studio Filmowe Semafor, nie poradziła sobie w nowej rzeczywistości, m.in. z powodu wycofania się Telewizji Polskiej z finansowania

nej Prokofiewa, którą w 2008 r. wyróżniono Oscarem dla najlepszej krótkiej animacji. Aby wesprzeć funkcjonowanie studia, łódzcy artyści powołali Fundację Filmową Se-ma-for, która zajmowała się także prowadzeniem Muzeum Animacji. Cały ten kapitał został jednak roztrwoniony i dziś po dawnym Se-ma-forze zostało kilka spółek, z których żadna nie produkuje już filmów, oraz wiele niespłaconych

sia i wilka”, w którym miał niewielki udział, a następnie uwierzył, że jest fantastyczny, i całkowicie stracił poczucie rzeczywistości.

Ponieważ producent oscarowego obrazu Hugh Welchman nie chciał współpracować ze Żmudzkim przy swoim kolejnym filmie, „Zaczarowanym fortepianie”, Se-ma-for złożył do Polskiego Instytutu Sztuki Filmowej wniosek o dofinansowanie własnej

Dekoracje do „Parauszka” powstawały głównie ze śmieci znalezionych wokół studia, patyków i gipsu, tymczasem faktury na nie były całkiem spore.

produkcji seriali dla dzieci, ale także na skutek niejasnych decyzji biznesowych. – Do upadku Semafora, jak i paru innych państwowych instytucji filmowych, doprowadził nakaz z góry, by kupić na kredyt drogie urządzenie do udźwiękowiania, które w związku z rozpoczynającą się rewolucją cyfrową szybko stało się bezużyteczne – przekonuje były pracownik studia.

W listopadzie 1999 r. Komitet Kinetematografii podjął decyzję o likwidacji państwowego studia Semafor. Jednocześnie zezwolił spółce założonej w grudniu przez pracowników wytwórni pod wodzą szefa produkcji, Zbigniewa Żmudzkiego, na używanie historycznej nazwy. Firma Se-ma-for Produkcja Filmowa odkupiła sprzęt Semafora i produkowała filmy lalkowe. Powstały w niej m.in. nagradzane na festiwalach artystyczne filmy dla dorosłych oraz stworzony w koprodukcji z brytyjskim studiem BreakThru Films „Piotruś i wilk” Suzie Templeton – adaptacja baśni muzycz-

zobowiązań i toczące się postępowania prokuratorskie.

PIOTRUŚ I WILK?

Wydarzenia, które doprowadziły do tej sytuacji, obszernie opisała Agnieszka Sowa w „Polityce” (46/2018). Jednak byli pracownicy Se-ma-fora przekonują, że jej tekst odsłania jedynie część prawdy. Wynika z niego, że drapieżny szwajcarski biznesmen Luc Toutounghi wykorzystał naiwność prezesa Żmudzkiego i problemy finansowe studia, by przejąć nad nim kontrolę, a następnie doprowadził je do ostatecznego upadku i zniknął. – Podstawową przyczyną problemów Se-ma-fora był brak kompetencji Żmudzkiego do prowadzenia wytwórni filmowej – protestuje artysta od lat związany ze studiem. – To nie jest człowiek, który potrafi pozyskać pieniądze, rozliczyć się z ludźmi i skończyć film. Podpiął się pod sukces „Piotru-

animacji o Chopinie. – Pieniądze z PISF bardzo szybko się rozeszły, ponieważ pan Żmudzki zaczął je szerokim gestem wydawać, wysyłając duże delegacje do Japonii czy Ameryki Południowej, jakoby w celach biznesowych, czy kupując sprzęt, który potem leżał i się kurzył. Za całą pierwszą transzę dotacji powstały: jedna lalka, scenariusz i parę wstępnych projektów, dlatego pieniądze trzeba było zwrócić, a „Serce w murze” ostatecznie nie zostało nakręcone – opowiada mój rozmówca.

Kolejnym przedsięwzięciem studia był „Parauszek i przyjaciele” – pierwszy od czasów „Misia Uszatka” polski serial lalkowy. Miał on zapewnić zespołowi Se-ma-fora stałe zatrudnienie oraz umożliwić czerpanie zysków z maskotek, książek czy gier komputerowych. – Dekoracje do tej produkcji powstawały głównie ze śmieci znalezionych wokół studia, ▶



Po Studiu Filmowym Semafor została tylko tabliczka.

12 października br. do Muzeum Animacji Se-ma-for wszedł komornik. Liczne eksponaty zostały zajęte na poczet długów obecnego właściciela.

► patyków i gipsu, tymczasem faktury na nie były całkiem spore. Pan prezes chwalił się tym innym producentom i pouczał ich, jak mają zawyżać koszty, żeby otrzymać wyższe dofinansowanie – wspomina osoba pracująca przy serialu. Do dzisiaj nie otrzymała całego wynagrodzenia, gdyż duża część środków przeznaczonych na płace poszła na zwrot dotacji z PISF.

Na produkcję drugiej serii „Parauszka” wytwórnia zaciągnęła

ma nie uniknęłyby równi pochyłej. – Kiedy w 2009 r. przyszedłem do pracy w studio, nie było w nim jeszcze szwajcarskiego koproducenta, ale już wtedy były problemy finansowe i złe gospodarowanie pieniędzmi. Środki pozyskiwane na filmy szły na inne cele, np. na remonty, mimo że budynek nie należał do Se-ma-fora – opowiada graficzka Maria Dzierżanowska. – Znakomity „Ichthys” Marka Skrobeckiego dwa lata leżał na półce,

ponatów przez kobietę udzielającą pożyczki – precyzuje Kopania.

Trwa ponadto sądowa batalia o spółkę Se-ma-for Produkcja Filmowa, w której ekspreses i jego zastępca nadal mają udziały. Jednak zdaniem Dzierżanowskiej studio już się nie podniesie. Wiele osób zajmujących się animacją lalkową nie ma bowiem zamiaru współpracować ani z Toutounghim, ani ze Żmudzkim, a to środowisko jest przecież niewielkie. W dodatku nawet pod nowym zarządem łódzka wytwórnia mogłaby mieć problemy ze wznowieniem produkcji. – Głównym majątkiem Se-ma-fora byli artyści, którzy tam pracowali, w swoich specjalizacjach jedni z najlepszych na świecie. Rozjechali się po Polsce i dalej i raczej nie będą chcieli wracać do Łodzi – uważa graficzka.

Grafik, który pracował kiedyś w Se-ma-forze, podkreśla, że większość animatorów sopockiego Studia Trefl to spadochroniarze z łódzkiej wytwórni. – Można powiedzieć wiele gorzkich słów pod adresem tej instytucji, ale faktem jest, że warsztat animacyjny był tam porządnym.

ŁÓDŹ NADAL PŁYNIE

– Upadek wytwórni jest nieodżałowaną stratą dla polskiej kinematografii. Studio miało nie tylko tradycję, ale i zaplecze, *know-how* oraz światową renomę. Nie można jednak powiedzieć, że upadła cała polska animacja lalkowa, ponieważ w Sopocie powstało Studio Trefl – mówi Ewa Sobolewska, prezes poznańskiego TV Studia Filmów Animowanych,

Na produkcję drugiej serii „Parauszka” wytwórnia zaciągnęła ogromne kredyty, choć lalki i dekoracje były już gotowe.

ogromne kredyty, chociaż lalki i dekoracje były już gotowe. – W owym czasie w Se-ma-forze pracowało bardzo dużo ludzi, nieraz nie wiadomo po co: asystenci, asystenci asystentów, sekretarki. To był początek końca, bo Żmudzki nie był w stanie dłużej wyciągać publicznych pieniędzy, a środków prywatnych pozyskiwać nie umiał nigdy – kontynuuje wspomniany twórca. To wtedy Toutounghi, który od lat kręcił się wokół studia, zaproponował, że jego angielscy współpracownicy udzielą Se-ma-forowi pożyczki, a on później ją odda, jak tylko dostanie pieniądze, które rzekomo obiecali mu m.in. szwajcarska telewizja i arabscy inwestorzy. Pożyczka była początkiem opisanych przez Agnieszkę Sowę machinacji, które doprowadziły do przejęcia przez Szwajcara studia oraz fundacji i sukcesywnego przekazywania ich majątku do spółki Se-ma-for Technikal Solutions.

Toutounghi był w stanie przejąć studio, ale nie potrafił prowadzić działalności w branży filmowej (obecnie podejmuje kolejne próby, tym razem w... Chinach). – To mitoman, który w życiu nie wyprodukował niczego do końca, zwłaszcza filmu lalkowego – przekonuje były członek zespołu, który realizował serial o Parauszku. – Każde z nas przynajmniej raz ostrzegało Żmudzkiego, że współpraca z tym człowiekiem może źle się skończyć, skoro żadna z jego obietnic nie znajdowała pokrycia w rzeczywistości. Mimo to szef mu zaufał.

Byli pracownicy łódzkiej wytwórni kolejny raz podkreślają jednak, że nawet bez wrogiego przejęcia fir-

bo pan Żmudzki nie potrafił załatwić postprodukcji. A kiedy reżyser z operatorem po znajomości wyzebrali gdzieś pieniądze na dokończenie ich filmu, prezes nawet nie wystąpił na żaden festiwal – żali się jeden z artystów. Dodaje, że podsumowaniem kompetencji jego byłego szefa jest wykluczenie go z szeregów Stowarzyszenia Filmowców Polskich.

Jeszcze inny dawny pracownik Se-ma-fora podkreśla, że Zbigniew Żmudzki, którego nazywa „niekompetentnym pocziwiną”, nie trwonił pieniędzy sam. – Nie można zapominać o Adamie Ptaku, który zaczął pracę w firmie jako kierowca, a kończył jako dyrektor finansowy – tylko dlatego, że w międzyczasie poślubił i obdarzył potomkiem córkę pana Żmudzkiego. Pan Ptak nie miał doświadczenia w branży filmowej, wcześniej zarządzał restauracją KFC, jednak jego najcięższym grzechem była nie głupota, tylko mobbing i notoryczne wymuszanie na pracownikach pracy za darmo.

Dziś po Se-ma-forze zostało kilka spółek, z których żadna nie produkuje filmów, wiele niespłaconych zobowiązań i postępowań prokuratorskie.

Jak informuje Krzysztof Kopania, rzecznik łódzkiej prokuratury okręgowej, aktualnie toczy się sześć postępowań związanych z wytwórnią i fundacją. Dotyczą m.in. przestępstw skarbowych, niewłaściwego zabezpieczenia zabytków przed uszkodzeniem lub zniszczeniem i pożyczki udzielonej Se-ma-for Technikal Solutions pod zastaw przedmiotów wchodzących w skład ekspozycji. – Prokuratura bada, czy intencją zawarcia umowy nie była chęć przejęcia wyposażenia i eks-

które sporadycznie także realizuje filmy tą techniką. Choć dotąd tylko sopocka wytwórnia, założona przez jednego z największych producentów puzzli w Europie, podjęła się dużej produkcji – sprzedanego następnie TVP serialu dla dzieci „Trefliki” – podmiotów zajmujących się animacją lalkową jest więcej. – Wspomniana technika nie tylko odzyskuje dawną świetność artystyczną, ale również odradza się na polu biznesowym. Firm działających w tej branży jest



Miś Colargol doczekał się w Łodzi pomnika.

pod uwagę to, że w łódzkiej szkole filmowej mamy specjalność film animowany i efekty specjalne, które absolwenci nie mogą potem znaleźć pracy na miejscu.

W KLATCE

Ewa Sobolewska wskazuje, że systemowego wsparcia dla polskiej animacji brakuje przede wszystkim ze strony telewizji publicznej, która np. współfinansowałaby filmy dotowane przez PISF. – W Skandynawii i w „starych” krajach UE nadawcy publiczni zamawiają i współproduktują seriale dla dzieci – we własnym języku, oparte na rodzimej kulturze i tradycji. Filmy lalkowe to ogromne koszty i niewielkie możliwości dystrybucji. W zeszłym roku zrobiliśmy artystyczną animację dla dorosłych, która jest wysoko oceniana na międzynarodowych festiwalach, tylko że nie ma co z nią zrobić. Może co najwyżej TVP Kultura ją czasem po-

OD ŻUKÓW DO KRABA

– Polska animacja lalkowa zaczęła po prostu żyć innym życiem niż telewizyjne. Nie powstaje zbyt wiele produkcji dla dzieci, za to krótkometrażowe animacje dla dorosłych zdobywają coraz więcej nagród na festiwalach – zgadza się Anna Mroczek z WJTeam. Jej zdaniem zawsze znajdują się osoby zainteresowane oglądaniem, ale także tworzeniem takich filmów. – Wspólnie z łódzką Akademią Sztuk Pięknych, Filmówką i centrum edukacji MOMAKIN przygotowujemy właśnie szkolenia z budowy lalek. Chcemy zachęcić do współpracy utalentowanych ludzi, którzy może nawet nie wiedzą, że mają predyspozycje do zajęcia się filmem lalkowym – mówi.

Przykładem tego, że magia animacji lalkowej bywa nieodparta, jest Piotr Chmielewski. Pochodzący z Łodzi afrykanista i ekonomista z otwartym przeżyciem doktorskim w coraz większym stopniu podporządkowuje swoje życie filmom lalkowym. – Na pewno nie jest to lekki kawałek chleba, ale jeśli ma się pasję, można liczyć na ogromną zycz-

na razie stosunkowo mało, ale są prężne – przekonuje Wojciech Leszczyński z założonej przez byłych pracowników Se-ma-fora spółki WJTeam, wyspecjalizowanej w budowie lalek i scenografii. Łódzkie przedsiębiorstwo ma klientów m.in. w Norwegii, Czechach i Kanadzie, przygotowało lalki choćby do głośnej „Wyspy psów” Wesa Andersona, a na zbliżających się targach w Singapurze będzie szukać partnerów do dwóch własnych produkcji. Tworzenie filmów lalkowych mają w ofercie także inne łódzkie firmy, założony w 1990 r. Anima-Pol, nowo powstałe studio 4CUTS oraz państwowe Centrum Technologii Audiowizualnych z Wrocławia.

Jednak zdaniem Jadwigi Wendorff z Anima-Polu, która w latach 1979-1990 była dyrektorem kreatywnym w Se-ma-forze, nie ma co liczyć, że w Łodzi ponownie będą powstawać duże produkcje. – Nie ma już bazy, z której można by korzystać – argumentuje, ale zaraz dodaje, że Łódzki Fundusz Filmowy mógłby przyznawać dodatkowe punkty projektom lokalnych producentów. – Wsparcie miasta dla tej dziedziny sztuki w ogóle jest za małe. Zwłaszcza wzięwszy

Semafor nie poradził sobie w nowej rzeczywistości, m.in. z powodu wycofania się TVP z finansowania produkcji seriali dla dzieci.

każe – wzdycha Jadwiga Wendorff. Rynek reklamy jest zbyt kapryśny, by mógł utrzymać branżę, a 15 mln zł przeznaczane corocznie przez PISF na całą polską animację to niewystarczający impuls do jej rozwoju. Sponsorów komercyjnych niełatwo pozyskać, bo filmy animowane raczej nie mają spektakularnych premier.

Wszystko to sprawia, że zdaniem Jadwigi Wendorff w przypadku animacji lalkowej trudno mówić o branży. – Jest jedna duża seria komercyjna, „Trefliki”, i pojedyncze lalkowe filmy artystyczne. Poza Studiem Trefl żadna inna firma nie byłaby w stanie sfinansować produkcji liczącej co najmniej 52 odcinki, a tylko taka może liczyć na szerszą dystrybucję czy zarabianie na gadżetach. Dlatego nie bardzo widzę szansę, że pojawi się drugi Se-ma-for z własnym Uszakiem. Tym bardziej że jeśli historia jest interesująca, to małemu dziecku jest wszystko jedno, czy ogląda na ekranie prawdziwe lalki, czy trójwymiarowe postacie wykreowane w komputerze, co jest dużo tańsze.

liwość i konkretne wsparcie środowiska – przekonuje. Wierzy, że animacja lalkowa ma w Polsce przyszłość ze względu na tradycję, jedną z najlepszych uczelni w Europie oraz wielu świetnych i względnie tanich twórców. Z zapałem opowiada o możliwościach poszukiwania partnerów, jakie stwarza CEE Animation – platforma współpracy twórców animacji z Europy Środkowo-Wschodniej.

Chmielewski, który na razie stworzył kilka animacji dla organizacji pozarządowych, m.in. dla Polskiej Akcji Humanitarnej, pracuje nad obrazem o krabie, którego katastrofa „Titanica” uratowała przed trafieniem na talerz. Marzy, aby był to początek serii filmów pokazujących znane wydarzenia z perspektywy zwierząt. Jeśli mu się uda, nawiąże w ten sposób do najpiękniejszych polskich tradycji: pierwsza na świecie animacja lalkowa, nakręcona ponad sto lat temu przez Władysława Starewicza „Piękna Lukanida”, przedstawiała żuki odgrywające mitologiczne role Heleny i Parysa.

Michał Sobczyk

Wojciech Osiński
Korespondencja z Berlina

7 grudnia chadeccy delegaci wybrali Annegret Kramp-Karrenbauer na nową szefową CDU i tym samym na następczynię Angeli Merkel, która do 2021 r. pozostanie szefową rządu, ale zrezygnowała z kierowania partią. Kramp-Karrenbauer, nazywana przez media AKK, wygrała w drugiej turze z Friedrichem Merzem, który dla prawie połowy delegatów utożsamia „konserwatywne przebudzenie”. Była już sekretarz generalna partii, z CDU związana od 27 lat, jest uważana za osobę namaszczonej przez samą Merkel – m.in. z tego względu przyłgała do niej przydomek „Mini-Merkel”. Objąwszy nową funkcję, 56-letnia przewodnicząca z miejsca próbowała rozwiązać wszelkie wątpliwości. „W ostatnich tygodniach czytałam o sobie wiele bzdur, jakobym była kopią kanclerz itd. Jestem osobą ukształtowaną przez zupełnie inne doświadczenia życiowe i polityczne”, przekonywała 1001 członków partii w Hamburgu.

Niezbędnych kwalifikacji trudno jej odmówić. AKK przeszła prawie wszystkie możliwe szczeble kariery politycznej, od działalności w chadeckiej młodzieżówce Junge Union po mandat posłanki do Bundestagu i liczne stanowiska w Kraju Saary. W swoim mateczniku piastowała funkcję m.in. ministra spraw wewnętrznych, edukacji oraz polityki społecznej, od 2011 r. zaś premiera landu.

KOPIA MERKEL?

W stwierdzeniu, że AKK miała inne doświadczenia niż obecna kanclerz, jest wiele prawdy – dotyczy to choćby życia prywatnego, bo ma dzieci. Pochodzi z jednego z zachodnich krajów związkowych, gdzie dzieciństwo w czasach żelaznej kurtyny wyglądało zupełnie inaczej. Ale podobnie jak Merkel jest racjonalna i zachowuje spokój, nawet gdy emocje partyjnych kolegów sięgają zenitu.

Pod względem marketingu politycznego AKK rzeczywiście nie kojarzy się ze zmianami na czele CDU. A merytorycznie?

Grudniową konwencję partyjną poprzedziły konferencje regionalne,

KONTYNUACJA CZY NOWY POCZĄTEK?

Po rozsadach na szczytach CDU niektórzy twierdzą, że Angela Merkel zapewniła sobie wpływy na lata



Nowa przewodnicząca CDU Annegret Kramp-Karrenbauer na sekretarza partii wysunęła kandydatura Paula Ziemiaka.

na których wszyscy kandydaci – AKK, Merz oraz Jens Spahn – prezentowali swoje wizje i próbowali odnaleźć klucz do serc członków CDU. Sposób, w jaki AKK dystansowała się od poprzedniczki, mógł rzeczywiście zaskoczyć. Była premier Kraju Saary przedstawiała argumenty, które miały właściwie paść z ust jej konserwatywnych konkurentów. Pod koniec listopada w badenśkim Böblingen przemawiała do 2 tys. chadeków, piętnując „ciężkie lata” Wielkiej Koalicji. Jeszcze przed objęciem nowego urzędu odważyła się zrobić coś, czego szefowa SPD Andrea Nahles nie potrafi do dziś – wystąpić w roli tępicielki ministrów ze swojej partii, którzy zasiadają w rządzie federalnym. Natomiast na konferencji w Lubece oznajmiła: „Musimy

wreszcie zacząć poważnie i szczerze dyskutować o sprawach, które do tej chwili zamykano pod dywan”. Można było odnieść wrażenie, że AKK, wcześniej bezbrzeżnie lojalna wobec Merkel, teraz przestała gryźć się w język – dopiero gdy kanclerz nie mogła już jej wycofać z wyścigu o fotel szefowej CDU.

Zresztą AKK miała zupełnie inny plan. Gdy Merkel w październiku zainicjowała stopniowy odwrót od polityki, jej dzisiejsza następczyni nie kryła zdumienia. Jak wielu innych sądziła, że szefowa CDU pożegna się z tą funkcją w 2021 r. AKK nie zamierzała tak szybko odcinać się od kursu wytyczonego przez obecną kanclerz. Kiedy w lutym 2018 r. Merkel powołała ją na stanowisko sekretarza

generalnego CDU, chciała powoli wyostrzyć swój profil i czekać cierpliwie na odpowiednią chwilę, aby wychynąć z politycznej kryjówki. Tyle że nagle musiała się przymierzyć do sprintu i wyostrzyć profil w ciągu kilku tygodni. Dopiero wtedy w opinii wielu chadeków wyszło szydło z worka.

KONKURS KONSERWATYSTÓW

Na początku listopadowej kampanii wszyscy się spodziewali, że AKK zacznie powtarzać frazesy pani kanclerz („damy radę”), a jej konkurenci będą walczyć o sympatię konserwatystów. Ale już na pierwszej konferencji regionalnej cała trójka kandydatów licytowała się na kamuflowane atakowanie rządów Merkel. Głównym tematem okazał się kryzys migracyjny. AKK, Merz i Spahn w trakcie namiętnych debat sprawiali wrażenie, jakby chcieli wyrwać partyjną batutę z rąk nie szefowej CDU, lecz znanego z polemicznych salw przewodniczącego CSU Horsta Seehofera. I właśnie w tej kwestii

tygodniach tak dobrze wypadła na konferencjach.

Start zapomnianego już prawie Merza zaskoczył ją w podobny sposób jak odwrót Merkel. Szybko jednak się otrząsnęła i skoncentrowała na swoich zdolnościach. Doskonale bowiem wiedziała, że kiedy Merz był politycznie nieobecny i zarabiał miliony w radach nadzorczych

choć rezygnowała z wygłaszania poglądów uchodzących wcześniej za niezachwiane. Rządziła już z FDP i Zielonymi i stała przez wiele lat na czele czarno-czerwonej koalicji z SPD, czyli Wielkiej Koalicji na lokalnym szczeblu. Zanim wystartowała w wyścigu o fotel szefowej CDU, ani razu nie skrytykowała decyzji rządu federalnego z jesieni 2015 r.,

Podziały w CDU istnieją i tylko nieliczni uważają, że do 2021 r. naprawdę dojdzie do spektakularnych zmian.

wielkich spółek, ona mozolnie budowała pozycję w partii, stawiając czoła wyzwaniom w największym sondażowym kryzysie ugrupowania po 1945 r. Chciała więc udowodnić głównemu konkurentowi, że nie można po latach absencji wyskoczyć jak król z kapelusza i wygrać. W wywiadzie dla tygodnika „Frankfurter Allgemeine Sonntagszeitung” opowiadała o swoich zasługach na stanowisku ministra spraw wewnętrznych w Kraju Saary: „O bezpieczeństwie wiele się mówi, ale

kiedy Merkel zawiesiła konwencję dublińską i otworzyła granice dla imigrantów.

Po objęciu urzędu AKK na pewno powtórnie skorzysta ze swojej politycznej giętkości, ale w jakim kierunku to pójdzie? Będzie mrugać na Zielonych, którzy cieszą się ogromnym zaufaniem w centrum sceny politycznej, czy raczej zabezpieczy prawą flankę, eliminując populistów? Umiejętne balansowanie na tej krawędzi zapewniło jej poprzedniczce przez 18 lat sukces, ale teraz paradoksalnie stanowi przyczynę jej schyłku. I właśnie ten pragmatyzm à la Merkel powoduje, że wybór niemal połowy chadeckich delegatów w Hamburgu padł na Merza. 49% powątpiewało, że AKK odnowi partię.

Nowa przewodnicząca wygrała z niewielką przewagą.

była sekretarz generalna zyskała wśród delegowanych najwięcej uznania. Zwłaszcza że fetowany wcześniej Merz tygodniami miał złą prasę, bo kojarzył się jedynie z grubym portfelem, mniej zaś z programem prawdziwej odnowy. Z kolei AKK nieoczekiwanie przestała się obawiać narzędzi populizmu. O nieuchronności deportacji Syryjczyków, którzy wchodzą w kolizję z prawem, mówiła w tonie znacznie ostrzejszym niż niektórzy liderzy bawarskiej chadecji.

Część komentatorów jest więc przekonana, że AKK i namaszczony na szefa CSU Markus Söder będą stanowić zgrany duet, który w kolejnych latach przeprowadzi długo wyczekiwaną w chadecji woltę, niwecząc rację bytu Alternatywy dla Niemiec (AfD). Zresztą oboje są wolni od odium Wielkiej Koalicji. Tymczasem inni zastanawiają się, czy po ostatnich zjazdach CDU Annegret Kramp-Karrenbauer rzeczywiście przekazuje słowa w czyn. Uchodzi za osobę wysoce pragmatyczną i elastyczną i właśnie ta giętkość polityczna sprawiała, że w ostatnich

tygodniach tak dobrze wypadła na konferencjach. Po czym dodała: „Nie jest tak, że zaledwie kilka mocnych słów uwolni wyborców z szanów AfD. Tu trzeba działać!”. Czytelnik od razu wiedział, o kim mówi. Z przebiegu jej kariery w Saarbrücken wyłania się obraz osoby, która działać potrafi. Przy czym gwoździ zachowania wpływów AKK umiała także dostosować swoje poglądy do ram określonych przez koalicjanta. W tym kontekście trudno nie doszukiwać się podobieństw do urzędującej kanclerki. Jako premier landu AKK zawsze była asertywna,

KONFLIKTY W CDU

Nowa przewodnicząca wygrała zatem z niewielką przewagą, a na twarzach niektórych konserwatystów malował się nie tyle zawód, ile szok. Zapiękość, z jaką przedstawiła różne skrzydła w CDU walczący o swoich faworytów, dowodzi, że chadecja jest bardzo podzielona. Kilka dni przed grudniową konwencją Wolfgang Schäuble otwarcie nawoływał do poparcia Friedricha ▶

Kościelny uczyony wraca do wymyślonych żydowskich mordów rytualnych, a w Jedwabnem znów dochodzi do realnych mordów. Szczegóły w nowym numerze tygodnika „NIE”.



► Merza, który miałby być „najlepszym rozwiązaniem dla Niemiec”. Z kolei minister gospodarki Peter Altmaier, zaufany Angeli Merkel, w wywiadzie w „Rheinische Post” utrzymywał: „Tylko AKK poprowadzi nas do pewnego zwycięstwa w eurowyborach”. Wieloletni szef Urzędu Kanclerskiego był przekonany, że obeznany w biznesie i gospodarce Merz przesunąłby CDU na prawo, osłabiając liberałów z FDP, naturalnych koalicjantów chadeckiej, oraz uruchamiając ucieczkę umiarkowanych wyborców do obozu Zielonych. „AKK jest jedyną osobą, która potrafi wygrywać wybory w centrum”, powtarzał Altmaier. Za jej kandydaturą opowiedział się także nieoczekiwanie Norbert Blüm, były minister w rządzie Kohla i jedna z szarych eminencji kojarzonych z obozem konserwatystów. Blüm jest jednak wyznawcą innych wartości niż Merz. „Ludwig Erhard nigdy nie przyjąłby pracy w zarządach lub radach nadzorczych wpływowych firm”, grzmiał. Bardziej pojednawczo zachowywał się Armin Laschet, premier Nadrenii Północnej-Westfalii. „Uważam, że każdy z trojga kandydatów jest potrzebny naszej partii, choć zauważam oczywiście różnice w ich poglądach”, powiedział wiceszef CDU w rozmowie z dziennikiem „Bild”.

Czy AKK pogodzi swoje ugrupowanie? Pierwszą próbą zasypania

podziałów było wysunięcie na stanowisko sekretarza generalnego Paula Ziemeiaka, który nie ukrywał sympatii dla Merza i Spahna. Dziś urodzony w 1985 r. w Szczecinie polityk jest najmłodszym sekretarzem generalnym w historii CDU i pierwszym politykiem polskiego pochodzenia, który zaszedł tak wysoko w jej strukturach. Warto przypomnieć, że wcześniej tę funkcję pełnili takie chadeckie legendy jak Heiner Geissler, Kurt Biedenkopf, oczywiście Angela Merkel i do niedawna sama AKK. Rodzice Ziemeiaka

AKK wysunęła na stanowisko sekretarza generalnego Paula Ziemeiaka, który nie ukrywał sympatii dla konkurentów.

przyjechali do Niemiec, kiedy miał cztery lata, toteż trudno mu zupełnie wymazać polskość z biografii. „Polaków darzę wielką sympatią. Urodziłem się w Polsce i tego nie zapomnę, choć cieszę się, że jestem Niemcem”, tłumaczył na łamach portalu Merkur.de, kiedy w 2017 r. został posłem do Bundestagu. Do niedawna Ziemeiak był także szefem chadeckiej Junge Union, największej partyjnej przybudówki w Europie. Należał obok Spahna i innych młodych wilków do najgorliwszych krytyków polityki Merkel. Już od dłuższego czasu uchodził za kandydata

na stanowisko sekretarza generalnego CDU, choć sam podkreślał, że nie będzie kandydował w przypadku zwycięstwa AKK. W końcu zmienił zdanie, uzasadniając decyzję chęcią odnowienia partii i nadania jej innego kursu.

Czy nowa szefowa ugłaskała niepokornego młodzieńca podobnie jak niedawno Merkel Spahna, kusząc go awansem w strukturach CDU? „Nie musimy się obawiać wyborów do Parlamentu Europejskiego. Przeciwnie, powinniśmy się na nie cieszyć, ponieważ je wygramy”, twierdził

33-letni polityk tuż przed głosowaniem w Hamburgu. Jedno natomiast jest pewne – nowa przewodnicząca chciała nominacją Ziemeiaka uciąć dyskusje na temat podziałów w CDU. „Naszym wspólnym zadaniem jest pracować na rzecz utrzymania jedności partii”, zadeklarowała.

Podziały tymczasem istnieją i tylko nieliczni uważają, że do 2021 r. naprawdę dojdzie w CDU do spektakularnych zmian. „Kobiety mają to w zwyczaju, że raz przytulają, a raz spoliczkują, jeśli uważają to za stosowne. To doskonała strategia, aby utrzymać umiar i pozyskiwać wyborców w centrum”, ironizuje wiceszef FDP Wolfgang Kubicki. I choć trudno się zgodzić z tonem wypowiedzi ostatniego „macho” niemieckiej polityki, w niemieckich mediach widać podobne nastawienie: AKK jako zachodnoniemiecka katoliczka jest może nawet bardziej niż Merkel utożsamiana z korzeniami CDU, lecz będzie musiała się poruszać w ramach wyznaczonych przez poprzedniczkę.

I ostatnie pytanie: czy nowa szefowa ugrupowania, które jednak nadal wygrywa prawie wszystkie wybory, przejmie w 2021 r. stery także w Urzędzie Kanclerskim? Kiedy 18 lat temu zapytano Rolanda Kocha, wpływowego wtedy polityka chadeckiej i ówczesnego premiera Hesji, czy świeżo upieczona przewodnicząca CDU Angela Merkel może kiedyś zostać szefową rządu, odparł: „Śmiem wątpić”. Dzisiaj Koch jest historią.



Rozjaśnij dzieciom święta

Dla tysięcy opuszczonych dzieci święta są ponure, samotne i smutne. Pomóż rozjaśnić ten czas. Wesprzyj SOS Wioski Dziecięce, gdzie dzieci odnajdują dom i opiekę.

Przekazaj świąteczną darowiznę na www.dziecisos.org
Nr konta: 07 1240 6247 1111 0000 4975 0683

Partner medialny:

 **SOS WIOSKI DZIECIĘCE**

Wojciech Osiński

Mapa drogowa edukacji

Parlament Europejski stawia na indywidualny rozwój ucznia i wsparcie nauczyciela

Koniec roku sprzyja podsumowaniom. Także Parlament Europejski zmierza do zbilansowania swojej aktywności w minionych 12 miesiącach. O wskazanie najważniejszych inicjatyw w 2018 r. poprosiliśmy europosłankę Krystynę Łybacką, reprezentującą grupę Postępowego Sojuszu Socialistów i Demokratów w Parlamencie Europejskim.

Głównym obszarem, którym zajmuje się pani poseł, jest sfera edukacji. Czy na tym polu Parlament Europejski może się pochwalić jakimiś szczególnymi osiągnięciami w mijającym roku?

– Przypomnijmy na początku, że kształt systemów edukacji jest domeną państw członkowskich i to one w największym stopniu odpowiadają za jakość kształcenia w danym kraju. Niezwykle ważną rolę Unii Europejskiej, szczególnie Parlamentu Europejskiego, jest jednak wskazywanie wzorców, dzięki którym systemy krajowe będą się rozwijać w najlepszym kierunku. W połowie tego roku Parlament Europejski przyjął rezolucję przygotowaną na podstawie raportu, którego byłam autorką, dotyczącą modernizacji systemów edukacji. Można powiedzieć, używając popularnego dzisiaj określenia, że dokument ten jest swobodną mapą drogową, wskazującą, w jaki sposób dążyć do zbudowania optymalnego systemu edukacji, zarówno na poziomie krajowym, jak i europejskim. Rezolucja nie wymusza zmian, lecz mocno akcentuje potrzebę ich wprowadzenia, ukazując pozytywne skutki modernizacji. Kraje zainteresowane zwiększaniem potencjału edukacyjnego będą mogły również liczyć na silne wsparcie, także finansowe, instytucji unijnych.

Życzymy sobie, by każdy nowy dzień zaczynał się i kończył uśmiechem, będącym zarówno zwiastunem, jak i potwierdzeniem każdej, nawet najmniejszej radości.

Można więc powiedzieć, że Parlament Europejski chce promować nowe standardy edukacyjne w Europie.

– Tak, mówimy o tworzeniu systemów edukacji, w których na każdym szczeblu stawiamy na indywidualny rozwój ucznia, a także na istotne wsparcie dla nauczycieli. Równocześnie kontynuujemy dotychczasowe programy, chociażby takie jak Erasmus Plus. W tym roku świętowaliśmy 30-lecie tego najpopularniejszego programu Unii Europejskiej. Obecnie trwają bardzo intensywne prace nad jego nową perspektywą, w której rozszerzony zostanie katalog beneficjentów, jak również znacznie zwiększy się jego budżet.



**KRYSTYNA
ŁYBACKA**

– posłanka
do Parlamentu
Europejskiego

Czy w obszarze pani aktywności krajowej pojawiły się również nowe wyzwania?

– W roku 2014, gdy rozpoczęłam sprawowanie mandatu w Parlamencie Europejskim, postanowiłam, że poprzez moją działalność krajową powinienam przybliżyć Unię Europejską mieszkańcom Wielkopolski. W tym celu zainaugurowaliśmy rozmaite programy i działania skierowane do wszystkich grup społecznych, a szczególnie do młodzieży, studentów, seniorów czy przedsiębiorców. Należy jednak pamiętać, że samo uruchomienie jakiegokolwiek inicjatywy to zaledwie pierwszy krok. Niejednokrotnie poważniejszym wyzwaniem jest jej utrzymanie. Za sukces poczytuję sobie to, że po kilku latach wspólnego działania z różnymi środowiskami możemy się cieszyć z efektów naszej pracy, a co ważniejsze – pojawia się pewność, że wiele zainicjowanych projektów będzie kontynuowanych przez samych uczestników. Szczególnie istotne są dla mnie projekty skierowane do środowiska senioralnego, w którym niezwykle ważny jest efekt włączenia i otwarcia się na nowe inicjatywy. Osoby w wieku dojrzałej młodości to znakomici i cierpliwi słuchacze, którzy korzystają np. z kursów komputerowych, językowych czy zajęć ruchowych nie tylko po to, by rozwijać swoje umiejętności, ale także po to, by dłużej zachowywać aktywność zarówno fizyczną, jak i umysłową.

Czy w nowym roku życzyłaby pani sobie czegoś szczególnego?

– Wszystkim czytelnikom PRZEGLĄDU chciałabym przekazać na czas nadchodzących świąt Bożego Narodzenia, a także na cały nowy rok życzenia wielu dobrych chwil, przeżywanych w zdrowiu, atmosferze rodzinnego ciepła i w oderwaniu od trosk codzienności. Życzymy sobie, by każdy nowy dzień zaczynał się i kończył uśmiechem, będącym zarówno zwiastunem, jak i potwierdzeniem każdej, nawet najmniejszej radości. ■

Lech Miodek

Kiedy 13 października wychodzili z honduraskiego San Pedro Sula, było ich parę setek. Trzy tygodnie później – już 8 tys. Przyłączyło się do nich wielu Salwadorczyków, Gwatemalczyków, Nikaraguańczyków i trochę Meksykanów. Szli dniem i nocą, spali po drodze, jedli to, co otrzymywali od ludzi, często tak samo biednych jak oni.

Kobiety, mężczyźni i dzieci. Wszyscy uciekają od biedy, od braku pracy. I od przemocy. Dawniej stosowanej przez wielkich właścicieli ziemskich i policję, a teraz przez *maras* – bandy handlarzy narkotyków, którzy zmuszają ich do pracy dla nich, grożą torturami i śmiercią.

Idą do Stanów Zjednoczonych, bo tam jest praca. Można zaoszczędzić

dzie i wystać część zarobku rodzinom. Można posłać dzieci do dobrych szkół i czuć się bezpieczniej niż w domu. Wiedzą, że prezydent Trump nazwał ich prawdziwą plagą złoczyńców i gwałcieli, mówił, że niosą choroby, brud i przestępstwa. Dlatego on przeciwstawi się tej inwazji, mobilizując 15 tys. policjantów i ponad 5 tys. żołnierzy. Jeśli migranci zaczną rzucać w nich kamieniami, policja i wojsko otworzą ogień. Dla nich jednak to nie ma znaczenia, wolą zginąć, starając się wejść do raju, niż powoli umierać w piekle stworzonym przez polityków i możnych.

WOJSKO NA GRANICY

W 2015 r. w Stanach Zjednoczonych mieszkało ok. 3,4 mln osób pochodzących z krajów Ameryki Środkowej, co stanowiło 8% z 43,3 mln

imigrantów. Przy czym z Salwadoru, Gwatemali i Hondurasu wywodziło się 85% tej grupy. Wojny domowe, brak stabilizacji politycznej i trudności gospodarcze powodowały *exodus* ludności tych krajów do USA w latach 80. Chociaż w następnej dekadzie ustały konflikty polityczne, potrzeba łączenia rodzin, katastrofy naturalne i trudności gospodarcze wpływały na wzrost migracji, zarówno legalnej, jak i nielegalnej. W latach 1980-2015 liczba imigrantów środkowoamerykańskich w USA wzrosła prawie dziesięciokrotnie.

Ucieczka biednych do bogatych krajów Zachodu zrodziła rasizm, ksenofobię, nacjonalizm, populizmy prawicowe i lewicowe, a także rosnącą przemoc polityczną. Może się wydawać, że imigranci nie są tolerowani, bo pochodzą z obcych kultur. Nie o to chodzi, są odrzucani, bo są biedni.

ZARYGLOWANE DRZWI DO AMERYKAŃSKIEGO SNU

Wędrownictwo ludności Hondurasu, Salwadoru i Gwatemali jest pierwszym przypadkiem *exodusu* wywołanego przez zmiany klimatyczne





15 listopada uchodźcy dotarli do Tijuany.

Imigranci desperacko próbują pokonać mur na granicy meksykańsko-amerykańskiej.



Jeśli imigrant ma pieniądze, jest przyjmowany z otwartymi ramionami.

Niechęć do imigrantów nie ma rozsądnego uzasadnienia. Bez nich kraje rozwinięte nie miałyby szans na utrzymanie wysokiego poziomu życia. Ponadto generalnie, choć mogą się zdarzać wyjątki, emigrujący przestrzegają prawa państw, w których postanowili się osiedlić, i ciężko tam pracują. Jest tak chociażby w Stanach Zjednoczonych.

Wydawałoby się, że antyimigrancka krucjata w USA ma się dobrze. W wyniku decyzji prezydenta Trumpa na terenie Kalifornii, Arizony i Teksasu zostały rozlokowane pierwsze oddziały wojska. Jego planowana obecność, w sumie liczniejsza niż w czasie interwencji w Iraku, ma powstrzymać zbliżającą się „inwazję” z Ameryki Środkowej. Tymczasem ofensywa Donalda Trumpa zaczęła tracić na sile. Sędzia federalny z San Francisco Jon Tigar zablokował bowiem kontrowersyjną decyzję prezydenta, która zakazywała przyjmowania wniosków o azyl w USA od imigrantów niemających dokumentów. Musiało to spowodować reakcję Białego Domu. Jak podała „Washington Post”,

mieszkańcy Ameryki Środkowej, którzy przybędą na granicę meksykańsko-amerykańską i wystąpią o azyl w USA, na decyzję będą oczekiwać w Meksyku. Ci, którzy nie będą potrafili udowodnić, że ich strach przed niebezpieczeństwem w kraju pochodzenia jest racjonalny, zgody na wjazd nie dostaną.

Oznaczałoby to radykalną zmianę postępowania wobec imigrantów. Do tej pory przybysz, który tłumaczył niechęć do powrotu do kraju racjonalnym strachem, mógł pozostawać w USA do czasu podjęcia przez sąd decyzji o azylu. Prezydent ostrzegł, że może dojść do nieobliczalnej reakcji rządu, jeśli Kongres nadal będzie się sprzeciwiał sfinansowaniu muru na granicy z Meksykiem. Tymczasem demokraci, którzy po wyborach 6 listopada zapewnili sobie kontrolę nad Izbą Reprezentantów, nie są skory zaaprobować wydatków na budowę muru.

GROŹBY TRUMPA

25 listopada Trump dołączył jeszcze oliwy do ognia, twierdząc, że Meksyk powinien być „bardziej inteligentny” i zatrzymywać karawany migrantów, a wreszcie zagroził zamknięciem granicy, jeśli będzie to niezbędne. Liczba migrantów w Tijuanie rośnie z godziny na godzinę. Trump nie przestaje powtarzać, że są wśród nich bezliłośni przestępcy, i zwrócił się do Meksyku z żądaniem deportowania ich.

Kraje rozwinięte bez imigrantów nie mogłyby utrzymać wysokiego poziomu życia.

Do pierwszych deportacji już zresztą doszło. 25 listopada po starciach na granicy zatrzymano 42 migrantów na terenie USA i 39 w Meksyku.

W wojsku decyzje Trumpa nie wywołały euforii. Wojskowi, podobnie jak demokraci, a nawet część republikanów, uważają, że to operacja czysto polityczna i nadzwyczaj droga. Gen. Jeffrey Buchanan, odpowiedzialny za rozmieszczenie 5,8 tys. żołnierzy na granicy z Meksykiem, zapowiedział redukcję sił. Skarżył się na wrogie przyjęcie przez część ludności lokalnej.

Przewodnicząca Zgromadzenia Ogólnego ONZ Maria Fernanda ▶

► Espinosa w wywiadzie udzielonym hiszpańskiemu „El País” stwierdziła, że nie ma nic bardziej wstrząsającego od widoku zdesperowanych dzieci i dorosłych stawiających opór uzbrojonym po zęby żołnierzom amerykańskim. Jak twierdzi Espinosa, prezydent USA postanowił wykorzystać migrację do rozgrywek wyborczych. *Exodus* z Ameryki Środkowej jest jednak realny. Stoi za nim poważny spadek zbiorów drobnych rolników i ludności indiańskiej w Hondurasie, Salwadorze i Gwatemali, spowodowany zmianą klimatu. Wynikiem spadku produkcji rolnej są zaostrzający się głód i przemoc. Jest to według niej pierwszy przypadek exodusu wywołanego przez zmiany klimatyczne. I będą następne.

10 grudnia podczas szczytu w Marakeszu 164 państwa przyjęły przez aklamację pakt ONZ o bezpiecznej, uporządkowanej i regularnej migracji. Zawiera on 23 cele, których osiągnięcie ma pomóc krajom członkowskim w poradeniu sobie z napływem migrantów. Zdaniem przewodniczącej Zgromadzenia Ogólnego ONZ „zadanie jest gigantyczne i wymaga wysiłków całej społeczności międzynarodowej. Nie można rozpatrywać tematu migracji niezależnie od zmian klimatycznych. Są to problemy globalne”. Pakt nie będzie miał mocy prawnie wiążącej, ma upowszechnić standardy i normy dotyczące migracji oraz

ułatwić współpracę w tym zakresie. Z podpisania paktu wycofało się wiele państw, m.in. Polska, Austria, Czechy, Węgry, Bułgaria, Australia, Słowacja, Izrael i Stany Zjednoczone. ONZ ocenia liczbę migrantów na świecie w 2017 r. na 258 mln.

PLAN MARSHALLA DLA AMERYKI ŚRODKOWEJ

Tymczasem administracja nowego prezydenta Meksyku, Andrésa Manuela Lópeza Obradora, który objął urząd 1 grudnia, szuka rozwiązań wobec twardej polityki migracyjnej Trumpa. Nowe władze zdają sobie sprawę, że migracja może być poważnym problemem dla i tak wątpliwego bezpieczeństwa wewnętrznego kraju. Wobec tego zaproponowały Stanom przyjmowanie na swoim terytorium migrantów, którzy wystąpią o azyl w USA i będą oczekiwać na decyzję. Procedura jest na razie opracowana wstępnie, ale na pewno plan nie będzie się ograniczał do północnej granicy Meksyku. Rząd Lópeza Obradora ocenia, że obecnie przebywa na granicy ok. 9 tys. migrantów i że ich liczba szybko wzrośnie.

Czego Meksyk oczekuje w zamian od Stanów Zjednoczonych? Według źródeł z meksykańskiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych rozmowy z USA na temat stworzenia czegoś w rodzaju planu Marshalla dla Ameryki Środkowej powinny

się zakończyć do maja 2019 r. Plan obejmuje zawarcie porozumienia o rozwoju i inwestycjach kapitału amerykańskiego na południu Meksyku. Mają to być inwestycje rzędu 20 mld dol. w okresie sześciu lat. Podobno prezydent Trump nie odrzuca tych propozycji, chociaż musi się liczyć z prawicowym odłamek swojej administracji, zwolennikami budowy muru granicznego.

Plan meksykański zakłada ponadto wzrost pomocy finansowej USA dla krajów północnego trójkąta Ameryki Środkowej. W ramach planu Sojuszu dla Dobrobytu kraje te miały otrzymywać 600 mln dol. rocznie, w rzeczywistości otrzymują 200 mln. Według źródeł meksykańskich pomoc ta miałaby wzrosnąć do 1,5 mld dol.

ONZ ocenia liczbę migrantów w 2017 r. na 258 mln.

rocznie. Rząd Lópeza Obradora ma nadzieję, że w ten sposób będzie można zatrzymać na miejscu przynajmniej część z prawie 200 tys. migrantów, którzy każdego roku przechodzą lub przejeżdżają przez Meksyk w drodze do USA. Pozostając w Meksyku, mogliby oni znaleźć pracę i osiedlić się w tzw. kurtynach rozwoju, tworzonych na południu kraju, poczynając od stanu Chiapas. W miejscach tych byłyby skoncentrowane duże inwestycje publiczne, ukierunkowane przede wszystkim na rozbudowę infrastruktury. W otoczeniu prezydenta Lópeza Obradora uważa się, że Meksyk jest w stanie wchłonąć środkowo-amerykański *exodus*.

Granica meksykańsko-amerykańska jest dla większości migrantów granicą kończących się marzeń. Nie wiedzą, co dalej robić, co może się wydarzyć, i nikomu nie wierzą. Panuje frustracja. Drzwi do amerykańskiego snu są zaryglowane i chronione przez uzbrojonych żołnierzy.

Lech Miodek

PS Jak podała „Washington Post”, siedmioletnia dziewczynka z Gwatemali zmarła zatrzymana przez amerykańską policję graniczną. Dziecko przekroczyło granicę nielegalnie ze swoim ojcem. Policja poinformowała, że dziewczynka nie piła i nie jadła przez długi czas.



**Wyślij SMS
o treści MAJA
pod numer 74567
i pobierz tapetę
(koszt 4,92 zł z VAT)**

Za zardzewiałych krat Maja spogląda przerażonym wzrokiem. Nie widzi ani syjącego śniegu, ani świątecznie przystrojonych witrzyn. Nie dla Mai świąteczne podarki, ani piękne stajnie i troskliwa opieka. Człowiek zabrał jej zdrowie i młodość, a gdy schorowane nogi i spracowany kręgosłup zaczęły odmawiać posłuszeństwa, pozbył się jej, sprzedając handlarzowi. W świecie, gdzie liczy się uroda i zdrowie, nie ma miejsca dla starej Mai. Stary koń nie zarobi na sobie ani na swojego pana. Stary koń będzie tylko generował koszty. Nie opłaca się go trzymać, taniej wychodzi zabić. I na śmierci jeszcze zarobić.

Z obskurnej obory wydobywa się żalosne rżenie. Niesie się długo po podwórku. Kraty ciasno oplecione kurzem i pajęczynami. Resztki stęchłego siana, stary obornik na podłodze, spleśniałe jedzenie w żłobie. Kiedyś była tu zwykła stajnia, dziś swój biznes prowadzi handlarz śmiercią.

Kochani, prosimy, podarujmy wspólnie Mai najcenniejszy z prezentów – życie. Mamy czas do końca roku, aby zapłacić za nią 1900 zł. Bez Was nie będzie.

Maja nerwowo napina linę i wali przerażonym kopcem o betonową posadzkę. Wspina się, macha nogami, głośno rży, nawołując inne konie. Ale innych już nie ma. Wyjechały chwile temu. Do ubojni. Została tylko ona, stara Maja. Jest tu od ponad miesiąca. Handlarz kupił ją zabiedzoną za grosze i utuczył. Dziś upasiona, okrągła, miała jechać do rzeźni razem z innymi, ale nie zmieściła się na samochód. Została sama i rozpaczka za przyjaciółmi. Nie wie, że wymknęła się śmierci. Choć na moment.

Możesz pomóc dokonując darowizny z tytułem MAJA na konto 15 1020 5226 0000 6002 0220 0350.



ul. Wałbrzyska 6-8, 52-314 Wrocław
tel. 518 569 487, tel. 518 569 488
www.centaurus.org.pl

Akcja prowadzona w ramach Kampanii Kochaj Mądrze Regulamin: <http://centaurus.org.pl/rkkm>





FELIETON

Z Galicji

Jan Widacki

W mediach kolejna sensacja! Dziennikarze odkryli, że w Hoover Institution Library & Archives w Stanfordzie znajduje się kilkaset stron dokumentów z prywatnego(?) archiwum gen. Kiszczaka, w tym jego list do ówczesnego prezydenta Wałęsy z roku 1993. W liście tym, dostępnym w internecie, Sławomir Cenckiewicz dopatrywał się „kolejnego potwierdzenia, że Wałęsa był agentem SB”.

Niektórzy dziennikarze za sensacyjną uznali zawartą w tym liście informację, że akta Departamentu IV MSW (zajmującego się Kościołem) były niszczone. Inni doczytali się, że Kiszczak szantażuje Wałęsę.

Na szczęście list można przestudiować w całości na stronach internetowych. Kto ma elementarną zdolność czytania ze zrozumieniem i jakąś wiedzę o realiach początku lat 90., musi z niego wyciągnąć wnioski zgoła przeciwne. Nie ma tam cienia sugestii, że Lech Wałęsa był agentem SB.

Kiszczak pisze o tzw. liście Macierewicza, że to prowokacja, że lista została spreparowana, że znalazły się na niej nazwiska

cjonalny i moralny będącego już w rozkładzie MSW sprawił, że polecenia nie wykonano starannie. Dzięki temu IPN ma dziś co gromadzić, opracowywać i badać. Mam podstawy sądzić, że stosunkowo najstaranniej zniszczono akta Departamentu IV. Pozwoliło to niektórym hierarchom publicznie, po faryzejsku, obłudnie nawoływać do lustracji lub ją pochwalać. Byli pewni, że ich akta zostały zniszczone. Nie wszystkie, jak się okazało. Przekonali się o tym na własnej skórze abp Wielgus (przypadek powszechnie znany) i inni prominentni hierarchowie, nazwisk nie będę przypominał, nie chcąc nad nimi się znęcać. Poprzestałmy na kilku najbardziej znanych i odcyfrowanych dawno w mediach pseudonimach TW pionu IV: „Zefir”, „Filozof” czy „Józef”...

Gdy ministrem spraw wewnętrznych został Krzysztof Kozłowski, złożył do prokuratury doniesienie o niszczeniu zasobów archiwalnych SB. Prokuratura wszczęła w tej sprawie śledztwo.

W liście do prezydenta Wałęsy gen. Kiszczak żali się, że niszczenie dokumentacji było jego zdaniem zgodne z prawem, tymczasem jemu, a także generałom Dankowskiemu czy Szczygłowi

SENSACJA?

ludzi zasługujących na szacunek, których życiorysy i dokonania przeczą takim zarzutom. Przypomnijmy, na liście tej są m.in. prezydent Lech Wałęsa i Wiesław Chrzanowski, ówczesny marszałek Sejmu.

Niszczenie akt bezpieki, w tym Departamentu IV, było faktem nie tylko dobrze znanym politykom czy historykom, ale również opisywanym w prasie. Sam pisałem o tym kilkakrotnie. Przypomnę: 24 sierpnia 1989 r. minister spraw wewnętrznych tajnym zarządzeniem nr 075/89 rozwiązał dotychczasowe Departamenty III, IV, V, VI oraz Biuro Studiów SB, Główny Inspektorat Ochrony Przemysłu, tworząc z nich nowe jednostki: Departament Ochrony Konstytucyjnego Porządku Państwa, Departament Ochrony Gospodarki i Departament Studiów i Analiz. Przepisy tego zarządzenia dotyczyły też odpowiednich, podległych rozwiązywanym departamentom komórek w terenie. 1 września 1989 r. gen. Szczygiel rozesłał do wszystkich województw polecenie komisijnego niszczenia dokumentacji prowadzonej dotąd przez wydziały IV (terenowe odpowiedniki Departamentu IV). Kilka dni później zastępca gen. Szczygła płk Mirowski prowadził telekonferencję z naczelnikami wydziałów IV na temat szczegółów technicznych wykonania tego zadania. Polecenie niszczenia archiwów Departamentu IV i podległych mu komórek w terenie gen. Szczygiel uzasadnił podwładnym tym, że w nowej sytuacji, przy nowych zadaniach resortu, są one... zbędne. Nakazał „odstąpienie od zakładania i prowadzenia teczek (księży – przyp. J.W.), które powinny być protokolarnie zniszczone, łącznie ze złożonymi już do archiwum”.

Podobnie procedura niszczenia materiałów operacyjnych wyglądała w pozostałych departamentach bezpieki. Stan emo-

wytoczono sprawy karne. Zdanie gen. Kiszczaka, że „agentura winna być chroniona, niezależnie od przemian politycznych i ustrojowych zachodzących w Polsce”, wyrwane jest z kontekstu i interpretowane politycznie. Generał wyjaśnia, co ma na myśli. Jako rasowy oficer służb specjalnych wiedział, że z powodu ujawnienia agentury każda służba niepodległej Polski (wymienia nawet z nazwy Urząd Ochrony Państwa) będzie miała problem z werbowaniem agentów, bo nikt nie będzie pewny, czy po zmianie rządu jego nazwisko nie zostanie ujawnione. A policja i służby specjalne bez agentów obejść się nie potrafią.

Naprawdę zachęcam do zadania sobie trudu i przeczytania tego listu. Kto go spokojnie i ze zrozumieniem przeczyta, bez trudu zobaczy, że nie ma w nim żadnych nadzwyczajnych informacji. Szczególnie nie ma śladu szantażu ani potwierdzenia agenturalności Lecha Wałęsy. Nie ma tam nic sensacyjnego!

Tak jak szeregowemu wszystko, na co popatrzył, kojarzyło się z d... tak dla niektórych prawicowych historyków i publicystów każdy przeczytany dokument bezpieki potwierdza agenturalność Wałęsy.

W jednym tylko ze Sławomirem Cenckiewiczem zasadniczo się zgadzam. Podobnie jak on mam pretensje do naszego państwa. Jak można było dopuścić, by archiwalne dokumenty ważne dla historii kraju zostały wywiezione z Polski? A kiedy już fakt ich wywieżenia został udokumentowany, dlaczego nie wszczęto śledztwa z art. 53 ust. 1 ustawy o narodowym zasobie archiwalnym i archiwach, wedle którego „Kto bez zezwolenia wywozi materiały archiwalne za granicę (...), podlega karze pozbawienia wolności do lat 3”? Jeśli państwo nie zapobiegło wywiezieniu, to może chociaż ukarze za nie?

DEMOKRACJA, RZECZ ZBĘDNA

Skąd u młodych ludzi na całym świecie takie zniechęcenie do systemu demokratycznego i wolnego rynku?

Mateusz Mazzini

Kiedy świat z niepokojem patrzy na wyniki październikowych wyborów prezydenckich w Brazylii, w największym kraju Ameryki Południowej wielu młodych ludzi po raz pierwszy od lat spoglądało w przyszłość z nadzieją. Jednym z nich był Carlos Lucoli, 34-letni informatyk ze stanu Amazonas i aktywista kampanii Jaira Bolsonaro. Siedmiokrotny deputowany do brazylijskiego Kongresu, idol prawicy i samozwańczy pogromca establishmentu, który szedł do wyborów pod hasłami ksenofobii, rasizmu i przywrócenia porządku publicznego za wszelką cenę, bez problemów pokonał w drugiej rundzie kandydata lewicy Fernanda Haddada, zostając nowym prezydentem. Dla Lucolego to znak, że najwyższy urząd objął wreszcie człowiek czynu, a nie słów. „Bolsonaro jest silny, nie da się skompromować. Chce porządku, tak jak większość z nas. I dba o dobre imię służb mundurowych”, powiedział informatyk w wywiadzie dla dziennika „Financial Times”. I dodał: „Przez lata w tym kraju demonizowano nasze wojsko. Mówiono, że gdy wojskowi zasiadali w rządzie, dozbrajali bojówki i mordowali uczciwych ludzi. To nieprawda. Wojsko jest gwarantem naszego bezpieczeństwa i stabilności”. Pytany o płynące z programu Bolsonaro zagrożenia dla demokracji i ryzyko powrotu dyktatury, zbył te zarzuty, mówiąc, że media manipulują słowami prezydenta.

Carlos Lucoli w fascynacji rządami silnej ręki nie jest odosobniony – ani we własnym kraju, ani poza nim. W Brazylii Bolsonaro do młodych wyborców przemówił najsukceszniej. Według danych tamtejszego instytutu geografii i statystyki IBGE,

spośród głosujących na nowego prezydenta aż 60% należy do grupy wiekowej 18-34 lata, a niemal jedna trzecia (31%) ma 24 lata lub mniej. Młodym Brazylijczykom imponuje jego bezpośredniość i atak na poprawność polityczną. Bolsonaro obiecał im nie tylko zmniejszenie bezrobocia, wyższe pensje i niższe podatki, ale również łatwiejszy dostęp do broni palnej czy ochronę przed imigrantami na rynku pracy.

Z podobnym programem sukces w najmłodszych grupach elektoratu odniósł Andrés Manuel López Obrador w Meksyku, a wcześniej Rodrigo Duterte na Filipinach czy Sebastian Kurz w Austrii. W tej ostatniej 42% głosów wyborców poniżej 30. roku życia otrzymał w wyborach prezydenckich prawicowy radykał Norbert Hofer. Młodzi szeroko poparli też Marine Le Pen we Francji, gdzie Emmanuel Macron był dla nich jedynie trzecim wyborem.

W Europie najmniej przekonani o skuteczności demokracji są młodzi Włosi, Francuzi i Polacy.

Na całym świecie politycy propagujący rządy na granicy demokracji i autorytaryzmu zyskują coraz większe poparcie wśród milenialsów. Dla tej grupy wiekowej demokracja przestała być istotnym elementem życia codziennego.

Dość dokładnie odzwierciedlają to dane statystyczne. Według badania przeprowadzonego przez Yaschę Mounka z Uniwersytetu Harvarda oraz Roberta Stefana Foę z Uniwersytetu w Melbourne tylko nieco ponad 30% Amerykanów urodzonych w 1980 r. lub później uważa za konieczne życie w demokracji. Dla



porównania, wynik w grupie obywateli urodzonych w latach 30. wynosił 75%. Aż 24% amerykańskich milenialsów uważa, że demokracja jest dla ich kraju systemem złym albo bardzo złym – to wzrost o prawie połowę w porównaniu z badaniami z roku 1995. Niemal identyczne tendencje można zaobserwować w elektoracie europejskim. Życie w ustroju demokratycznym ma znaczenie fundamentalne jedynie dla 33% najmłodszych głosujących w Holandii i nieco ponad 25% młodych Brytyjczyków. Europejscy milenialsowie są nieco bardziej wyrozumiali wobec wpływu demokracji na ich kraj niż amerykańscy rówieśnicy. Zły wpływ przypisuje jej jedynie 10%, choć odsetek ten rośnie, im młodszy są ankietowani. W grupie wiekowej 16-24 lata aż 13% uznaje demokrację za system jednoznacznie negatywny.

Młodzi wyborcy stają się coraz bardziej otwarci na inne formy rządów. Według opublikowanego w ubiegłym roku badania niemieckiej fundacji TUI jedynie 52% europejskich milenialsów uważa, że właśnie demokracja jest najlepszym możliwym ustrojem politycznym. Najmniej przekonani o jej skuteczności są młodzi Włosi (45%), Francuzi (42%) i Polacy (42%). Demokracja radzi sobie relatywnie dobrze jedynie w Niemczech (62% pozy-

Światowymi liderami antydemokratycznych tendencji są kraje Ameryki Południowej. Młodzi Brazylijczycy w wyborach prezydenckich postawili na Bolsonara.



tywnych odpowiedzi) i, co ciekawe, w Grecji (aż 66%).

Perspektywy dla rządów demokratycznych rysują się jednak dużo gorzej za oceanem. Jak wynika z najnowszych danych domów badawczych Gallup i Pew Research Center, prawie połowa amerykańskich mileniśców zgadzała się ze stwierdzeniem, że kraj zyskałby na ustanowieniu „dyktatury silnego lidera” w miejsce „wybieranego w wyborach powszechnych parlamentu”. Aż 81% jest z kolei zdania, że wojskowy przewrót byłby całkowicie uzasadniony, gdyby demokratycznie wybrany rząd nie był w stanie sprawować władzy. Podobnie myśli jedynie 57% starszych wyborców w USA. 46% najmłodszych głosujących w tym kraju nie miałoby też nic przeciwko „rządowi ekspertów”, nawet gdyby był to rząd mianowany.

Światowymi liderami antydemokratycznych tendencji są kraje Ameryki Południowej. Jak donoszą najnowsze raporty LatinoBarometro, aż 58% mieszkańców regionu mających od 16 do 24 lat nie byłoby przeciwnych ustanowieniu w ich państwie wojskowej dyktatury, jeśli wiązałoby się to bezpośrednio z poprawieniem sytuacji gospodarczej kraju. Na kontynencie o tak krwawej i wcale nie tak odległej historii zbroj-

nych zamachów stanu i militarnych autorytaryzmów ta tendencja może szczególnie niepokoić.

Ale demokracja nie jest jedynym elementem ustrojowym, którego popularność wśród mileniśców gwałtownie spada. Najmłodszy obywateli są równie sceptyczni wobec systemu kapitalistycznego i wolnorynkowej ekonomii. Sondaż Gallupa sprzed kilku tygodni pokazuje, że kapitalizm pozytywnie ocenia jedynie 45% Amerykanów w wieku 18-29 lat. To spadek dość drastyczny, jeśli weźmie się pod

Demokracja radzi sobie relatywnie dobrze jedynie w Niemczech i, co ciekawe, w Grecji.

uwagę, że jeszcze w 2010 r. odsetek ten wynosił aż 68%. Dla coraz większej grupy młodych mieszkańców Stanów Zjednoczonych gospodarka socjalistyczna z elementami centralnego planowania i dużo większą partycypacją państwa staje się atrakcyjną alternatywą kapitalizmu. Taką opinię podziela aż 51% amerykańskich mileniśców. Dali temu zresztą wyraz w niedawnych wyborach do Kongresu, gdzie mandat zdobyło kilkoro kandydatów popieranych przez Ame-

rykański Sojusz Demokratyczno-Socjalistyczny, organizację uważaną za lewe skrzydło Partii Demokratycznej. Alexandria Ocasio-Cortez, uznawana za nową nadzieję tamtejszej lewicy, do wyborów szła z hasłem walki o umorzenie długów studenckich i darmową edukację wyższą. Z kolei Rashida Tlaib, jedna z dwóch pierwszych muzułmanek w historii amerykańskiego Kongresu, za Bernieem Sandersem mówiła o konieczności wzięcia przez państwo odpowiedzialności za służbę zdrowia. Obie działaczki domagają się też ograniczenia przywilejów wielkiego przemysłu i finansowych gigantów z Wall Street. Choć z europejskiego punktu widzenia nie brzmi to radykalnie, w amerykańskim porządku publicznym takie postulaty wpisują się w retorykę odrzucenia systemu kapitalistycznego.

Skąd zatem u młodych ludzi na całym świecie tak gwałtowne zniechęcenie do demokracji i wolnego rynku? Jak zawsze odpowiedź jest bardzo złożona i dotyczy styku problemów politycznych i ekonomicznych. W Europie bezrobocie w grupie wiekowej 18-29 lat wynosi 18-52%, niewiele lepiej jest w Stanach Zjednoczonych czy w Australii. Nie to jednak jest główną przyczyną niezadowolenia młodych. Według badania Global Shapers przeprowadzonego przez Światowe Forum Ekonomiczne w Davos aż 58% mileniśców uważa, że przywódcy ich krajów nadużywają władzy. 30% sądzi, że administracja publiczna jest przerośnięta i ma zbyt szerokie kompetencje, podobny odsetek twierdzi, że nie ma narzędzi do weryfikowania działań polityków. Ponad

18% jest z kolei zdania, że żadna z dostępnych opcji politycznych nie odzwierciedla ich poglądów i ideałów. Tak głębokie rozczarowanie klasą rządzącą, a do tego przekonanie o nikłych szansach na sukces finansowy, plus rosnące długi, które stają się pokoleniowym znakiem rozpoznawczym, sprawiają, że mileniśsi domagają się zmiany. Niestety, zmianę, przynajmniej w warstwie retorycznej, proponują jedynie autorytarni strongmani, którzy budują kapitał na przekonaniu, że cokolwiek zaoferują młodym, i tak będzie lepsze od niestabilnego życia. I choć pogłoski o globalnej śmierci demokracji są przesadzone, jej przyszłość stoi pod znakiem zapytania. ■

Spory zbiorowe na nowo?

Niedawny strajk w PLL LOT pokazał, jak bardzo potrzebna jest zmiana przepisów dotyczących rozwiązywania sporów zbiorowych

Paweł Śmigieński

Pod obrady Rady Dialogu Społecznego trafił roboczy projekt ustawy o rozwiązywaniu sporów zbiorowych. W wielu miejscach przewiduje on innowacyjne wręcz zapisy prawne w zakresie rozwiązywania konfliktów grupowych między pracodawcą a pracownikami.



Obowiązujące obecnie prawo ma wiele wad, które utrudniają lub blokują prowadzenie sporu zbiorowego w zakładzie pracy. Nieprecyzyjne i niejasne przepisy Ustawy z 23 maja 1991 r. o rozwiązywaniu sporów zbiorowych pozwalają bowiem pracodawcom na stosowanie szerokiego wachlarza praktyk ograniczających prawa i wolności związkowe w tym obszarze. Dlatego pilne jest dokonanie daleko idącej nowelizacji obowiązującej ustawy lub przyjęcie zupełnie nowej, eliminującej najpoważniejsze zastrzeżenia formułowane pod adresem dotychczasowych przepisów, a także odpowiadającej rzeczywistym potrzebom stron.

Oceniając projekt ustawy, w pierwszej kolejności należy wskazać mechanizm sądowego badania legalności przedmiotu sporu, jak i legalności strajku. To bardzo ważne rozwiązanie, którego brak w obecnych przepisach był niejednokrotnie źródłem poważnych konfliktów w zakładach pracy. Jak ważne jest to zagadnienie, pokazuje chociażby niedawna sytuacja w PLL LOT, gdzie pracodawca kilkakrotnie podważał legalność strajku w ramach postępowania zabezpieczającego, a więc rozwiązania wywodzącego się z prawa cywilnego. Projekt przewiduje w tym zakresie szybkie postępowanie sądowe, którego celem ma być ocena legalności działań, jeśli powstaną wątpliwości co do żądań związkowych lub poprawności procedur strajkowych. Należy jednak podkreślić, że niezwykle ważne w tej kwestii są krótkie i wiążące terminy rozstrzygnięcia sprawy przez sąd, gdyż w przeciwnym wypadku mogłoby dochodzić do celowego wydłużania procedury sporu przez pracodawcę, a w rezultacie osłabienia siły wystąpienia pracowniczego.

Wart uwagi jest przepis mówiący o tym, że warunkiem prowadzenia sporu jest uczestniczenie w nim co najmniej jednej reprezentatywnej zakładowej organizacji związkowej. Dając prymat dużej i stabilnej reprezentatywnej organizacji związkowej, rozwiązanie to może skutecznie powstrzymać inne organizacje związkowe przed wszczęciem zbędnych konfliktów w zakładzie pracy.

Inną ciekawą propozycją jest umożliwienie mediatorowi udziału w sporze już w trakcie rokowań. Dzięki temu mediacja prewencyjna ma szansę przynieść dobre efekty już na wczesnym etapie konfliktu. Ponadto projektodawca

planuje wprowadzić w stosunku do mediatorów wymogi, które mają podwyższyć standardy ich pracy, a tym samym zapewnić stronom należyty i fachowy proces mediacji.

Kontrowersyjnym rozwiązaniem jest zapis, zgodnie z którym spór zbiorowy mógłby trwać nie dłużej niż dziewięć miesięcy, z prawem stron do wspólnego ustalenia dłuższego terminu. Z jednej strony, wskazanie czasu trwania może skutecznie zachęcać do prowadzenia sporu w sposób energiczny i sprawny, lecz z drugiej – znając praktyki celowego wydłużania rokowań przez pracodawcę – w ten sposób może dojść do zgodnego z prawem wygaszania sporów zbiorowych.

Wiele nowych przepisów dotyczy arbitrażu, który obecnie jest praktycznie niestosowanym przez strony etapem sporu zbiorowego. Projekt zawiera modyfikacje, które mają sprawić, aby ta możliwość rozstrzygnięcia konfliktu grupowego była częściej wykorzystywana. W pierwszej kolejności proponuje się, aby arbitraż był usytuowany przy Radzie Dialogu Społecznego (spór ponadzakładowy) oraz wojewódzkich radach dialogu społecznego (spór zakładowy). Zmiany dotyczą również określenia wymaganych kwalifikacji oraz trybu i sposobu wyłaniania arbitrów wchodzących w skład kolegium arbitrażu społecznego, a także ustalenia przejrzystej procedury posiedzeń kolegiów. Być może w ten sposób strony będą bardziej skłonne do poddania się arbitrażowi, który ma szansę stać się realną alternatywą strajku.

Arbitraż jest obecnie praktycznie niestosowanym przez strony etapem sporu zbiorowego.

Dyskusyjną propozycją jest zamiar wprowadzenia obowiązku uzgadniania z pracodawcą zasad organizacji i przeprowadzenia głosowania w ramach procedury strajkowej. Złagodzeniem tej zasady jest możliwość samodzielnego wprowadzenia tych reguł przez organizację związkową, jeżeli w ciągu trzech dni od przekazania pracodawcy propozycji rozwiązań nie dojdzie do wspólnego ich uzgodnienia. Projekt przewiduje również obowiązek przechowywania przez organizatorów strajku dokumentacji z przeprowadzonego referendum strajkowego przez 12 miesięcy. Związane jest to z możliwością kontroli sądowej lub Państwowej Inspekcji Pracy.

Powyższe pomysły to wstępne propozycje, które z pewnością zostaną zmodyfikowane w trakcie kompleksowych prac partnerów społecznych. Nie ulega jednak wątpliwości, że w interesie OPZZ, a także innych stron, jest to, aby regulacje przyszłej ustawy były zrozumiałe, jasne i sprzyjały osiągnięciu porozumienia.

Paweł Śmigieński jest dyrektorem wydziału prawnego Ogólnopolskiego Porozumienia Związków Zawodowych

Lewomyślniej



Roman Kurkiewicz

Zacznijmy od końca, czyli od ostatniego słowa w tytule: dzbany. Teoretycznie wszyscy je rozumiemy. Dzban to prawie jak ten koń, co każdy widzi, jaki jest. Sprawę dzbana komplikuje jednak znaczne grono językoznawców zgromadzone wokół corocznego plebiscytu na młodzieżowe słowo roku, organizowanego przez Wydawnictwo Naukowe PWN. Teraz wygrał właśnie dzban, który oznacza w tym kontekście nie rzecz, ale osobę. Mówimy grzecznie osobę, zasadniczo jednak chodzi o mężczyznę, faceta, dziada, którego cechują marne przymioty: ogólny nieogarn z elementami nieodłącznego chamstwa, w sobie samozadowolenia i miłości własnej z wzajemnością. Dawne pokolenia w takich (codziennych) okolicznościach sięgały po słowo buc. Szersze intelektualne tło owej szeroko rozpowszechnionej postawy opisała brawurowo Rebecca Solnit w książce „Mężczyźni objaśniają mi świat”, która nigdy nie będzie lekturą obowiązkową zamiast tych wszystkich „Potopów” i „Quo vadisów”. Zamiast albo dlatego. Z drugiej strony – kto sam nigdy nie był dzbanem w tym znaczeniu, niech pierwszy rzuci kamieniem, milczy jak nożyce po uderzeniu w stół. W pustocie dzbana

jako takim, ale ten takim nie jest, nie był. Nasze dzbany jednak chętnie tak to widzą i objaśniają: dzika tłuszcza kontra sprawne organy nowoczesnego państwa. Znikają realne powody wyjścia dziesiątek tysięcy Francuzek i Francuzów na manifestacje, ale konia z rzędem temu, kto wie, jakie są ich oczekiwania i postulaty oprócz niezgody na „macronizację” kraju. Czyli w największym skrócie – budzą przedwyborcze o nowej polityce zniknęły w niebycie, a dbałość o interesy najbogatszych święci tradycyjne sukcesy. Macron jest symbolicznym przedstawieniem neoliberalnej niemocy wobec sprzeczności systemu. Znakiem czasu jest oczywiście dzbianiaste nad dzbianiastymi przywołanie inspiracji i wpływów rosyjskich trolli. Jest nowy diabeł, jest siła potężniejsza od masonów, żydów i cyklistów – car Putin. Uff, świat objaśniony.

A teraz kilka zebranych z paryskich ulic żądań: zwiększenie płacy minimalnej, emerytur i minimum socjalnego; zwiększenie zatrudnienia w sektorze publicznym, by podnieść jakość usług publicznych; zbudowanie 5 mln mieszkań o niskich czynszach; zakaz prywatyzacji banków; anulowanie długów; nowa konstytucja; odzyskanie 80 mld euro rocznie z rajów podatkowych;

PAMELA KONTRA POLSKIE DZBANY

wybrzmiewa też oczywiście biblijna miedź brzęcząca i cymbał brzącający. Dzisiaj zatem nazwanie kogoś dzbanem (bez konieczności dorzucania „pustym”) mamy w pełni za sobą. Dzbany, które zamierzam tu przywołać, to jeszcze bardziej wyselekcjonowana grupa mężczyzn wszytkowiedzących o wszystkim i gotowych natychmiast to obwieszczać wszem wobec (sam nie jestem bez winy) nawet bez konieczności pobierania wynagrodzenia, a jedynie dla ugruntowania swojej władzy, wpływów, znaczenia – ba, „mądrości”. Mamy tu więc komentatorów, polityków, politologów, nierzadko socjologów.

Mamy też trwające już kilka tygodni wydarzenia w Paryżu, zwane protestem czy rewolucją „żółtych kamizelek”. Protesty są intensywnie relacjonowane w mediach, najlepiej kiedy widać zamaskowane postacie rzucające brukiem w policję, a jeszcze lepiej, kiedy uda się sfilmować grupy demolujące witryny i zawartość sklepów. Policyjna przemoc też jest widoczna, ale jakby rzadziej i z pełną aprobatą: „od tego są”, „pałami ich”, „dobrze im tak”. Protesty uliczne, szczególnie tak gwałtowne, krwawe, brutalne jak te w Paryżu, mają swoją nieokiełznaną dynamikę. Ekspresja polityczna sięga po przemoc, bez dwóch zdań. Ale dlaczego? Skąd? Jaki jest jej cel? Tu się dzbianiasta dociekliwość wyczerpuje i sięga po epitety: już nie uzasadniony protest, zrozumiały bunt, tylko zamieszki, bandyckie wybrzyki, chuligańskie ekscesy. Obserwujemy kryminalizowanie całego protestu (nie oznacza to, że naruszeń prawa nie ma albo że kradzieże nie istnieją) i równoczesne sprowadzenie konfliktu do osi protestujący (źli, roszczeniowi, dzicy, nienawistni) – policja (skuteczna, słusznie brutalna). Działają się protesty przeciw policji i jej działaniom

natychmiastowe zatrzymanie prywatyzacji i odzyskanie dóbr publicznych: autostrad, lotnisk, parkingów; uproszczenie procedur sądowych i sprawienie, żeby były bezpłatne i dostępne dla wszystkich. Nie czas i miejsce tu na analizę i niespójność albo obecność samowyluczających się żądań. To rola dzbanów, którzy powiedzą: „Lać pałami agentów Putina”. I tu przychodzi czas na Pamelę Anderson, legendarną ratowniczkę wodną z serialu „Słoneczny patrol”, która zaklęta na wieki w tym obrazie atrakcyjnej, rozneglizowanej blondynki biegnie w głowach do dzisiaj. A tymczasem gdzie dzbanom (przynajmniej – nie tylko polskim) do jej bezwzględnie celnego komentarza politycznego w kwestii paryskiej rewolty „żółtych kamizelek”, w którym powiedziała: „Gardzę przemocą, ale czym jest przemoc tych ludzi i spalone luksusowe samochody w porównaniu z ustrukturyzowaną przemocą francuskich i światowych elit? Zamiast dać się zahipnotyzować zdjęciami pokazującym ogień, musimy sobie zadać pytanie, skąd się to wzięło. Odpowiedź brzmi: wzięło się to z napięć między miejską elitą a wiejską biedotą, między polityką reprezentowaną przez Macrona a 99% ludzi, którzy mają dość nierówności, nie tylko we Francji, ale i na świecie. Czy to nieposłuszeństwo może być konstruktywne? Co się stanie jutro? Czy progresywni politycy we Francji i na całym świecie będą w stanie spożytkować tę energię tak, abyśmy zamiast przemocy mieli równe i egalitarne społeczeństwa?”.

Ten poziom refleksji jest dzbanom organicznie niedostępny i dla nich nieosiągalny. Na Pamelę Anderson przez dekady tylko się gapiono, czas wysłuchać, co ma do powiedzenia, bo od polskich dzbanów tego nie usłyszyście.

Tomasz Mitkowski

Z Teatru Ateneum przy ulicy Jarcza w Warszawie do Teatru Polskiego przy ulicy Karasia w linii prostej jest mniej więcej pół kilometra. Niewielki dystans przemierzył Andrzej Seweryn ze swojego pierwszego teatru po studiach aktorskich do teatru, w którym od lat sprawuje rządy. Ale paradoksalnie odkąd odszedł z Ateneum, aby rozpocząć przygodę w teatrze francuskim, do chwili gdy obejmował dyrekturę stołecznego Polskiego, przebył drogę ogromną. Mimo że coraz częściej wpadał do Polski, aby zagrać w filmie albo zrobić coś w teatrze, wydawało się, że to droga bez powrotu. Nie dlatego, że drzwi miał zamknięte – przeciwnie, po roku 1989 otwarte były szeroko. Po prostu bardzo się związał kontraktami, planami, obecnością ze swoim drugim krajem. Zwłaszcza kiedy został aktorem Komedii Francuskiej, trzecim cudzoziemcem zaangażowanym w tym zespole od czasów Moliere.

Ten powrót w jakiejś mierze zaskoczył samego artystę, skoro w książce „Andrzej Seweryn” (2001) zwierzał się autorce Teresie Wilniewicz: „Nigdy już (...) nie będę członkiem stałego zespołu teatralnego w Polsce. Moja praca w kraju będzie miała inny charakter niż dawniej. Nie do końca też będę rozumiał, co ona znaczy dla polskiej kultury, polskiej tradycji teatralnej. To będzie raczej jakaś ciągłość osobista”.

A jednak stało się inaczej – 1 stycznia 2011 r. został dyrektorem Teatru Polskiego. Kto był świadkiem tego wydarzenia, nie zapomni wielkiej radości, której artysta nie próbował nawet ukrywać. Zadeklarował się wtedy jako strażnik tradycji, ale otwarty na nowe poszukiwania, nawiązując nie tylko do założyciela teatru, ale i do jego wieloletniego dyrektora Kazimierza Dejmka. Kiedy obejmował dyrekturę, w Warszawie mówiono, że to kaprys wielkiej gwiazdy, że mu przejdzie. Nie przeszło. W rozmowie dla PRZEGŁĄDU z okazji otrzymania Nagrody im. Tadeusza Żeleńskiego-Boya (2014) powiedział: „O mnie można wszystko mówić, ale nie to, że to były »kaprysy gwiazdy«. W żadnym wypadku. Prawdą jednak jest, że to, co tutaj odkryłem: mechanizmy pracy, relacje z władzami, relacje z publicznością, ewolucja artystyczna, obywatelska

ANDRZEJ SEWERYN

PÓŁ WIEKU NA SCENIE

O mnie można wszystko mówić, ale nie to, że to były „kaprysy gwiazdy”



50-lecie pracy Andrzej Seweryn świętował na scenie Teatru Polskiego.

i moralna środowiska artystów, było dla mnie niespodzianką”.

Przystępując do pracy w Polskim, wyznawał, że towarzyszy mu poczucie harcerskiej misji. Potwierdził to później: „Rzeczywiście użyłem tego sformułowania kilka lat temu, niektórzy z tego się śmiali. Tak, to przekonanie mi towarzyszy, a jednocześnie

Pracował niezmordowanie, wtedy i zawsze, bo praca jest jego pasją.

teraz przechodzi egzamin praktyczny, obywatelski. »Mówi pan: misja, misja, a co pan robi w teatrze?« – takie pytanie ma prawo postawić każdy widz. Tak więc niczego się nie wyrzekam, nie odzegnuję się od niczego”.

Motyw harcerski przypominam nie od rzeczy, bo w harcerstwie, a ściślej harcerstwie walterowskim, w którym rej wodził Jacek Kuroń, Andrzej Seweryn przyswajał sobie zasady postę-

powania, którym pozostał wierny do dziś. Także jako aktor, którym został nie z powodu tradycji rodzinnych. Ojciec, który opuścił dom, gdy Andrzej miał 10 lat, był ekonomistą, kierował przedsiębiorstwami. Chłopca wychowywała matka, długie lata pracownica fizyczna i garderobiana w Teatrze Polskim. Można powiedzieć półzartem, że przecierała mu drogę do teatru od kulis. W szkole występował na akademiach, recytował, chodził na zajęcia teatralne do Pałacu Kultury i nasycał idealizmem, cnotami walterowskimi, które potem połączy z cnotami chrześcijańskimi. Mimo że matka była religijna, w szkole nie Ignął do Kościoła, to nastąpiło później. Ku zdumieniu ojca zdawał do szkoły teatralnej i od razu z sukcesem.

W warszawskiej PWST trafił na wspaniałych pedagogów praktyków teatru. Jego nauczycielami byli: Janina Romanówna, Aleksander Bardini,



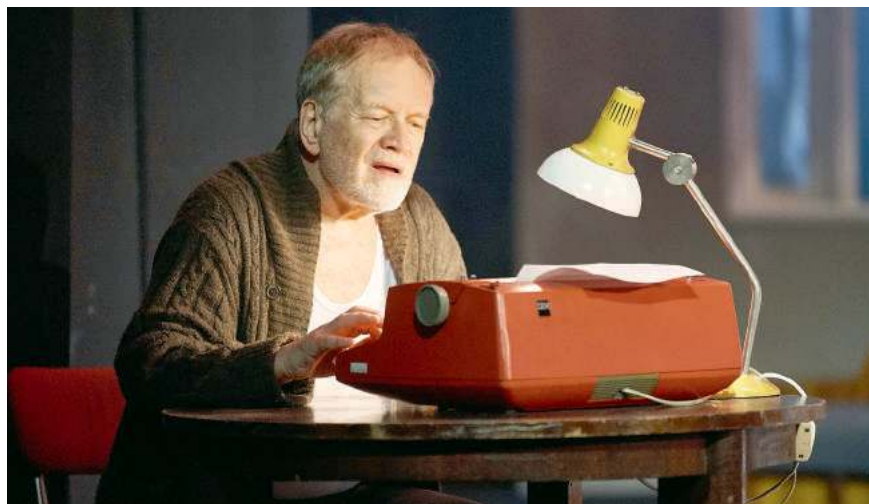
Jan Świdorski, Marian Wyrzykowski, Tadeusz Łomnicki (którego był asystentem). Uczyli świetni technicy, w arkana reżyserii wprowadzał Bohdan Korzeniewski. Seweryn często wspomina swoich profesorów, zachował dla nich wielką wdzięczność.

Na czwartym roku studiów 30 stycznia 1968 r. wziął udział w manifestacji pod pomnikiem Adama Mickiewicza przeciwko zdjęciu z afisza Teatru Narodowego „Dziadów” w reżyserii Dejmka. Zatrzymany przez SB i skazany przez kolegów na grzywnę otrzymał wsparcie kolegów i profesorów PWST, którzy zorganizowali składkę na ten cel. Kiedy wrócił do szkoły, jak relacjonuje Teresa Wilniewicz, Kazimierz Rudzki przywitał go słowami: „Panie Andrzeju, nakazano mi, bym panu udzielił surowej nagany z powodu pańskiej postawy. Gratuluję panu”. W ten sposób został namaszczone na opozycjonistę, ale choć angażował się w rozmaite akcje protestacyjne (m.in. przeciw inwazji wojsk Układu Warszawskiego na Czechosłowację), bardziej interesował się teatrem i filmem niż polityką.

Tuż po studiach Janusz Warmiński angażuje go do Teatru Ateneum. Będzie tu grał i dojrzał jako aktor przez 12 lat – do dziś uważa, że właśnie Ateneum Warmińskiego zawdzięcza odnalezienie się w teatrze. Zaczynał skromnie od rólki Konduktora w „Dyliżansie” Fredry (1968). Przez lata zagrał ponad 30 ról, w tym kilka bardzo ważnych, m.in. tytuło-

W spektaklu „Deprawator” w Teatrze Polskim z Magdaleną Zawadzką, Anną Cieślak i Grażyną Barszczewską.

„Król” na podstawie powieści Szczepana Twardocha w reżyserii Moniki Strzępki.



wego Krakusa w misterium Norwida, Gucia w „Ślubach panińskich” czy Triplewa w „Mewie” Czechowa u boku Aleksandry Ślaskiej. W tym czasie wykreował niemal 50 postaci w spektaklach Teatru Telewizji, m.in. wystąpił jako Romeo, tytułowy Głupi Jakub czy Willi w „Niemcach” Kruczkowskiego, nim dotknął go zakaz występowania w telewizji. Upominał się też o Seweryna film, w którym dobrze się zadowolił, a dwa tytuły Wajdy, w których wówczas zagrał – „Ziemia

obiecana” i „Dyrygent” – przeszły do historii kina. Pracował więc niezmordowanie, wtedy i zawsze, bo praca jest jego pasją.

Kiedy Andrzej Wajda zaprosił go do obsady „Onych” Witkacego, których przygotowywał w teatrze w Nanterre pod Paryżem (1980), Seweryn nie planował, że zatrzyma się we Francji na dłużej, choć był już po intensywnym kursie języka. Życie jednak potoczyło się inaczej i został na 30 lat.

To były czasy intensywnej pracy aktorskiej, reżyserskiej, a także pedagogicznej. Jej wierzchołkami stała się „Mahabharata” (1985) Petera Brooka, legendarny spektakl, przygotowywany przez mistrza teatru w międzynarodowej obsadzie (Seweryn grał zarówno w wersji francuskiej, jak i angielskiej), a potem rola Don Juana w Komedii Francuskiej (1993). Premiera spektaklu otwierała festiwal w Awinionie. Don Juan dla Francuzów to najwyższy sprawdzian wartości aktora, a powierzenie przez reżysera Jacques’a Lassalle’a tej wielkiej Molirowskiej roli obcokrajowcowi wywołało poruszenie. Ale Seweryn zwyciężył, sięgając po metafizyczne sensy

dramatu Moliere. Jeden z krytyków francuskich pisał: „Diabelski uwodziciel o zmysłowej piękności – taki jest Don Juan. Andrzej Seweryn podbija scenę jednym spojrzeniem”.

Wielki nieobecny pojawiał się jednak co pewien czas w kraju, czasem grywał w polskich filmach, także w Teatrze Telewizji, m.in. w dramatach Szekspira: tytułowego Ryszarda III (1989) i Koriolana (1995), a także Molirowskiego Don Juana (1996). Szekspira też reżyserował, ▶

► m.in. Ryszarda II w stołecznym Teatrze Narodowym, choć bez większego powodzenia. Ale z genialnym stratfordczykiem się nie rozstawał.

„Szekspirem nam się dobrze gada”, tak uważa Seweryn i pewnie dlatego rozpoczął pracę w Polskim od pokazu monodramu „Wyobraźcie sobie” na głównej scenie teatru, przed największą widownią teatralną w Warszawie (720 miejsc). Misternie skomponowany scenariusz (we współpracy z Piotrem Kamińskim i Jerzym Klesykiem), biegnący przez wiele tekstów Szekspira, przywołujący przed oczy publiczności dziesiątki postaci i wątków, od zdesperowanego Hamleta i zbrodniczego Makbeta po rubasznego Falstaffa i pokracznego Ryszarda III, od Lady Makbet po Lady Annę z Otellem i Tymonem Ateńczykiem w tle, dał wyobrażenie o niewyczerpanych pokładach ich psychologicznego bogactwa. Aktor, odmieniając się w jednej chwili, nawet stając bezbroniście nagi przed publicznością, nie tylko pokazał zachwycający warsztat, ale zarazem złożył deklarację: na oczach kilkuset widzów budował teatr spraw ludzkich, otwarty na człowieczą naturę.

Seweryn uwodził publiczność, nawet nie próbował udawać, że tego nie robi – przeciwnie, demonstrował swoje umiejętności uwodziciela, jak każdy aktor chciał osiąść publiczność i dokonać tego. W czarnym

stroju, skrywającym białą koszulę, czasem z jakimś rekwizytem, świecą, lampką czerwonego wina, które służyły metamorfozie, odprawiał seans wywoływania Szekspirowskich postaci i prawd przez nie dźwiganych. Ale w tych przemianach chodziło o coś znacznie więcej niż możliwości warsztatowe, co zauważył Paweł Głowacki: „Seweryn – jest wieloma. Jakubem, Lady Makbet, Ryszardem III... szkoda wymienić. (...) W tych nagłych przeskokach z postaci w postać jest

Seweryn uwodził publiczność, nawet nie próbował udawać, że tego nie robi.

znakiem starej oczywistości, że choć ludzie i namiętności nic o sobie nie wiedzą nawzajem – blisko im do siebie, bardzo blisko”.

Seweryn dał więc znak, że chce otworzyć drzwi – ku przyszłości i ku tradycji. Sam na wielkiej scenie Teatru Polskiego dowodził, jak współczesny i bliski jest nam autor „Hamleta”. Nie przypadkiem fragmenty tego spektaklu przypominał niedawno podczas wieczoru jubileuszowego w Teatrze Polskim na 50-lecie swojej pracy scenicznej. Szekspir zresztą stał się za jego dyrekcji częstym gościem Polskiego.

Zaraz po objęciu steru Andrzej Seweryn wystąpił jako Hamm w „Końcówce”, spektaklu przygotowanym

wraz ze „Szczęśliwymi dniami” przez Antoniego Libere, a dedykowanym Zbigniewowi Zapasiewiczowi. Ta premiera była rodzajem przekroczenia: oto teatr tradycyjny, hołdujący repertuarowi mieszczańskiemu, otwierał się na twórczość z innego dopływu, odmiennej orientacji estetycznej. Hamm w tym spektaklu trwał uporczywie przy swojej ostatniej roli, choć utracił już władzę. Rutynowa walka pana i sługi toczyła się już bez wiary w jej sens, ale z przyzwyczajenia, do końca. W taki sposób Beckett

pojawił się na afiszu Teatru Polskiego po raz pierwszy. W życiorysie Seweryna był obecny znacznie wcześniej

– na samym początku drogi aktorskiej znalazł się bowiem Chłopiec w „Czekając na Godota” w reżyserii Macieja Prusa w Ateneum (1971). I Beckett ważny pozostaje, toteż Seweryn 70. rocznicę urodzin uczcił wieczorem trzech jednoaktówek.

Ale skala talentu artysty domaga się coraz to nowych poszukiwań. Stąd powrót do Czechowa, od którego niemal zaczynała się jego przygoda z aktorstwem (Andrzej w „Trzech siostrach” na IV roku PWST, 1967). Teraz w „Wujaszku Waniu” w reżyserii Lwana Wyrpajewa zmierzył się z rolą kabotyna, prof. Sieriebiakowa. Ale i zupełnie nowe wyzwanie, jakim stała się główna rola w spektaklu Moniki Strzępki według powieści Szczepana Twardocha „Król”. Jako Jakub, były żydowski mistrz boksu i niekoronowany król świata przestępczego przedwojennej Warszawy, rysuje człowieka zagubionego w rzeczywistości. I najnowsza rola – Gombrowicza w świetnym dramacie Macieja Wojtyłki „Deprawator”. Z Gombrowiczem Seweryn przestaje od lat. Czytywał publicznie we Francji jego „Dziennik”, planował jego wystawienie. Kiedy pokazał się na scenie kameralnej Teatru Polskiego jako Gombrowicz, zachwylił. „Panie Andrzeju – powiedział po premierze Ignacy Gogolewski – co pan wyprawia? Pan nie gra Gombrowicza, pan nim jest”. Mistrz Gogolewski uchwycił sedno aktorstwa Seweryna, jego artystyczny ideał – nigdy nie chciał kogoś udawać, czyli grać. Chciał nim być na scenie. To najwyższy stopień wtajemniczenia w teatr, w tę najdziwniejszą ze sztuk.

Tomasz Miłkowski

KLUB STODOLA ZAPRASZA NA KONCERTY!

STODOLA



LOREENA
McKENNITT

lost souls
tour

27 MARCA • KRAKÓW
ICE KRAKÓW CONGRESS CENTRE

28 MARCA • ZABRZE
DOM MUZYKI I TANCA

BILETY DOSTĘPNE NA: WWW.STODOLA.PL, WWW.TICKETCLUB.PL ORAZ W KASIE KLUBU STODOLA
(ul. Batorego 10, Warszawa)

Oko w oko



Tomasz Jastrun

NIE MA ŻARTÓW

Kocham malarstwo, może nawet bardziej niż literaturę. Nie mam jednak talentu plastycznego, jaka szkoda. Niejako w zastępstwie znam wielu malarzy i lubię z nimi się przyjaźnić. Kilka razy pisałem eseje o malarstwie. A teraz były prawie jednocześnie dwa wernisaże. Na Saskiej Kępie pokazane zostały nowe obrazy Agaty Bogackiej. Bardzo ceniona malarka, która dopiero co, pamiętam, była małą dziewczynką, córką moich przyjaciół. Zaraz potem wystawa Kasi Karpowicz na Krakowskim Przedmieściu, baśniowym w świątecznych dekoracjach. Tylko gdy mijam Pałac Namiestnikowski z pięknym pomnikiem księcia Józefa Poniatowskiego na koniu, dłuta Thorvaldsena, mam odruch obrzydzenia, że rezyduje tam niejaki Duda. Ale też oddech ulgi, że nie wsadzono na tego konia Lecha Kaczyńskiego.

A Kasię Karpowicz poznałem, kiedy była jeszcze studentką. Bardzo cenię i lubię jej sztukę. To realizm magiczny. Było wiele zbiegów okoliczności, obok talentu, które pchnęły ją na drogę kariery. Była w tym także moja, już nieprzypadkowa, rola. Jeszcze zupełnie nieznaną poleciłem ją Wojtkowi Tuleyi, właścicielowi galerii Art. I tak się zaczęła jej kariera. Niezwykłe, że malarką jest też Joanna, siostra Kasi, świetnie maluje matka Anna, wybitnym malarzem był Sławomir Karpowicz, ojciec Kasi, mąż Anny, malowało i maluje jeszcze kilka osób z tej rodziny. I wszyscy byli i są naprawdę dobrymi malarzami. Fenomen! A Wojtko Tuleyę, właściciela galerii, pytam, czy nie mylą go z bratem Igorem, słynnym sędzią, który tak szlachetnie walczy o niezależność sądów. Mimo kilku lat różnicy są identyczni, nawet gesty mają identyczne, a głos bliźniaczy. Mylą – mówi – ale nikt jeszcze nie był wobec niego agresywny. Na wystawie Agaty wielu znajomych, liczni zmienieni przez czas, niektórzy już w strasznym stanie, nierokującym dużych nadziei.

Na plac Zbawiciela do Wiesława Uchańskiego, właściciela i szefa Wydawnictwa Iskry. Wielki salon, w którym przyjmuje gości, pełen obrazów, z widokiem na plac. To ostatni taki salon towarzyski Warszawy. Czasami mam wrażenie, że Wiesław kolekcjonuje książki i ludzi, ale każdego traktuje podmiotowo. Ilekroć z nim rozmawiam, czuję, że wisi mi na sercu tarcza strzelnicza, a on trafia za każdym razem w dziesiątkę. To są przyjazne, a nie wrogie trafienia. Dowiaduję się od niego, że rocznie ukazuje się w Polsce 36 tys. nowych tytułów z numerem ISBN (International Standard Book Number), czyli sto profesjonalnych tytułów dziennie. Na dodatek w Polsce już nie ma

krytyki, tu też się zgadzamy. Nie ma i już. Nikt więc nie panuje nad światem książki i literatury, a perły giną na śmietniku, nie może być inaczej. Spada też gwałtownie czytelnictwo prasy papierowej i książek z okładką, internet pożera papier. Być pisarzem w takim czasie, to stać na pokładzie tonącego okrętu.

Ale to pół biedy. Ta część ludzkości, która czyta i myśli, czyli znaczna mniejszość, nareszcie się zorientowała, że zmierzamy do samozagłady. Do tej pory niektórzy o tym szeptali, teraz mówi się na głos, niedługo będzie się krzyczyć. To globalne ocieplenie. Naukowcy uważają jednak, że może być już za późno, że uruchomiliśmy reakcję łańcuchową, której nie da się zatrzymać. Jest też zagrożenie wojną termojądrową, już widać, że nie da się zapobiec rozprzestrzenianiu się broni masowej zagłady. Przepaść między światem bogatych i biednych także grozi katastrofą. Z niepokojem myślę o swoich dzieciach. Kiepsko to wygląda, nie tylko Polska jest autodestruktywna. Przecież

Jeśli partie opozycyjne się nie zjednoczą, będą współwinne zapaści moralnej i cywilizacyjnej Polski.

w XX w. dwie wojny światowe nie unicestwiły świata tylko dlatego, że nie znano jeszcze dogłębnie broni masowej zagłady.

A Polskę truje węgiel. Węgiel to górnicy i Śląsk, więc elektorat PiS. Dlatego prezydent zapewnia górników: głosujcie na mnie, ja nie pozwolę zamykać kopalni, węgla mamy na 200 lat. Nie ma takiego głupstwa i takiej podłości, której nie zrobią, by zachować władzę.

Sprawa byłego przewodniczącego KNF i sześciu podległych mu urzędników jest rozwojowa w swoim obrzydliwie. I te słowa nadprokuratora Ziobry. Co ja mogę tu napisać? Są tysiące komentarzy pełnych oburzenia. Trudno jednak o tym nie wspomnieć, bo to ważny znak czasu, który może nawet pretendować do obrzydliwosti roku. A opozycji nadal daleko do zjednoczenia mimo sukcesu tej taktyki w czasie wyborów samorządowych. Na razie Platforma zjada Nowoczesną. Dlaczego to musi się odbywać w złym stylu? Nie ma żadnych wątpliwości, że tylko zjednoczona opozycja pokona PiS. Jeśli partie opozycyjne się nie zjednoczą, będą współwinne zapaści moralnej i cywilizacyjnej, jaka spotka Polskę. Czyli będą współwinne zbrodni. Nie ma żartów.

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

POKOIK ALICJI

Największą zaletą adaptacji powieści „Alicja w Krainie Czarów” jest pokój, w którym dziewczynka przeżywa niezwykle spotkania z wieloma postaciami. Za oknami rozciąga się zresztą zaczarowany ogród. Swoistą sensacją jest też występ w roli głównej 13-letniej Weroniki Wachowskiej. Jej Alicja jest autentyczna, pełna wdzięku, dziecięcej szczerości i delikatności. W przedstawieniu



aktorzy nie chowają się za parawanem, gdy prowadzą przed sobą lalki. Dziecięca widownia nie ma o to pretensji, a Królik jeżdżący na rowerze i wiecznie narzekający na spóźnienie wywołuje tylko śmiech publiczności. Spektakl w drugiej połowie zdaje się tracić tempo, ale dzięki zmieniającym się rekwizytom wydarzenia śledzi się z zainteresowaniem.

Bronisław Tumitowicz

Lewis Carroll, „Alicja w Krainie Czarów”,
przekład Małgorzata Buchalik, adaptacja i reżyseria
Aleksiej Leliawski, Teatr Lalka w Warszawie,
premiera 8 grudnia 2018

BURZA POMYSŁÓW

Najpierw trochę drobnych kropli wody prysnęło na widownię, było ciemno, maszyny wiatrowe huczały, słowem burza jak się patrzy. Zaczęło się więc bardzo teatralnie. I zabawnie, kiedy się okazało, że zwiernym Arielem u boku Prospera Jerzego Radziwiłowicza jest masywny Mariusz Benoit. Ale miłe złego początki. Potem spektakl z widownią usadowioną na scenie Teatru Narodowego począł się rozpadać. Marna pociecha, że w teatrze katastrofa zawsze wisi w powietrzu, co tym razem widowiskowo udowodnił reżyser Paweł Miśkiewicz. Skusiła go burza dekonstrukcyjnych pomysłów. W tekst genialnej tragikomedii wplótł wiele fragmentów różnych utworów Szekspira i innych autorów. Zabiegi te sprawiły, że struktura „Burzy” jeszcze bardziej się skomplikowała. Najwyraźniej reżyser nie chce albo nie umie opowiedzieć widzom historii, którą ułożył Szekspir, a jedynie mamy ich efektami i zaskakuje pomysłami. Czemu służą, nie wiadomo.

Pozostaną zapewne ze spektaklu jakieś chwile, poszczególne fragmenty, jak choćby tajemniczy balet żyrandoli nad opustoszałą widownią. Zdarza się od czasu do czasu jakaś zajmująco ukazana scena. To jednak za mało, aby uratować ten spektakl, z którego wyparował wątek zadurzonych młodych, Mirandy i Ferdynanda, a wiele widowiskowych scen magicznych zastąpiły gimnastyka i morskie szanty. Wysilek wielu świetnych aktorów został więc złożony w ofierze trudnej do zdefiniowania interpretacji.

Tomasz Miłkowski

William Szekspir, „Burza”, przekład Stanisław Barańczak, reżyseria Paweł Miśkiewicz,
Teatr Narodowy, premiera 1 grudnia 2018



ZASŁUCHAJ SIĘ



Sinfonia Varsovia GÓRECKI Warner Classics

Obchodzimy właśnie równolegle z 85. urodzinami Krzysztofa Pendereckiego analogiczny jubileusz Henryka Mikołaja Góreckiego (zm. 2010). Z tej okazji ukazała się książka biograficzna „Geniusz i upór”, a także bardzo ciekawa płyta z niemal sensacyjnym odkryciem muzycznym. Niedokończony i niezinstrumentowany utwór „Dwa Postludia Tristanowskie i Chorał” zaaranżował do wykonania syn kompozytora Mikołaj. Do tego dołączono świetnie skomponowany poemat symfoniczny Mikołaja Góreckiego „Orfeusz i Eurydyka”, uzupełnieniem zaś jest „Małe requiem dla pewnej Polki”, w którym solo fortepianowe gra Anna Górecka, córka Henryka Mikołaja. Ten ostatni utwór jest swego rodzaju zagadką, bo jedni piszą słowo Polka dużą literą, a drudzy małą, jakby chodziło nie o kobietę, ale o czeski taniec. Stąd powstała plotka, że Górecki w sarkastyczny sposób odnotował żal po rozpadzie Czechosłowacji. Nawet jeśli nie jest to prawda, taki utwór dawnej ojczyźnie Czechów i Słowaków się należał.

Bronisław Tumitowicz

BYLIŚMY

PÓŁ OPERY, PÓŁ OPERETKI

Laco Adamik podjął się zaprezentowania dorobku Opery Krakowskiej w jej gmachu przy Lubicz 48. Zrobił to całkiem ciekawie, dzieląc koncert na część operową i operetkową. Wybrał z grywanych przedstawień fragmenty pokazujące możliwości wokalne śpiewaków, chóru i baletu. Wymienienie choćby tytułów oper i nazwisk solistów całkowicie wypełniłoby ramy objętościowe tej relacji. Dlatego, ograniczając się do podstawowej informacji, trzeba wyrazić żal, że jubileuszowe koncerty były tylko dwa. Warto je powtórzyć, może w czasie Letniego Festiwalu Opery Krakowskiej.

Paweł Dybicz

Opera Krakowska, „Opera 2008-2018”,
koncert 8 grudnia 2018



NA EKRANACH

Lady Gaga i Bradley Cooper zamienili się na role – ona zagrała przed kamerą, on zaśpiewał. Efekt? Deszcz nominacji do Złotych Globów – za wyśpiewaną na ekranie piosenkę „Shallow”, którą będziecie nucić godzinami po seansie, za najlepsze kreacje, a on dodatkowo za reżyserię, bo i tego zadania się podjął. Film ma zaś szansę stać się najlepszym obrazem 2018 r., czemu trudno się dziwić, bo jest tu wszystko, za co kochamy kino hollywoodzkie. Chociaż tę historię oglądaliśmy na ekranie już wielokrotnie (to piąty film na podstawie tego samego scenariusza z 1937 r.), trudno nie dać się jej znów uwieść. Lady Gaga gra dziewczynę marzącą o karierze scenicznej, Cooper rockowe bożyszcze, które rozmienia się na drobne. Jedna gwiazda się rodzi, druga gaśnie. Choć obojgu wydaje się, że będą się



NARODZINY GWIAZDY

reż. Bradley Cooper,
prod. USA,
już w kinach



wspólnie rozżarzać, na drodze do happy endu stają wódka i menedżerowie, dzięki czemu ta miłosna ballada mówi też o trudach pozostania niezależnym. Jak to w bajce, scenariuszowi zdarza się oderwać od rzeczywistości, ale z wyciskaniem też radzi sobie nawet w powietrzu.

Artur Zaborski

ZAJRZYJ TU

POMNIK. EUROPA ŚRODKOWO-WSCHODNIA 1918-2018

W Muzeum Rzeźby im. Xawerego Dunikowskiego w Królikarni zapoznamy się z funkcjami i losami pomników oraz procesami, jakim pomniki podlegają. A to na przykładzie dzieł ponad 20 monumentów z naszej części Europy, od wyłonienia projektu, poprzez erekcję i użytkowanie, po rozgrywanie się wokół nich spory, zniszczenie i zapomnienie. Wystawa

jest wynikiem międzynarodowego projektu badawczego poświęconego rzeźbie monumentalnej w Europie Środkowo-Wschodniej, który zainicjował Muzeum Rzeźby.

WARSZAWA, KRÓLIKARNIA, DO 10 KWIETNIA



JERZY WALDORFF-PREYSS 1910-1999

Od grudnia w pałacu w Radziejowicach można oglądać stałą ekspozycję poświęconą pisarzowi, publicyście, krytykowi muzycznemu i działaczowi społecznemu Jerzemu Waldorffowi. Właśnie on zainicjował w radziejowickim Domu Pracy Twórczej stałą działalność artystyczną – koncerty, wystawy czy prezentacje literatury. Gabinet Jerzego Waldorffa będzie kolekcją pamiątek po twórcy – to portrety rodzinne, obrazy, fotografie, karykatury, kolekcja lasek, rzeczy osobiste oraz antyczne meble i bogaty zbiór płyt analogowych, które zapisał w testamencie Muzeum Warszawy, funkcjonującemu wówczas jeszcze pod dawną nazwą Muzeum Historyczne m.st. Warszawy.



W SIECI

KULTURA I SPORT W 20-LECIE

W Muzeum Historii Polski na międzynarodowej platformie Google Arts&Culture możemy oglądać no-

we e-wystawy: „Odrodzenie ciała. Organizacje sportowe, turystyczne i opiekuńcze w służbie Niepodległej” (artsandculture.google.com/exhibit/t/3wLyq4peyMOjLQ) oraz „Odrodzenie ducha. Organizacje spółdzielcze, religijne i kobiece w służbie Niepodległej” (artsandculture.google.com/exhibit/EQKyDhfrlqVXLA), poświęcone ludziom i organizacjom kształtującym nowoczesne spojrzenie na zdrowie i aktywność fizyczną. Przybliżają one dorobek stowarzyszeń, spółdzielni, związków wyznaniowych i zawodowych w czasie odzyskiwania przez Polskę niepodległości.

we e-wystawy: „Odrodzenie ciała. Organizacje sportowe, turystyczne i opiekuńcze w służbie Niepodległej” (artsandculture.google.com/exhibit/t/3wLyq4peyMOjLQ) oraz „Odrodzenie ducha. Organizacje spółdzielcze, religijne i kobiece w służbie Niepodległej” (artsandculture.google.com/exhibit/EQKyDhfrlqVXLA), poświęcone ludziom i organizacjom kształtującym nowoczesne spojrzenie na zdrowie i aktywność fizyczną. Przybliżają one dorobek stowarzyszeń, spółdzielni, związków wyznaniowych i zawodowych w czasie odzyskiwania przez Polskę niepodległości.



Dariusz Łukasiewicz

Nędza była ulubionym obiektem zainteresowań historyków PRL. Biedą się upajano, biedę wyklinalo, z biedą walczono. Socjalizm miał być wielkim triumfem nad biedą, jej ujarzmieniem. Odwrotnie po 1989 r., kiedy nikt już nie miał siły więcej zajmować się tym tematem i zainteresowano się bogactwem, luksusem i drogimi towarami najlepszych marek. O biedzie przestano mówić, zaczęto jej unikać, zapanowała biedofobia, ale przecież nędza nie zniknęła i czasami dotkliwie przypomina o swoim istnieniu.

NA ŁASCE KOŚCIOŁA

Dawny, przedświeceniowy, feudalny stosunek do biedy polegał na przekonaniu o jej nieuchronności i niezmienności. Jedni musieli być biedni, aby drudzy byli bogaci, i niczego tu się nie dało zmienić ani poprawić. Chrześcijanie zobligowani byli natomiast do miłosierdzia wobec bliźnich, które było częścią wielkiej ekonomii miłości i zbawienia. Biedni bowiem mieli się modlić za dusze czyścicowe zmarłych bogatych.

Zanim pojawiło się państwo dobrobytu (*welfare state*, *Sozialstaat*), o biednych troszczyły się przede wszystkim Kościoły, władze komunalne, a ważną rolę odgrywała też prywatna dobroczynność. Teoretycznie jedna czwarta ogromnych wówczas dochodów Kościoła miała być przeznaczana na ubogich. Do Kościoła należały liczne szpitale, które zajmowały się w pierwszej kolejności pozbawionymi opieki ludźmi starymi, kalekami, biednymi. Były domy podrzutków i sierocińce oraz kościelne lazarety. Sobór w Nicei już w roku 325 zobowiązywał wszystkich

NĘDZA NIE ZNIKNĘŁA

Zanim pojawiło się państwo dobrobytu, o biednych troszczyli się przede wszystkim Kościoły, władze komunalne i prywatni filantropi



Christian Krohg, „Walka o przetrwanie”, 1888/1889 r.

dwika Świętego posiłek codziennie otrzymywało 120 ubogich. Owym biednym rytualnie usługiwał sam król, nalewając zupę i krojąc mięso.

Wypowiedzi wybitnych postaci chrześcijaństwa miały podobny wydźwięk, utrzymany w duchu

czego wymownie: głodnych nakarmić, chorych pokrzepić, więźniów nawiedzać, podróżnych w dom przyjąć, nagich przyodziać, niewolnych wykupić, martwych pogrzebać. Średniowieczny komentarz do tych cnót brzmiał: „Stąd płynie nauka, że książęta, prałaci i inni możni powinni żywić litość wobec tych, którzy są w potrzebie, i niczego nie odmawiać prawdziwie ubogiemu w miarę możliwości, bowiem to właśnie zmazuje grzechy”.

W średniowieczu nędza uważana była za stan naturalny i była ona powszechna. Wsparcia potrzebowali więc nie tyle ubodzy, ile zagrożeni w biologicznym przetrwaniu. Jak czytamy w książce Jeana-Louisa Goglina „Nędzarze w średniowiecznej Europie”, w XIII-wiecznej Francji

W średniowieczu nędza uważana była za stan naturalny.

chrześcijan do pomocy ubogim, obcym i chorym. Biedaków wspierały chrześcijańskie bractwa i samorządy komunalne, ograniczając się jednak ściśle do rejestrowanych „swoich” biedaków. Otrzymywali oni znaczki, np. żółte krzyże, które pozwalały ich odróżnić od żebraków obcych. Na francuskim królewskim dworze Lu-

miłosierdzia. Św. Chryzostom chciał więc, aby 10% najbogatszych wzięło na utrzymanie 10% najuboższych. Najważniejszy z ojców Kościoła, św. Tomasz z Akwinu, dowodził, że człowiek nie może przywiązywać się do rzeczy materialnych i powinien biednym rozdać to, co nie jest mu niezbędne. Siedem cnót miłosierdzia brzmi bar-

na 10 chłopów jeden znajdował się w skrajnej nędzy, trzech w trudnej sytuacji materialnej, czterech żyło skromnie, a tylko dwóch w dostatku. W XVI i XVII w. jedna piąta ludności potrzebowała opieki. Markiz Vauban pod koniec XVII w. oceniał, że 10% Francuzów jest żebrakami, a jednej trzeciej niewiele do tego stanu brakuje. W wieku XVII postępowała centralizacja opieki nad ubogimi i rozwijały się instytucje publiczne. Zajmowały się tym miasta, przejmując od Kościoła opiekę nad biednymi. W Norymberdze w 1522 r. opiekę

dać wzorem dla słynnych zup Jacka Kuronia. W Warszawie pod pruskim zaborem w 1801 r. zaczęło działać zajmujące się tym towarzystwo dobroczynne. „Gazeta Warszawska” relacjonowała wówczas: „Żywi ona familie obarczone dziećmi, kobiety ciężarne, starców i kaleki, nie mogących sobie na chleb zarobić, na koniec ludzi ubogich (...), czekających na służbę jakową. Jeżeli nie jest dostatecznym pożywieniem, zachowuje przynajmniej od głodu, będącego pierwszym źródłem nieszczęść i występków”. Codziennie żywność

zresztą prawie zawsze, że biedni są sami sobie winni z powodu pijaństwa, próżniactwa, rozpusty, braku zapobiegliwości i przezorności oraz złego trybu życia. Filantropia miała wobec tego dotyczyć jedynie wyjątków, „prawdziwie potrzebujących”. Taki też pozostał do nędzy stosunek liberałów (Adama Smitha, Davida Ricarda), którzy uważali, że bieda jest nieuchronnym składnikiem kapitalistycznej cywilizacji i nie ma sposobu, by tę sytuację zmienić. Byli także przeciwnikami podejmowania przez państwo środków zaradczych, uważając je za nieskuteczne.

Po epoce Oświecenia ogromne majątki Kościoła były konfiskowane przez państwo. Na ziemiach polskich zaboru pruskiego w 1797 r. nastąpiła sekularyzacja dóbr kościelnych w zamian za pensje dla duchownych w wysokości 50% dotychczasowych dochodów z tych majątków. Król pruski Fryderyk II argumentował, że księża są po to, aby się modlić, a nie zarabiać pieniądze. Przepadła jednak przy tym w znacznym stopniu kościelna opieka nad ubogimi, szkolnictwo, szpitalnictwo, przytulki i sierocińce, a państwo w to miejsce wkraczało bardzo powoli i przy ogromnych oporach zamożnych elit. W roku 1814 w stolicy powstało Warszawskie Towarzystwo Dobroczynności, z siedzibą przy Krakowskim Przedmieściu 62, w kamienicy z łacińskim napisem *Res sacra miser* (Ubogim to rzecz święta). Członkiem

Marcin Luter pisał w 1520 r.: „Wystarczy tak wspierać biednych, aby nie umierali z głodu”.

łączono z represjami, aby usunąć żebraków z ulic. Powstawały więzienia, domy pracy i opieki. Coraz częściej koncentrowano się w duchu kapitalistycznym na interpretacji, że biedota jest leniwa, pijana i sama sobie winna. Karano ją chłostą i pomagano tylko nielicznym uznanym za pokrzywdzonych przez los. Kształtował się etos mieszczański, w którym wyciąganie ręki po pomoc było podejrzane bardziej niż dotąd i łatwo wiązano je z nieróbstwem. Nędzarze wywoływali strach, bo kojarzyli się z epidemiami. Zamykano przed włóczęgami bramy, projektowano roboty publiczne, aby dać im zajęcie. Marcin Luter pisał w 1520 r.: „Wystarczy tak wspierać biednych, aby nie umierali z głodu”. Więcej empatii miał katolik Erazm z Rotterdamu: „Jakże to? To członek tego samego co ty ciała szczerzy zęby z głodu, a tobie się odbija mięsem kuropatwy? Brat Twój nagi drży z zimna, a u ciebie tyle ubrań niszczy od moli i pleśni?”. Kościół trwał na pozycjach obrony jałmużny. Hiszpański teolog Domingo de Soto uważał, że lepiej udzielić pomocy każdemu, nawet jeżeli wśród dopominających się o nią znajdzie się 20 oszustów na czterech prawdziwych nędzarzy, niż wyrzucić wszystkich, ryzykując, że odrzuciło się ubogiego. Krytycy takiej postawy mówili: łatwość uzyskania jałmużny demoralizuje i sprzyja próżniactwu.

NA ŁASCE FILANTROPÓW

W XIX w. znana stała się zupa rumfordzka rozdawana ubogim, będąca

w ten sposób ok. 250 osób. „Każdą z nich dostawała kwartę miary polskiej zupy posilnej i kawał chleba”. W rzeczywistości jakość posiłków budziła przerażenie nawet psów i kotów. Jak powiedział bystry konsument zupy w 1817 r.: „Po głodzie największą trwogą to jadło”. Zamożny filantrop, który chciał się przekonać, jak się sprawy mają, sam degustował i przyznał: „Kosztowałem ja ten groch i tę zacierkę. Nie jestem wymyślny w smaku, ale pół tyżki zjeść nie mogłem, a w kluskach pomiędzy zębami dawało się czuć piasek. Zje to jednak ubogi, bo w głodzie i korą, i zielskiem brzuch zapycha”. Weteran wojskowy w 1860 r. powiedział, że miał do odwiedzającego biednych

W XIX w. znana stała się zupa rumfordzka rozdawana ubogim, będąca wzorem dla słynnych zup Jacka Kuronia.

Tadeusza Lubomirskiego: „Psów w twych dobrach na Wołyniu nie karmią tak lichy”.

Historyk ubóstwa Bronisław Geremek, o skutkach filantropii XVIII- i XIX-wiecznej pisał jasno i prosto: „Łagodziły konsekwencje deterioracji warunków życia i wydarzeń losowych, przeciwdziałały procesom demoralizacji i społecznej dezorganizacji. Oczywiście jednak jest, że w stosunku do masowych rozmiarów pauperyzmu były to paliatywy”. Jak zauważa, paternalistyczne oraz protekcyjne akcje charytatywne, połączenie pomocy z represjami, traktowane były przez robotników z rosnącą niechęcią. Bogaci uważali

tej instytucji był Bolesław Prus, prowadził też w niej wykłady.

Coraz częściej wypowiadano się jednak za większym udziałem państwa we wspieraniu ubogich. Już na początku wieku XVIII twórca polityki socjalnej państwa pruskiego Christian Wolff ogłosił, że troska o pomysłność poddanych i wspieranie ich w potrzebie jest zadaniem państwa. Ekonomista Johann Heinrich Gottlob von Justi pisał, że instytucja państwa musi chronić lud przed wyzyskiem i tyranią ze strony możnych, bo popadnie on w nędzę, a wówczas demografia ważna dla rozwoju kraju wypada kiepsko albo wcale. Fryderyk II głosił już, że jego władza nie

▶ pochodzi od Boga, a jego zadaniem jest zapewnienie szczęścia poddanych. Komu brakowało pracy, temu władza miała ją zapewnić, ale uchylających się od pracy należało karać. Obowiązek pomocy państwa słabszym głosił też pruski kodeks prawa, Landrecht, z 1794 r.

Żebractwa zakazywano, ale skoro tak – czego we Francji dowodzili Monteskiusz i encyklopedyści – ludziom trzeba zapewnić pracę. Ten pierwszy domagał się od państwa utrzymania biednych, którym nie da się znaleźć pracy. Christian Wolff i Jean Condorcet byli przekonani, że środki represyjne wobec ubogich są zaprzeczeniem ludzkich uczuć, a pomoc to wyraz miłości bliźniego. Henry Fielding dowodził, że stereotyp utożsamiający biedę z niegodziwością jest fałszywy: cierpienia ubogich są dostrzegane w mniejszym stopniu niż ich występki. Ginią z chłodu i głodu wśród takich samych jak oni, natomiast oczom ludzi majątnych ukazują się tylko wtedy, kiedy żebrzą, piją, kradną lub dokonują aktów przemocy. Immanuel Kant pisał, że wraz z emancypacją jednostki spod władzy rodziny rośnie obowiązek pomocy ubogim w potrzebie, ponieważ samo to państwo odpowiada za „nierówność pomyślności” i powinno tę



Dom ogniskowo-noclegowy dla bezdomnych chłopców Towarzystwa Ognisk dla Młodzieży przy ul. Wolność 14 w Warszawie, kwiecień 1935 r.

ubogimi jest świętym obowiązkiem. Społeczeństwo jest winne wszystkim dotkniętym w sposób niezawiniony przez nędzę zabezpieczenie bytu i pracy zdolnym do pracy”. Była to zapowiedź realizowana jeszcze bardzo enigmatycznie. Właśnie wtedy nabrało też mocy przeświadczenie, że podstawowym sposobem wydobycia się z dziedzicznej biedy powinna być edukacja, którą ma zapewnić

XVIII w.: „Szaleństwo kobiet w tym względzie przebrało wszelką miarę. Przedzierzgnęły się w psie guwernantki, otaczają psy wszelkimi możliwymi staraniami. Nadepnijcie na łapę pieskowi, a przepadliście w sercu Pani; może ukryć urazę, lecz nigdy wam nie wybaczy; skrzywdziliście jej skarb. Podsuwają im najwyższe potrawy: kundla karmi się kurczęciem, a choremu na poddaszu nie da się tyżki zupy”.

Typowe socjaldarwinistyczne stanowisko wobec biedy reprezentował w XIX w. Herbert Spencer, który pisał, że nędza bierze się nie z braku pracy, ale z niechęci do podjęcia oferowanego stanowiska i złego jej wykonywania. Ludzie biedni sami są winni swojej niedoli: „Są to po prostu nicponie, którzy w ten lub inny sposób żyją kosztem ludzi godniejszych; są to włóczęgi i głupcy, kryminaliści lub osobniki będące w drodze do kryminału, młodzieńcy utrzymywani przez rodziców ciężko pracujących, mężowie, którzy przywłaszczyli sobie pieniądze zarobione przez żony, osoby dzielące się zyskiem z prostytutkami”. Z biedą walczyć wręcz nie wolno – uważał Spencer, ponieważ jest ona skutkiem niegodnego i rozwiązłego życia, a za to spotkać musi człowieka kara właśnie w postaci nędzy. W innym wypadku ma miejsce straszliwa demoralizacja, która jest skutkiem pomocy ubogim i prowadzi do krzywdzenia

W Kongresówce jeszcze przez większą część XIX w. trzy czwarte ludności chłopskiej biedowało.

niesprawiedliwość zrekompensować. Georg Wilhelm Friedrich Hegel pisał, że nędza jest nieuniknionym produktem wolnego rynku i państwo powinno sprawować opiekę nad ubogimi: „Władza państwa przejmując funkcje rodziny wobec ubogich”. Johann Gottlieb Fichte już w 1800 r. potępiał nieograniczoną konkurencję i uważał ją za szkodliwą oraz żądał od państwa zapewnienia obywatelowi w potrzebie minimum środków egzystencji, co miało dać państwu konieczną stabilność.

Pomoc ubogim jako obowiązek religijny została więc w XVIII w. zastąpiona przez prawny obowiązek państwa i narodu, a więc wspólnoty obywatelskiej. Francuska Deklaracja praw człowieka i obywatela z 24 czerwca 1793 r. w art. 21 dekretowała: „Publiczna opieka nad

państwo, kiedy nie są w stanie zrobić tego zubożali rodzice.

PAŃSTWO OPIEKUŃCZE

Państwo socjalne na większą skalę powstało jednak dopiero pod koniec XIX w. pod wpływem obaw przed zagrożeniem rewolucją, a potem w obliczu konkurencji ZSRR po 1945 r. Okres „dzikiego kapitalizmu” w wieku XIX to jeszcze szczątkowa opieka państwa, odrobina komunalnej, kościelnej, a przede wszystkim filantropia. Jak pamiętamy z „Lalki” Bolesława Prusa, panie z towarzystwa chętnie się w niej udzielały, wzruszając się cłikwie losem sierotek. Rywalem nędzarzy w sercu dam były jednak od dawna kotki i pieski. Reportażysta paryski Louis-Sébastien Mercier pisał w latach 80.

ludzi godnych przez nakładanie na nich marnotrawionych na takie cele podatków.

Wszystko to były niedorzeczne wymysły. W rzeczywistości bystrzy obserwatorzy odnotowywali narastanie problemów, frustracji i agresji robotników w wielkich miastach. Eksplozja demograficzna i urbanizacja powodowały wzrost liczby ubogich. Od 1816 do 1865 r. ludność Niemiec wzrosła z 23,5 do 38 mln. Historycy sądzą, że 50% mieszkańców wielkich miast żyło w ubóstwie i dochody przeznaczało głównie na pożywienie. Ograniczało się ono zwykle do produktów zbożowych i ziemniaków. Jak podaje historyk gospodarki Juliusz Łukasiewicz, w Kongresówce jeszcze przez większą część XIX w. trzy czwarte ludności chłopskiej, która stanowiła 80% populacji, biedowało. Nawet w okresie średnich plonów w wielu rodzinach musiano się zadowolić jednym posiłkiem dziennie. W czasie głodu liczba zgonów mogła się nawet podwoić.

Już w pierwszej połowie XIX w. dochodziło często do zamieszek i wybuchów niezadowolenia, tłumionych przez wojsko. Zbuntowanym nie chodziło jednak o rewolucję, ale o zabezpieczenie wystarczającej ilości żywności. Później natomiast rozrastały się partie socjalistyczne oraz związki zawodowe i stanowiły one coraz większe zagrożenie dla władzy mieszczaństwa. W drugiej połowie XIX w. sytuacja stawała się coraz bardziej napięta. Pracodawcy coraz częściej postrzegani byli jako wrogowie klasowi robotników. Elity zaczęły wobec tego szukać metody ustabilizowania sytuacji. Czując groźbę rewolucji, myślały o tym, jak zaradzić problemom. Papież Leon XIII w 1891 r. w encyklice *Rerum novarum* bardzo ostro atakował wynaturzenia kapitalizmu: „Należy szybko i skutecznie przyjść z pomocą ludziom z warstw najniższych, ponieważ olbrzymia ich część znajduje się w stanie niezaspokojonej, a okropnej niedoli”.

Cesarz Niemiec Wilhelm I ogłosił w 1881 r., że obowiązkiem państwa jest zapewnienie dobrobytu ogółowi mieszkańców i opieki wykluczonym. W ślad za tym w 1883 r. zostały wprowadzone ubezpieczenia od nie-

szczęśliwych wypadków, a w 1889 r. ubezpieczenia emerytalne i na wypadek inwalidztwa. Rozwiązania te dotyczyły nie całego społeczeństwa, ale tylko robotników, którzy stanowili zagrożenie dla burżuazji. Dopiero stopniowo rozszerzano te innowacje socjalne na inne grupy – np. w 1911 r. na urzędników. Kolejnym krokiem było wprowadzenie w 1924 r., już w Republice Weimarskiej, ubezpieczenia na wypadek bezrobocia. Państwo opiekuńcze rozwiązało też problem

wę bytu zwykłych ludzi. Płace robotników w latach 1801-1951 podniosły się 12-krotnie, gdy w tym samym czasie koszty utrzymania wzrosły tylko trzykrotnie. Warto pamiętać, że jeszcze na początku XIX w. robotnik angielski dwie trzecie pensji przeznaczał na chleb.

Jeszcze bardziej poprawił się poziom życia po 1950 r. Równolegle rozwijało się państwo opiekuńcze, sprawiając, że takie zjawisko jak głód z rozwiniętej części Europy zostało

Pomoc ubogim jako obowiązek religijny została w XVIII w. zastąpiona przez prawny obowiązek państwa i narodu, a więc wspólnoty obywatelskiej.

edukacji, wdrażając obowiązkowe i powszechne nauczanie (1825 r.), służby zdrowia oraz rent chorobowych i na wypadek inwalidztwa. Wcześniej biedni mogli liczyć jedynie na bezpłatnie leczących ubogich lekarzy miejskich. Na Wyspach Brytyjskich nowoczesne rozwiązania socjalne wprowadzone zostały wkrótce po Niemczech – ustawa o emeryturach w 1908 r., a ubezpieczenia w 1911 r. We Francji ustawa emerytalna weszła w życie w 1910 r. Także w innych krajach rozwiązania charakterystyczne dla *welfare state* wprowadzać zaczęto na początku XX w. Wieki XIX i XX przyniosły ogromną popra-

wyeliminowane i staliśmy się społeczeństwem konsumpcyjnym. Niesłychanie upowszechniły się edukacja i opieka medyczna, chociaż – jak pokazuje kwestia szczepionek – są tutaj rozmaite zawirowania. W latach 50.-70., w okresie powojennej odbudowy, państwa dobrobytu rozwijały się znakomicie, na poziomie 5-6% rocznego wzrostu PKB. W okresie kryzysu po 1973 r. rozpoczęto odchudzanie instytucji publicznych jako hamujących rozwój. W tym samym duchu organizowano kapitalizm polski po 1989 r. W związku z tym prof. Andrzej Walicki pisał, „że państwo opiekuńcze, z takim zapałem dziś demontowane, nie jest ani wymysłem komunistów, ani luksem bogatych społeczeństw, ale sposobem radzenia sobie z nabrzmiałymi problemami społecznymi, który okazał się nader skuteczny w zagradzaniu drogi ekstremizmowi lewicy i prawicy; że idea państwa zabezpieczającego społeczne minimum i w ten sposób umożliwiającego korzystanie z wolności powstała na gruncie tradycji liberalnej, która już w XIX w. porzuciła redukcję wolności do wolnego rynku; że zaczęto ją wprowadzać nie pod wpływem rozkwitu konsumpcji, lecz w okresie wielkiego kryzysu i klęsk bezrobocia, i nie pod sztandarem socjalizmu, lecz z myślą o ocaleniu podstawowych wartości społeczeństw liberalnych”.

Dariusz Łukasiewicz jest profesorem w Instytucie Historii PAN



20-lecie międzywojenne. Wieś Sławsk.

Rozmawia Bronisław Tumitowicz

Jakie są możliwości poznania? Zapewne węższe były dla wielkiego odkrywcy Mikołaja Kopernika niż dla współczesnych nam badaczy, np. prof. Aleksandra Wolszczana?

– Granice poznania są oczywiście różne, ale nie zmienia to faktu, że przy zawężonych możliwościach Kopernik dokonał wielkiego odkrycia. Dzięki niemu z układu geocentrycznego przeszliśmy do heliocentrycznego, co miało fundamentalne znaczenie. Był pierwszym astronomem, który nie spojrzał na niebo jak na płaską sferę nad głową, ale zobaczył je przestrzennie. Od tego czasu granice poznania znacznie się rozszerzyły, inaczej zaczęto patrzeć na Słońce i jego planety, obserwacji dokonywano już w obrębie całej galaktyki, a potem sięgnięto nawet do innych galaktyk.

Ale i te granice poznania zostały przekroczone.

– Dzięki Edwinowi Hubble'owi zrozumiano, że wszechświat się rozszerza, że jego poszczególne elementy, galaktyki, oddalają się od nas. To wcale nas nie wyróżnia w otoczeniu, ale świadczy o jakby pęcznieniu wszechświata, jego rozszerzaniu się, bo wszystkie jego obiekty oddalają się od siebie. Badamy prędkość tego rozszerzania się, ale też zadajemy sobie pytanie, czy za jakiś czas wszechświat nie zacznie z powrotem się kurczyć. Większość naukowców jest jednak zdania, że wszechświat rozszerza się coraz szybciej. Ale patrząc wstecz, dochodzimy do początku, do tzw. Wielkiego Wybuchu. Znowu próbujemy przekroczyć granice naszego poznania. Wszechświat jest tak bogaty i niezwykle, że na razie nie jesteśmy w stanie poznać wszystkich jego osobliwości. Im głębiej coś poznajemy, tym więcej rodzi się pytań i wątpliwości.

Co jest teraz dla astronomów granicą trudną do pokonania?

– Nauka stale się rozwija i dzięki współczesnym technikom obserwacyjnym możemy widzieć obiekty coraz młodsze, powstałe wkrótce po początkowej osobliwości, którą symbolicznie nazywamy Wielkim Wybuchem. I tu dochodzimy do granicy niemożności stwierdzenia, co było na początku. Jesteśmy już bardzo blisko, ale samego początku nie potrafimy

CZYM NAS KOSMOS JESZCZE ZASKOCZY?

Wszechświat jest tak bogaty i niezwykle, że nie jesteśmy na razie w stanie poznać wszystkich jego osobliwości

DR KRZYSZTOF ZIOŁKOWSKI

– astronom

my opisać. Nie udaje się to ani teoretycznie, metodami matematycznymi, ani obserwacyjnie. Najgenialniejsze umysły nie są w stanie przekroczyć dziś tej osobliwej granicy. Wiemy tylko, a może aż tyle, że Wielki Wybuch nastąpił ok. 13,5 mld lat temu, ale nie potrafimy jeszcze tego uchwycić w karby spójnej teorii naukowej; nasze pojęcia czasu i przestrzeni oraz wszystkie prawa fizyki tracą wtedy po prostu sens.

DAMY RADĘ?

Czy to się komuś uda?

– Być może tę granicę pokonamy już za rok, może za 10, a może za 100 lat. Nie ma jednak żadnej gwarancji, ale wierzę, że pojawi się kiedyś geniusz wielkości Kopernika czy Einsteina.

Tymczasem na co dzień nie są nam potrzebne wiadomości o Wielkim Wybuchu. Marynarze uczą się astronomii, jakby mieli do czynienia ze sferą niebieską, na której są sztywno ustawione gwiazdy, a ich położenie zmienia się w zależności od pór roku. Zupełnie jak w czasach Kopernika.

– Bo tak naprawdę wygląd nieba od czasów Mikołaja Kopernika się

nie zmienił. Może tylko pojawiły się sztuczne satelity, które widać z Ziemi. Nauka astronomii dla żeglarzy, lotników czy podróżników może jest trochę archaiczna, ale skuteczna. System GPS, który powstał dla celów militarnych i został przekazany do użytku cywilnego, może w trochę okrojonej postaci, potrafi zlokalizować nasze położenie na kuli ziemskiej z dokładnością chyba 1 m. Krążące wokół Ziemi kilkaset kilometrów nad jej powierzchnią sztuczne satelity spełniają dziś podobną funkcję jak budowane dawniej wieże triangulacyjne. Warto sobie uświadomić, że komputer, który już prawie każdy z nas ma w swojej komórce, przetwarza sygnał GPS, gdy jej urządzenie odbiorcze „widzi” co najmniej trzy satelity, by dokładnie ustalić nasze położenie. Wcześniej żeglarze rysowali na mapie pozycję statku, wykonując samodzielnie pomiar kąta do trzech świecących obiektów na niebie.

Kosmos wciąż służy prostym (przynajmniej dla komputerów) pomiarem, ale ma jeszcze ogromnie dużo tajemnic.

– Piszę m.in. o tym w wydanej już przeszło 10 lat temu książce „Zdziwienia” z podtytułem „Wszechświat ludzi o długich oczach”.

Dr Krzysztof Ziolkowski – specjalista w dziedzinie badań ruchów komet i planetoid oraz dynamiki Układu Słonecznego. Pracował m.in. w Centrum Badań Kosmicznych PAN, wykładał astronomię na Politechnice Warszawskiej. Był redaktorem naczelnym miesięcznika astronomicznego „Urania”. Jest autorem kilku książek, m.in.: „Bliżej komety Halleya”, „Zderzenie komety z Jowiszem”, „Zdziwienia. Wszechświat ludzi o długich oczach”, „Poza Ziemię... Historia lotów międzyplanetarnych”.



Kim są ci osobnicy o długich oczach?

– To właśnie astronomowie. Z tym określeniem wiąże się zabawna historia; gdy w latach 80. minionego stulecia Amerykanie chcieli zbudować obserwatorium astronomiczne na wyludnionym terenie Arizony, należącym formalnie do plemienia Indian, przy podpisywaniu umowy z właścicielami działki okazało się, że w języku tubylców nie ma odpowiednika terminu astronom. Użyto więc opisowej nazwy: ludzie o długich oczach, bo dzięki zbudowanym przez siebie urządzeniom jakby wydłużają swoje możliwości, widzą dalej i głębiej.

TAJEMNICZE BUDOWLE

Ale przecież przodkowie dzisiejszych Indian musieli mieć dosyć rozwiniętą naukę o niebie, skoro np. Majowie budowali piramidy idealnie naceLOWANE na położenie Słońca w dniu przesilenia wiosennego i uzyskiwali niezwykle efekty świetlne na figurze Pierzastego Węża. Nikt nie powie, że ich kapłani nie byli doskonałymi obserwatorami nieba. Podobnie plemiona zamieszkujące obszar dzisiejszego Peru

budowały ogromne figury zwierząt, jakby chcąc, aby ktoś z kosmosu je dojrzał.

– Sądzę, że ci prekolumbijscy uczeni bacznie obserwowali niebo, dostrzegali na nim okresowość różnych zjawisk, rozróżniali punkty jaśniejsze i ciemniejsze, potrafili też wykorzystać pewne zjawiska, ale nie zadawali sobie pytania, dlaczego to się tak odbywa, zatrzymali się na interpretacji

Większość naukowców jest zdania, że wszechświat rozszerza się coraz szybciej.

ruchów na niebie. Pytania o przyczyny pojawiały się w cywilizacji greckiej czy judeochrześcijańskiej. Starożytni uczeni chińscy też nie stawiali sobie pytań o istotę i naturę kosmosu. Pod tym względem Europa i kraje basenu Morza Śródziemnego szybciej przekroczyły dotychczasowe granice poznania.

Co jest dla współczesnych badaczy nieba najważniejszym, jeszcze nierozwiązanym zadaniem? Brak potwierdzenia w praktyce teoretycznych, matematycznych modeli czarnych dziur?

– Praktyka i teoria są ze sobą powiązane. Współczesna wiedza bazuje

na modelach matematycznych i do nich szuka się obserwacji, które by potwierdzały lub obalały teoretyczne założenia. Ale jedna i druga sfera rozwijają się równolegle. Sztywny podział na teorię i praktykę jest błędny, ukazuje fałszywą perspektywę poglądu na świat. Idealnego modelu dla kosmosu czy wszechświata jeszcze nie ma, ale dąży się do tego, by jedną teorią matematyczną opisać całość, makro- i mikroświat. Makroświat to kosmos, jego badaniem zajmuje się astronomia i kosmologia. Natomiast mikroświat skupia się na strukturze materii, budowie atomu, to jest domena fizyki, a w szczególności mechaniki kwantowej. Połączenie tych dwóch oddzielnych teorii, grawitacji Newtona i Einsteina oraz mechaniki kwantowej, byłoby epokowym osiągnięciem nauki, pozwalającym rozszerzyć dotychczasowe możliwości poznania. To się marzyło Hawkingowi, ale nie zdążył tego dokonać. Zmierzają do tego liczne zespoły badaczy. Ten problem jest niewątpliwie przyszłościowym kierunkiem rozwoju nauki.

NIE WARTO PODRÓŻOWAĆ W KOSMOSIE?

Może więc wcześniej uda się dolecieć na Marsa, Saturna albo dalej?

– Człowiek podróżujący przez wszechświat? Moim zdaniem on nie będzie latał, lot człowieka poza Układ Słoneczny jest niemożliwy, a po co latać w jego obrębie?

A ciekawość, pasja poznawania?

– To zaspokoją inteligentne, sterowane z Ziemi urządzenia. Mamy rozwiązania techniczne, które lepiej badają wszechświat niż człowiek. Sam kiedyś uważałem, że przy takich zadaniach człowiek bywa niezastąpiony. Ale zmieniłem zdanie. Na Księżycu było 12 śmiałków, ale to niewiele zmieniło w naszej wiedzy o tym satelicie Ziemi. Tymczasem na Marsa dotarła już sonda kosmiczna wyposażona w zbudowany w Polsce przyrząd, który pobierze próbkę materii spod powierzchni planety, aby na miejscu ją zbadać. Nie deprecjonuję możliwości człowieka, bo to on zbudował ▶



Na Marsa dotarła sonda kosmiczna wyposażona w zbudowany w Polsce przyrząd, który pobierze próbkę materii spod powierzchni planety, aby na miejscu ją zbadać.

▶ wszystkie aparaty, które powiedzą znacznie więcej i dokładniej o tym, co można w kosmosie zobaczyć i czego doznać. O tym, jak wiele już takich prób dokonano, można przeczytać w mojej niedawno wydanej książce „Poza Ziemię...”, która jest historią lotów międzyplanetarnych.

Czy astronomowie badają też loty UFO?

– Świadczenia o przybyciu UFO są wątpliwe i nie mają żadnego naukowego potwierdzenia, wynikają głównie z fantazji ludzi. Zdarzają się czasem niezrozumiałe jeszcze zjawiska, ale wierzę, że prędzej czy później znajdą one jakieś racjonalne wytłumaczenie. W zeszłym roku np. dostrzeżono niezwykle planetoidę, która porusza się po bardzo wyraźnie hiperbolicznej orbicie. Przybyła więc w pobliże Słońca spoza naszego układu planetarnego i wkrótce go opuści. Oczywiście od razu niektórzy zaczęli domniemywać, że to pozaziemska cywilizacja przysłała ten prawdopo-



dobnie statek kosmiczny. Jednak nic nie potwierdza przypuszczenia, że ten obiekt, nazwany Oumuamua, jest tworem obcej cywilizacji.

NIKT NIE WOŁA

Nadal jednak naukowcy szukają cywilizacji pozaziemskich, wysyłają sygnały o nas, nasłuchują, czy ktoś odpowie.

– To się rzeczywiście dzieje, choć największe nasilenie takich akcji mamy już chyba za sobą, bo to jest jednak kosztowne, a nie przyniosło dotychczas żadnych rezultatów.

Czy obserwowane na niebie układy gwiazd mają jakiś wpływ na charaktery i zdolności poszczególnych ludzi?

– To też czysta fantazja, z naukowego punktu widzenia niewnosząca

niczego do naszej wiedzy o człowieku i o kosmosie. To tylko pożywka dla mącicieli, którzy na tym zarabiają. Niemal każde komercyjne czasopismo zamieszcza horoskopy, które można traktować wyłącznie jako towarzyską rozrywkę.

Ale przecież typowy Skorpion różni się od typowej Panny.

– W ogóle ludzie różnią się między sobą. Przecież nie da się znaleźć dwóch osób z identycznymi charakterami i losami osobistymi. Ale współcześni astrologowie działają na zamówienie, bo łatwo się przyjmuje proste odpowiedzi na skomplikowane pytania. Uczciwiej i pożyteczniej byłoby podawać rzetelne wytłumaczenia obserwowanych zjawisk, ale to jest trudniejsze i wymaga o wiele więcej pracy.

Jednak wpływu Księżyca na samopoczucie ludzi pan nie zaneguje? Wielu z nas pełnia dostarcza dodatkowych bodźców, utrudnia zasypianie itd.

– To już nie astrologia, ale przedmiot badania m.in. psychologów. Księżyc ma oczywiście wpływ na Ziemię i jej mieszkańców, np. podczas księżycowych nocy jest jaśniej, Księżyc powoduje przypływy i odpływy mórz i oceanów. Również życiodajne Słońce ma na nas ogromny wpływ, ogrzewa, poprawia nastrój. To jesteśmy w stanie mierzyć i interpretować. Nie chcę wyśmiewać pasjonatów różnych teorii pseudonaukowych

czy nawet konsumentów horoskopów. Ale zainteresowania i zapał tych ludzi można by lepiej wykorzystać, ukierunkować ich poszukiwania, bo to bardzo wartościowe jednostki. Zainteresowania trzeba rozwijać, pasję ukierunkowywać, ale nie należy prowadzić ludzi na manowce. Uważam więc, że jeśli prasa, radio, telewizja karmią ludzi pseudonaukowymi sensacjami, to nie pomagają, ale bałamucają. To błąd i niekiedy szkodliwy brak odpowiedzialności. Zamiast produkować na potęgę miłe horoskopy na nowy tydzień, lepiej podawać w przystępnej, popularnej i łatwej w odbiorze formie sprawdzone wiadomości ze świata nauki. To znacznie trudniejsze, ale może być jeszcze ciekawsze, rozszerza horyzonty i zachęca do poszerzania wiedzy.

Bronisław Tumitowicz

Sherry Brandy



Ludwik Stomma

Kler nasz na wszystko znajduje gładką, przekonującą i zamykającą oponentom paszczę odpowiedź. Jest ona przede wszystkim zgodna z tzw. zdrowym rozsądkiem i tylko dla małowiernych lub wtykających nosy w nie swoje sprawy możliwa do podważenia. Niestety, do nich poniekąd należą. Przynajmniej od czasu do czasu. W czarnych komentarzach do pedofilskich czy homoseksualnych (nie mam nic przeciw homoseksualistom, ale jak się ich potępia, to samemu nie należy do nich się zaliczać) skandali wstrząsających od dłuższego czasu Kościołem słyszę do znudzenia: „Księża są częścią społeczeństwa, nic więc dziwnego, że zdarzają się wśród nich takie same przypadki jak we wszelkich zbiorowiskach ludzkich”. Otóż, nie odwołując się nawet do danych wskazujących, że owe „przypadki” są wśród księży niewspółmiernie częstsze niż w większości „zbiorowisk”, na wstępie zaznaczyć należy, że księża katolicy są grupą specyficzną i od innych znacznie się różniącą.

Jan Paweł II nie interweniował nawet w przypadkach drastycznych – a dzisiaj już wiadomo, że jemu znanych – na pewno nie z sympatii dla winnych, ale w obronie swojszcie rozumianego dobrego imienia Kościoła. Zdobna w miłosierdzie i wstrzemięźliwość fasada okazywała się ważniejsza niż krzywda jakichś tam maluczkich. Dopiero wielkie kompromitacje w gronie kleru amerykańskiego, najszczodrzej finansującego Watykan, i w superkatolickiej dotąd Irlandii, zmusiły Stolicę Apostolską i lokalne episkopaty do nieśmiałej reakcji. Bo trudno przecież mówić o rzeczywistej próbie oczyszczenia się czy dotkliwych karach. W Polsce np. najbardziej już skompromitowani księża pedofile, w tym recydywiści, są przenoszani do innych parafii, niekiedy odbiera im się drobne przywileje. Jeżeli wyjątkowo sprawa jest tak znana, że trafia do sądu państwowego, ksiądz przestępca i tak może liczyć na wyrok minimalny, najczęściej w zawieszeniu, czyli nieegzekwowany. Nie wspominając o pomniku uwieczniającym zasługi,

DOBRY KSIĄDZ

Zacznijmy od celibatu. Mizoginia Kościoła to jego ideowy wybór. Celibat jednak uderza w samą naturę człowieczeństwa. Księża (tu są rzeczywiście tacy sami jak 99% mężczyzn) odczuwają popęd płciowy. Nie mogąc go legalnie zaspokoić, znajdują sobie niekiedy ujście w przelotnych i tajonych związkach, pozornie normalnych, które jednak – obciążone przekonaniem o grzechu – prowadzą do stresu i ciągłego poczucia niemoralności degradującego uczucie i seks. Częściej wybierają namiastki. To stąd niezdrowe (i nienawistne) zainteresowanie wszystkim, co związane z życiem seksualnym, prokreacją, sposobami zapłodnienia itd. Niemogący mieć tutaj obiektywnego czy realnego doświadczenia księża mianują się nagle ekspertami w tej dziedzinie. Nawet Bogurodzicy nie dają spokoju i ginekologią maryjną zajmują się całe fakultety uczelni wyznaniowych. Obsesje te są jednak szkodliwe, szczególnie gdy Kościół chce je narzucać laickiemu społeczeństwu i penalizować za niezgodność ze swoimi wskazówkami również ludzi myślących inaczej. Gorzej jeszcze, gdy namiastką stają się praktyki wynaturzone, z pedofilią na czele. Fakt, że mogą one stawać się tak częste i niekiedy wręcz systematyczne, wynika również ze specyfiki Kościoła. Jest on bowiem instytucją zamkniętą, niepodlegającą kontroli obywatelskiej, kulturową tajemnością i wewnętrznie solidarną w najzupełniej mafijnym tego słowa znaczeniu. Dzięki temu wszystko, co się dzieje w instytucjach eklezyjalnych (w szczególności pedagogicznych), na plebaniach, w kółkach ministranckich, może być zachowywane w tajemnicy, a w innych przypadkach „zamiatane pod dywan”.

który wystawia mu wdzięczne owieczki, pomimo „że coś tam od dawna mówiono”. Na marginesie protestów w sprawie takiej figury prezydent Gdańska (który wcześniej zgodził się na jej postawienie, acz musiał słyszeć już wtedy niejedno) zwrócił się o wyjaśnienia do abp. Głódzia. Doprawdy, świetny sobie wybrał adres, abp Głódź słynie przecież z poszanowania dla maluczkich, walki z wszelkim brakiem wstrzemięźliwości i skrucy za grzechy Kościoła.

Słyszę raz po raz od moich znajomych, w tym ludzi, których szanuję i wysoko cenię, że owszem, kler pojmovany jako grupa społeczna dosyć się w Polsce rozbestwił, ale oni znają takiego lub takich przyzwoitych, mądrych, a nawet ubogich księży – tutaj najczęściej padają nazwiska. Zapewne, niczego nie należy uogólniać, zdarzają się księża przyzwoici, mądrzy, a nawet, w co najtrudniej uwierzyć, ubodzy. Jak jednak zachowują się owi przyzwoici, lecz żyjący w twardo zhierarchizowanym świecie, wobec wyraźnego nakazu biskupa? Czy skalają własne gniazdo, informując kogo trzeba o zwyrodnieniu niektórych kolegów po fachu, a tym bardziej przełożonych? Czy zaangażują się w walkę z przekraczaniem przez Kościół jego kompetencji i jawną ryzykoidalną chciwością? Czy podziela się ze światem zewnętrznym wiedzą o tym, co pod dywanem? Jakoś dziwne w to wątpię. Mogę podziwiać ich wiedzę teologiczną, uznawać, że sami są na co dzień bardzo porządnymi ludźmi, ale z zaufaniem jeszcze bym poczekał.

Toteż życzę wszystkim Czytelnikom przemitych świąt przy choince, w zdrowiu, szczęściu, obfitości i bez księdza po kołędzie.

Daoud Hari

Telefon z drogi

Musiałem zachowywać ostrożność, chcąc wywieźć reporterów żywych z Darfuru, by świat dowiedział się czegoś więcej o tutejszej sytuacji

Z pewnością zdajecie sobie sprawę, jakie znaczenie może mieć dobry zasięg telefonu. Pędziliśmy przez rozpaloną afrykańską pustynię porośniętą w ulotnym land cruiserem, który tydzień wcześniej był o wiele bielszy. Nasz kierowca, pochodzący jak ja z jednego z darfurskich plemion, lawirował między ciernistymi zaroślami akacji, sprawnie operując biegami podczas jazdy po głębokim piasku kolejnych wąwozów, które nazywamy uedami, i przelatując nad wybojami – nie ma tu bowiem dróg godnych, by nazwać je drogami. Młody filmowiec z Wielkiej Brytanii Philip Cox, ulokowany na tylnym siedzeniu, dzielnie wytrzymywał tę jazdę, podczas której podskakiwaliśmy pod sufit, a wieziony przez nas ładunek łomotał, brzęczał i chlupotał. Philip, weteran obeznany z tymi pustyniami, był w dobrym humorze, choć od tygodnia rozbijał się po zakurzonych drogach i przeprowadził już wiele wyczerpujących emocjonalnie wywiadów. Ci, którzy przeżyli, opowiadali nam, jak ludzie z pochodnią, uzbrojeni w karabiny maszynowe,

do Darfuru. Nie wiem, skąd Philip wziął numer mojej komórki – może dostał w ambasadzie Stanów Zjednoczonych, może w Departamencie Stanu, w ambasadzie brytyjskiej, od wysokiego komisarza ONZ do spraw uchodźców, a może od którejś z organizacji pomocowych lub zbrojnego ugrupowania. Wyglądało na to, że już wszyscy znają mój telefon. Na pewno nie dostał go od władz sudańskich – podlegli im żołnierze zabiliby mnie, gdyby mnie przyłapali na przemyceniu reportera do Darfuru.

Te rozmowy przez telefon satelitarny, a czasami przez komórki, często kończyły się stwierdzeniem któregoś z dowódców: „Jeśli tu wjedziecie, czeka was śmierć, bo dzisiaj walczyliśmy z tymi i tymi”. Wtedy szukaliśmy innej drogi.

Zgromadziłem pokaźny zbiór numerów telefonicznych, więc wielu reporterów chciało właśnie ze mną jeździć do Darfuru.

otaczali nocą wsie, zabijali mężczyzn, kobiety i dzieci, palili mieszkańców żywcem w typowych dla Darfuru chatkach z trawy. Opowiadali o gwałceniu i okaleczaniu młodych dziewcząt, o egzekucjach młodych mężczyzn, których zabijano maczetami – czasem 80 z rzędu.

Człowiek nie może pozostać obojętny, ale nie ustaje w działaniu, bo nasza praca polega na przekazywaniu światu takich opowieści. I my nie ustawiliśmy.

Byłem tłumaczem i przewodnikiem Philipa. Miałem zadbać, żebyśmy wrócili z tej wyprawy cali i zdrowi. Kilka razy na godzinę dzwoniłem do dowódców grup rebelianckich albo Narodowej Armii Czadu i pytałem, czy możemy przejechać tą lub tamtą drogą, żeby uniknąć potyczki albo innych kłopotów. Zgromadziłem pokaźny zbiór numerów telefonicznych i dlatego wielu reporterów chciało właśnie ze mną jeździć

do Darfuru. Jeśli jedno z rebelianckich ugrupowań dowie się, że kontaktowałeś się z innym, może cię uznać za szpiega, choć pracujesz tylko dla dziennikarza i po to, żeby przekazać relację – rebeliantom nie dajesz nic w zamian. Musiałem zachowywać ostrożność, chcąc wywieźć moich reporterów żywych z Darfuru, by świat mógł się czegoś więcej dowiedzieć o tutejszej sytuacji. Od czasu ataku na moją wioskę żyłem już tylko dla tej sprawy. Czułem, że w środku jestem właściwie martwy, chciałem, żeby reszta mojego życia na coś się zdała. Może czasami ogarniało was takie uczucie. Większość chłopaków, z którymi dorastałem, zginęła albo walczyła w oddziałach ruchu oporu. Też postanowiłem zaryzykować życie, ale zamiast karabinu moją bronią była znajomość angielskiego.

Powinniśmy dotrzeć do celu przed zachodem słońca, w przeciwnym razie narażaliśmy się na atak ze strony armii

sudańskiej, prorządowych rebeliantów z Darfuru albo innych powstańców, którzy nie wiedzieli, kim jesteśmy, i mogli nas zabić z obawy o własne bezpieczeństwo. Nie spodobało się więc nam to, co się po chwili zdarzyło.

Niespodziewanie zajechało nam drogę sześć pojazdów, które wyłoniły się z labiryntu pustynnych zarośli. To też były land cruisery, ale ze ściętymi dachami, dzięki czemu bojownicy mogli z nich błyskawicznie wyskoczyć lub wskoczyć do środka, kiedy musieli np. uciekać po przegranej bitwie albo wymknąć się, zanim trafi ich pocisk z granatnika. Teraz z wozów wysypała się grupa pokrytych kurzem mężczyzn z kałasznikowami. Na rozkaz dowódcy wycelowali je w nas. Nie sposób zapomnieć szczeru tyłu sztuk odbezpieczonej naraz broni. Wysiedliśmy powoli z naszego samochodu z rękami podniesionymi do góry.

Mężczyźni byli bez wątpienia rebeliantami. Zamiast mundurów mieli na sobie brudne dżinsy, przez piersi przewiesili pasy z amunicją, ich luźno związane turbany, a właściwie chusty, pokrywała warstwa kurzu. Widać było, że walczyli od wielu dni. Przy tych oddziałach, które prawie codziennie staczają walki i zostawiają kolegów pogrzebanych w płytkich grobach, nie ma lekarzy. Wypaleni emocjonalnie bojownicy to żywe trupy, których przyszłość liczy się w godzinach. Dlatego bywają bezwzględni, jakby uważali, że każdy może razem z nimi przenieść się na tamten świat. Wielu widziało, jak mordowano ich rodziny i palono wsie. Możecie sobie wyobrazić, jak byście się czuli, gdyby wasza miejscowość została doszczętnie zniszczona, a cała rodzina zginęła z ręki wroga, którego teraz szukacie po całym kraju, żeby go zabić i móc spokojnie umrzeć.

Ci rebelianci to Sudański Ruch Wyzwoleńczy, Sudańska Armia Wyzwoleńcza, Ruch Sprawiedliwości i Równości oraz inne ugrupowania. Jeszcze



Daoud Hari (także Suleyman Abakar Moussa) urodził się w Sudanie. Po ucieczce z rodzinnej wsi, która została napadnięta i zniszczona, znalazł się w obozie dla uchodźców w Czadzie. Rozpoczął tam pracę jako tłumacz dla głównych światowych mediów, w tym „New York Timesa”, BBC i NBC oraz dla ONZ i organizacji pomocowych. Obecnie mieszka w Stanach Zjednoczonych.

inne grupy są w Czadzie. Przekraczają granice, kiedy i gdzie im się podoba. Często jest tajemniczą, skąd biorą karabiny i pieniądze, ale w Darfurze pełno jest broni automatycznej, odkąd Libia napadła na Czad, wykorzystując Darfur jako zaplecze. Trzeba też wiedzieć, że Sudan z jednej strony ma za sojuszników radykalne ugrupowania islamskie, z drugiej zaś większość swojej ropy naftowej dostarcza Chinom. Niektóre zachodnie grupy interesów oraz kraje sąsiednie wspomagają podobno organizacje rebeliantów. Jakże to smutne, że przez rozgrywanie tych partii na politycznej szachownicy cierpią zwykli ludzie.

Niemal połowa Afryki to pastwiska należące do hodowców bydła zamieszkujących wsie. Pod większością tych terenów znajdują się ogromne bogactwa naturalne, a na powierzchni mieszkają bardzo ubodzy ludzie. To 300 mln Afrykanów, którzy zarabiają mniej niż dolara dziennie i często są usuwani ze swojej ziemi lub zabijani dla ropy naftowej, wody, rud metali i diamentów. Dlatego tak łatwo powstają ugrupowania rebelianckie. Mężczyzn, którzy nas zatrzymali, nikt zapewne nie musiał namawiać, by przyłączyli się do takiej grupy.

Ich młody dowódca, po którym znać było zmęczenie, podszedł do mnie i powiedział w języku zaghawa:

– Daoudzie Ibarahaemie Hari, wszystko o tobie wiemy. Jesteś szpiegiem. Wiem, że pochodzisz z Zaghawów, tak jak my, że nie jesteś Arabem, ale niestety wykonujemy rozkazy i musimy cię zabić.

To, że wywodzę się z ludu Zaghawa, poznał bez trudu po małych bliźnach w kształcie znaków zapytania, które babka wycięła mi na skroniach, kiedy byłem niemowlęciem. Powiedziałem, że owszem, jestem Zaghawa, ale dla nikogo nie szpieguję.

Ci, którzy przeżyli, opowiadali, jak ludzie z pochodniami otaczali nocą wsie, zabijali mężczyzn, kobiety i dzieci, palili mieszkańców żywcem.

Dowódca z westchnieniem przyłożył lufę swojego M-14 do jednej z bliźn na mojej głowie. Kazał mi stać spokojnie, a Philipowi powiedział, żeby się odsunął. Potem w łamanej angielszczyźnie dodał, żeby się nie martwił i że jak mnie zabiją, to odeślą go do Czadu.

– No dobrze, ale poczekaj chwilę – odparł Philip, unosząc rękę do góry, żeby powstrzymać na moment bieg wydarzeń. – O co chodzi? – zwrócił się do mnie.

Daoud Hari i dziennikarz Philip Cox w obozie dla uchodźców Am Nabak na granicy Czadu z Sudanem. Grudzień 2016 r.

– Myślę, że jestem szpiegiem, zaraz wystrzelą, rozerwie mi głowę, więc się odsun.

– Kim są?

Wymieniłem nazwę organizacji, skinąwszy ostrożnie głową w stronę samochodu, na którym był wymalowany jej akronim.

Philip spojrzął na samochód i ujął się pod boki. Wyglądał jak typowy Brytyjczyk niezadowolony z niepotrzebnego kłopotu. Na głowie miał starannie zawiązany turban, ogorzała twarz była pobrużdżona, bo przeżył już na tych pustyniach wiele przygód. Nie zamierzał stać obojętnie i stracić świętego tłumacza.

– Poczekaj chwilę – powtórzył, zwracając się do dowódcy rebeliantów. – Nie zabijajcie tego człowieka. On nie jest szpiegiem. To mój tłumacz. Nazywa się Suleyman Abakar Moussa, pochodzi z Czadu. Ma dokumenty.

Philip myślał, że tak się naprawdę nazywam. Posługiwałem się tym imieniem, żeby uniknąć deportacji z Czadu do Sudanu, na pewną śmierć. Rozesłano tam za mną listy gończe. Nie chciałem też być zmuszony do pozostania w Czadzie w obozie dla uchodźców, gdzie na niewiele bym się przydał.

– Zatrudniłem go, żeby mnie tu przywiózł. Nie jest szpiegiem. Kręcimy film dla telewizji brytyjskiej. Rozumiecie? Koniecznie powinniście to zrozumieć.

Poprosił, żebym dla pewności przetłumaczył jego słowa, co w mojej sytuacji zrobiłem z ochotą.

Zachowanie Philipa wywarło na dowódcy większe wrażenie niż to, co powiedział. Patrzyłem, jak palec rebelianta gładzi cyngiel. Lufa przytknięta do mojej skroni była gorąca. Czy niedawno strzelał, czy też słuchał ją nagrzał? Ale jeśli mają to być moje ostatnie myśli, lepiej skupić się na czymś innym. Pomyślałem więc o rodzinie, o tym, jak bardzo ją kocham, i że pewnie wkrótce zobaczę się z braćmi.

► – Zaraz do kogoś zadzwonię – powiedział Philip, wyciągając powoli telefon satelitarny z kieszeni spodni koloru khaki. – Nie zastrzelisz tego człowieka, za chwilę porozmawia z tobą twój dowódca, rozumiesz?

Odnalazł w notesie numer wysokiego dowódcy tego ugrupowania. W zeszłym roku robił z nim wywiad.

– Wasz szef – powiedział do uzbrojonych ludzi otaczających nas jak

czas tej rozmowy dziennikarz trzymał palec w górze, prosząc tym gestem i spojrzeniem o jeszcze jedną chwilę, jeszcze chwilę. Roześmiał się, żeby pokazać, że jest starym przyjacielem tego po drugiej stronie linii.

– Są starymi przyjaciółmi – przetłumaczyłem.

Następnie Philip podał telefon dowódcy, który jeszcze mocniej przycisnął mi lufę do głowy.

Jeśli ugrupowanie rebelianckie dowie się, że kontaktowałeś się z innym, może cię uznać za szpiega.

pluton egzekucyjny. Czekał na połączenie. – Ktoś z samej góry. Dzwonię teraz na jego bezpośredni numer. Zaraz odbierze.

Bóg jest litościwy. Telefon satelitarny miał mocny sygnał. Numer okazał się aktualny. Dowódca, znajdujący się gdzieś daleko, odebrał telefon. Pamiętał Philipa, dobrze go wspominał. Cud za cudem.

Philip szybko rozmawiał po angielsku, a ja spokojnie tłumaczyłem jego słowa mężczyźnie z karabinem. Pod-

– Porozmawiaj z nim. Proszę. On mówi, że to rozkaz.

Dowódca zawahał się, jakby przeżuwał podstęp, ale w końcu wziął telefon. Długo rozmawiali. Patrzyłem, jak palec na cynglu podnosi się i opada niczym kobra, w końcu się z niego ześlizgnął.

Kazali nam natychmiast opuścić tę okolicę.

Jak dobrze jest unikać śmierci. Przez kilka godzin bez przerwy śmiesz się jak wariat, do rozpuku. Zdu-

miewająca rzecz. Nie zastrzelili mnie – *humdallah*. Bracia, jeszcze trochę na mnie poczekacie.

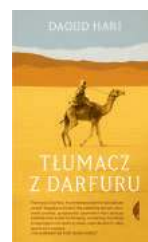
Nasz kierowca przez cały czas tylko wybałuszał oczy. Kierowcy często źle wychodzą na takich sytuacjach. Przez całą powrotną drogę do miejscowości Tine – nazywanej też Tiną – na granicy Czadu z Sudanem nie opuszczał nas radosny nastrój.

– To niesamowite, co zrobiłeś – powiedziałem do Philipa. Odezwał się dopiero wtedy, gdy minęliśmy kilka drzew.

– Tak, niesamowite. Od kilku tygodni próbowałem się z nim skontaktować. Mieliśmy szczęście.

Kierowca, który prawie nie znał angielskiego, zapytał mnie, co mówi Philip. Wyjaśniłem mu, że powiedział: „Bóg jest łaskawy”. Jestem przekonany, że to właśnie miał na myśli.

Rozdział z książki Daouda Hariego *Tłumacz z Darfuru*, przekład Hanna Jankowska, Wydawnictwo Czarne, Wołowiec 2018



SENSACJA WARSZAWSKIEGO FESTIWALU FILMOWEGO 2017

FILM JOHN CAMERONA MITCHELLA,
LAUREATA TEDDY AWARU 51. MIĘDZYNARODOWEGO FESTIWALU FILMOWEGO
W BERLINIE ZA „HEDWIG AND THE ANGRY INCH”,
KTÓRY W SERIALU „VINYL” Wcielił w postać ANDY WARHOLA.

ELLE FANNING **ALEX SHARP** **NICOLE KIDMAN**

JAK ROZMAWIAĆ Z DZIEWCZYNAMI NA PRYWATKACH?

OFFICIAL SELECTION
FESTIVAL DE CANNES

NA PODSTAWIE OPWIŚSIANIA NEILA GAIMANA
REŻYSERIA JOHN CAMERON MITCHELL

MUZYKA, M.IN.:
THE DAMNED, DUB SPECIALIST, THE VELVET UNDERGROUND

JUŻ NA DVD

Wp **FILMWEB** **DEMOTYWATORY.PL** **Przełom** **KINO** **empik**

Ślepa kieszka Europy

Edward Mikołajczyk

Ilekoć szukałem roboty, sprawdzałem najpierw, czy nie będę musiał się wstydzić za nowego szefa. Chodziło o to, żeby był odważny i mądrzejszy ode mnie albo przynajmniej nie mówił bez przerwy, że ciągle się uczy, a postępów nie było widać. Żeby się upewnić, trzeba było pytać naokoło, bo nie było jeszcze Twittera, najlepszego dzisiaj lusterka zawartości mózgu osoby publicznej. Nie było też dostępu do ruchadeł leśnych, a prezydenci USA nazywali się poważnie.

Wpadłem właściwie tylko raz. Mój ówczesny nowy przełożony zwykł witać każdy nowy projekt z następującą troską: a blacha na dupę?! Jak dobrze wiadomo, w dziennikarstwie można zarobić kopa za myślenie i za niedostatek myślenia o skutkach wystąpienia publicznego. Dlatego tak ważna jest blacha na właściwym miejscu

Cała grupa trzymająca władzę chciałaby wiedzieć, czy ma dokąd uciekać.

u wszystkich szefów, którym odwagi wystarcza ledwie na nieustanne myślenie: „żeby mnie tylko prezes nie szczył”.

Weźmy TVPiS, tam tę blachę chirurgicznie przesunęto głębiej, ale bez ukrywania, gdzie ona się znajduje. Fanatycznie żartobliwy program „W tyle wizji” jest anatomicznie najdorzalszym przykładem użycia tej taktyki w pozorowaniu dziennikarstwa. W wojsku jasno się mówi o zabezpieczeniu tyłów i wycofaniu na z góry upatrzone pozycje. Na każdym froncie najważniejsza jest kwestia: dokąd wiać w razie czego.

Łatwo zauważyć, że jest już u nas grupa osób żywotnie zainteresowanych odpowiedzią na to strategiczne pytanie. Cała grupa trzymająca władzę chciałaby wiedzieć, czy ma dokąd uciekać.

Jeżeli wypali manewr z Brukselą i aktywiści PiS, którym na państwowych posadach w Warszawie nie udało się wypisać Polski z Unii Europejskiej, dostaną po wyborach w maju 2019 r. szansę robienia tego samego za lepsze pieniądze w Brukseli, będzie to oznaczać, że ucieczka się udała. Kto nie liczy na przepustkę na zachód, powinien niezwłocznie rozważyć opcję węgierską, czyli drogę na południe. Najpierw jest trochę pod górkę, ale zaraz potem wyłania się Panonia i jest bardzo równo.

Ażyl na Węgrzech otrzymał były premier Macedonii Nikola Gruevski. Opuścił rodaków nie

dlatego, że się domagali od niego 500+. Chcieli tylko, żeby posiedział dwa lata w więzieniu i oddał 600 tys. euro za kułoodpornego mercedesa kupionego za publiczne pieniądze.

Węgry odmówiły ekstradycji do USA dwóch handlarzy bronią: Włodzimierza Lubiszyna i jego syna, też Włodzimierza, którzy od prawie 20 lat mieszkali w Budapeszcie i żyli z handlu, nielegalnego w oczach Amerykanów. Odesłano ich do Rosji.

Węgry są dobrą destynacją, że tak nowocześnie się wyrażę, dla wszystkich stron i jednocześnie wyjściem na wszystkie strony. Były premier Chorwacji Zoran Milanović nazwał je po dobrosąsiedzku ślepa kieszka Europy, ale nie dlatego przestał być premierem.

Viktor Orbán kieruje węgierskim rządem już po raz czwarty. Mimo że jest tylko premierem, daje radę jako gospodarz kraju. Jego przyjaciółmi są wszyscy ludzie władzy na Węgrzech oraz wszyscy prezydenci i premierzy na świecie, łącznie z AKK, panią Annegret Kramp-Karrenbauer, która właśnie została szefową partii i jeszcze nie jest kanclerką Niemiec.

Przyjaźni się z władzami Chorwacji, choć one ścigają między-

narodowym listem gończym jego przyjaciela (innych nie ma na posadach) Zsolta Hernádiego, szefa koncernu naftowego MOL, który za łapówkę (10 mln euro) dla byłego premiera Chorwacji Ivo Sanadera (siedzi) przejął pakiet kontrolny chorwackiego koncernu INA. Ostatnio w Zagrzebiu (4 grudnia) powitał Orbána napis na transparencie: *Smrđi na fašizam*, co po chorwacku znaczy to samo, co po polsku.

W minionym tygodniu Hernádi celebrował wręczenie nagrody Petőfi (pieniądze MOL) byłemu premierowi i byłemu prezydentowi Czech Václavowi Klausowi. W zeszłym roku wyróżniono tą nagrodą kard. Stanisława Dziwisza. Kiedy dostała ją Anne Applebaum (2010), Węgrzy mówili, że Orbánowi chodzi tylko o to, aby zaślania tym nazwiskiem drakońską ustawę przeciw wolności słowa na Węgrzech. Nazwiskiem Klause nie da się niczego zaślania, choć właśnie wszystko: radio, prasa i telewizja znalazły się w rękach kolejnego przyjaciela Orbána.

Węgry to naprawdę bezpieczny adres. ■





Kup PRZEGLĄD w wersji elektronicznej jako e-wydanie

Bądź pierwszy i czytaj już w sobotę rano na komputerze, tablecie i telefonie komórkowym. Taniej, wygodniej i bez wychodzenia z domu.

E-WYDANIE 3⁵⁰ zł

TANIEJ NIE KUPISZ!

sklep.tygodnikprzeglad.pl



Wiesław Kot

Co nas łączy jako naród? – pytają rokrocznie wywiadowanie. I niezmiennie uzyskują odpowiedź: rodzinność i sposób, w jaki obchodzimy Boże Narodzenie. Ano właśnie – w jaki?

Przed wszystkim na bogato. Rodzina wyda na tę imprezę 1-1,2 tys. zł. Mniej więcej 15% świętujących zadłuży się w bankach lub zaciągnie chwilówki. Połowa kosztów to prezenty, reszta (ok. 500 zł) pójdzie na jedzenie, a średnio 110 zł pochłonią spotkania towarzyskie, więc w praktyce alkohol. Przeciętny Polak spodziewa się na święta trzech prezentów. Z tym że co trzeci prezent pochodzi z drogerii. Resztę pieniędzy wydajemy na gify dla dzieciaków oraz na badziewie dekoracyjne, najczęściej *made in China*.

ŚWIĄTECZNE STRINGI

W kwestii prezentów: nie można wykluczyć, że ktoś zechce w Boże Narodzenie sprezentować książkę. Nie jest to pomysł od czapy – wszak 10 mln rodaków nie ma w domu żadnej. Tu oferta jest najszerza z możliwych. Wersja uduchowiona: „Boże Narodzenie z s. Anastazją i s. Salomeą”, wersja szkolna: „Boże Narodzenie. Karty pracy dla uczniów ze specjalnymi potrzebami edukacyjnymi”, wersja bajkowa: „Boże Narodzenie krowy Zosi” czy kryminalna: „Morderstwo w Boże Narodzenie. Herkules Poirot”.

Rozpatrzmy jednak ofertę mniej oczywistą. Na przykład sklepów z gadżetami erotycznymi. Mikołaj doznałby oczepienia. Z odzieży typu *Christmas erotic* w ofercie figurują kusy szlafroczek model *Santacutie*, peniuar do gorącej mikołajkowej zabawy, przezroczysta siateczka z motywem aniołkowo-gwiazdkowym oraz figi „o kroju Comfy Cute: pełen komfort noszenia i świetnie wyglądające pośladki”. Na tę jedyną noc można też włożyć komplet Snow Queen (m.in. aksamitna koszulka i długie, czerwone rękawiczki). Ewentualnie któryś z zestawów: Asystentka Mikołaja, Grzeczny Aniołek, Little Miss Christmas. Dla panów przewidziano „świąteczne stringi (z przodu Mikołaj z długą brodą)”. Po nałożeniu stroju organizacyjnego pozostaje już tylko użyć np. „zestawu miłosnego X-mas”,

PLUSZOWE KAJDANKI POD CHOINKĘ

Boże Narodzenie – nowa świecka tradycja



który składa się m.in. z pluszowych kajdanek i piórka do łaskotania.

TURKUSOWE ZMYŚŁY

Zanim zaczniemy świętować w kręgu rodzinnym, czekają nas celebracje w zakładzie pracy. Firma na własną wigilię zamawia catering. W wersji *lux* na pracownika przypada np. roladka z pstrągą, zupa grzybowa, krokiety, ryba w sosie grzybowym, napoje, kawa, herbata i dwie lampki wina (100 zł). Coraz częściej zamiast karpia w ofercie cateringu pojawiają się *confit* z kaczki, płatki piersi gęsiej lub polędwiczki wieprzowe. Bywa, że firma chce błysnąć, więc zdarza się menu w stylu karaibskim, czyli sałatki, owoce i potrawy z ananase. Można sobie zażyczyć także kuchni północnoafrykańskiej, a wtedy na stół wjeżdżają potrawy arabskie (mnóstwo cynamonu!) oraz kuchnia francuska, bo to tereny byłych kolonii.

Wigilia firmowa nie ma prawa obyć się bez okolicznościowych paczek dla pracowników. Wersji mnóstwo. Można się zdecydować na drewnianą skrzyneczkę z nadrukiem „Smak Pol-

skiej Tradycji”, w której czekają m.in. opieńki Kazimierza marynowane, ząbki czosnku w ziołowym polu, staropolska ćwikła z chrzanem, a także – jakżeby inaczej – Pan Tadeusz polska wódka czysta 500 ml. Analogiczny zestaw tradycyjny, ale już z wyższej półki, pomieszczony w koszyku wiklinowym, łączy harmonijnie cynamonowe ciasteczka babuni, czekoladę mleczną z czarną porzeczką i Johnnie Walker Red Label 500 ml. Na wyżynach wykwintu pozostaje zestaw świąteczny w wiklinowym kufrze. Na jego dnie spoczywają frykasy kawowo-czekoladowo-alkoholowe. W wersji dla dam noszą nazwy: Wigilijna Opowieść, Niebiański Puch, Turkusowe Zmysły, Kokosowy Raj, Szampańska Przyjemność. W wersji dla panów dostępne jest Pokerowe Rozdanie ze znakomitej klasy whisky – „zestaw, który polubi każdy mężczyzna”. Na absolutnym topie sytuuje się Świąteczny Diament: „Niesamowite alkohole, którym towarzyszy bogactwo gustownych pralin. Wszystko skomponowane tak, by pobudzić najbardziej skrywane zmysły”. Boimy się nawet zgadywać jakie!

W ten „magiczny czas” upominają się o nas także imprezy na rynkach

miast. W ramach świątecznych jarmarków odbywają się choćby pokazy strzyżenia brody św. Mikołaja w wykonaniu mistrzów grzebienia, półmaratony św. Mikołajów i demonstracje kulinarne pod hasłem „Czy możemy przygotować wigilię, nie krzywdząc ryb?”. Dla fanów ruchu drogowego na specjalnych automatach dostępne są symulacje stłuczek, zderzeń, dachowania oraz jazdy w narko- i alkoholach (promile można regulować!). Słowem – jazda bez trzymanki!

OPŁATEK Z ATESTEM

No i czas stroić choinkę. Wśród bombek dominuje czerwień i złoto, więc kolory symbolizujące dostojność i dostatek. Aniołków mniej (zamiast nich fruwać ważki), za to pojawiają się smok wawelski z kuflem piwa, Myszką Miki czy słodkie obrazki natury ogólnej, np. dziewczynka ze skrzypcami. Ale to na tradycyjnej choince, bo np. firmy coraz częściej budują drzewka z materiałów, na których pracują przez okrągły rok. Bibliotekarze z książek, mechanicy samochodowi z zużytych opon. Obok każdego stanowiska pracy dobrze wypadnie ekologiczna choinka z plastikowych butelek po napojach. W natarciu jest styl *minimal*, mamy więc choinki z drucianych wieszaków, na jakich odbieramy ubrania z pralni, z drabinki, z foremek do ciasta. Efekt *wow!* gwarantowany. Na choinkach i elewacjach domów świąteczka ledowe zamiast tradycyjnych (90% mniej prądu), z zasady ułożone w gwiazdki, aniołki i renifery.

Powoli można zasiadać do wieczerzy. Obowiązuje bożonarodzeniowy *dress code* – wkładamy rzeczy odświętne, choć nie wizytowe – te rezerwujemy raczej na sylwestra – za to z materiałów, które są wizytówką dostatku: welur, moher, żakard czy koronka. Z tym że najpierw opłatek. Koniecznie firmowy, ponieważ rynek zasypany jest tanimi podróbkami. Łatwo o nie, ponieważ – jak ostrzega koncesjonowany producent Ars Christiana – „polski rynek opłatkowy jest spory, choć rozproszony”. A tylko sprawdzone opłatki firmowe mają atest sanepidu!

Wieczera wigilijna zasadniczo była suta i tłusta, bo za tymi rytualnymi 12 potrawami ciągnie się historia. Dla chłopca pańszczyźnianego – a nie-



Przeciętny Polak spodziewa się na święta trzech prezentów.

mał wszyscy mamy takie korzenie – była nagrodą za adwentowy post i grudniowy omłot zboża cepami na klepisku w stodole. W PRL natomiast premią za godziny spędzone w ogonkach. Teraz nastała pora na kompromis tradycji i szpanu.

W Wigilię na stół powinien wjechać karp, chociaż niekoniecznie, zwłaszcza gdy kupiony w supermarkecie i zajeżdża mułem. Więc może: filet z karpia podany na kremie z topinamburu z racuchami z jabłkiem i jarmużem, piklami z buraków oraz sosem własnym z makiem? Ewentualnie karp z galaretką z pigwy i żubrówki, wędzonej słoniny, espumy z cydru i jałowca. A przecież karp nie jest obowiązkowy. Coraz częściej wypiera go łosoś w muszlach makaronowych, ekler ze śledziem marynowanym w rokitniku i jałowcu, tatar z sumą wiślanego z marynowaną kurką, do tego chips z siemienia lnianego czy sandacz w białym winie. Wygląda na to, że ziemniaki też są już *passé*. Śmiało zastępuje je chrust ziemniaczany na chutneyu (to rodzaj wytrawnej konfitury) z cebuli, czasem grata ziemniaczana (*gratin dauphinois* – rodzaj zapiekanki ziemniaczanej) z borowikami. Z tym że borowiki można bez szkody zastąpić grzybkami chińskimi *shitake*. Kapusta, owszem, lecz nie prosto z pola. Niech to będzie kiszonka z borowikami, łuskwiakami i jarmużem. Dopuszczalna jest też

kapustka na maśle i opalana żywym ogniem, podana z blanszowaną kapustą włoską oraz smażoną kalarepą. Na etapie deseru można jeszcze silniej zdystansować się od tradycji, smakując cykatę z pomarańczy lub sorbet z fermentowanej tarniny. A może ktoś życzy sobie „pączki z nadzieniem z karpia i róży”?

MOC JEST Z NAMI!

Pojedliśmy, pogadaliśmy, pora kolędować. Boże Narodzenie to święto ludowe, najwięcej dzieje się więc w kolędach disco polo. Zenek Martyniuk jedzie pocztówką: „Biały puch na mrozie tańczy / czuje zapach pomarańczy”. Refren tylko utwierdza tę sielankę: „Przy choince siedzą dzieci / a za oknem gwiazdka świeci”. Niekiedy nastrój bywa ważniejszy niż poprawna polszczyzna. Zespół Dandi Dance: „Tata szybko otwiera drzwi / Mamie ze szczęście spływają łzy / I znów napętni się śmiechem się / Zapachem, kolędą miłością twą”. Tak można bez końca. Zespół Eratox & Raz Dwa: „Już pierwsza gwiazdka spadła z nieba / Kolędy moc przy ▶

Nie można wykluczyć, że ktoś zechce sprezentować książkę. Nie jest to pomysł od czapy – 10 mln rodaków nie ma w domu żadnej.



► stole rozgrzewa / Mikołaj w saniach pędzi z prezentami / W tą świąteczną noc zaśpiewaj z nami”. Zresztą nikt tak jak muzycy z kręgu disco polo nie potrafi łączyć *sacrum* z *profanum*. Zespół DOXXX: „Puszysty pada śnieg, karp zastygł w galarecie / stary rok kończy bieg, nowy już na świecie. / Trzech Króli się szykuje, czeka ich daleka droga, / Gwiazda ją im wskazuje, a tu pachną pierogi”.

Teraz można obejrzeć coś w telewizorze. Polsat pokaże „Kevina”. Ceny reklam w przerwach projekcji są ponoć astronomiczne. Potem pewnie dadzą powtórki. A jest do czego wracać, choć nie bardzo jest przy czym świętować. Film doby PRL już tak miał, że sytuacje skrajnie dotujące rozgrywały właśnie w noc wigilijną. Przykładów na pęczki. Oto Krzysztof Chamiec, lekarz umordowany dyżurami, próbuje rozproszyć swoją samotność właśnie w Wigilię („Przedświąteczny wieczór”, 1966). Wymarzonej kobiety nie znajdzie, a ostatecznie pogrzebi go depresyjny jazz Krzysztofa Komedy, który biegnie w podkładzie. Film „Wesołych świąt” (1977) wbrew tytułowi też przebiega ponuro. Oto Krzysztof Majchrzak i Janusz Kłosiński, dwaj kumple z Bieszczad, wiozą do stolicy partię choinek. Przy okazji odwiedzają starych znajomych. Ale dawna kochanka Majchrzaka wyszła tymczasem za kulturalnego, dobrze sytuowanego pana i byłego amanta już nie poznaje. To zupełnie jak dawny kumpel Kłosińskiego. Ten kiedyś, podczas powstania, uratował mu życie, wynosząc na własnych plecach spod ostrzału. Ale teraz dawny kumpel jest wysoko postawionym dygnitarzem i akurat bardzo mu się śpieszy.

W Wigilię umieścił także Krzysztof Kieślowski trzecią część „Dekalogu” („Pamiętaj, abyś dzień święty święcił”). W roli załganego świętoszka, co to Panu Bogu świeczkę, a resztę – wiadomo, pokazał się Daniel Olbrychski (wersja hamletyczna). Ten sam Kieślowski domagał się zresztą podczas kolaudacji „Misia” Stanisława Barei, aby z filmu wyciąć ostatnią scenę, kiedy Ewa Bem w wigilijny wieczór śpiewa kolędę. Uważał, że kolęda nie licuje z całym tym wcześniejszym pajacowaniem. A przecież Ewa Bem tak pięknie się

wywiązała. Może dlatego, że scenę kręcono w trzaskający mróz i artystka wspomogła się słusznym wolumenem wódeczki?

Ta wigilijna deprecha przeciągała się łatwo do naszych czasów. Janusz Gajos jako alkoholik w ostatnim stadium („Żółty szalik”, 2000) musiał ostatecznie się upodlić właśnie w Wigilię: „Tak to się właśnie robi: pozwalamy minimalnym dozom ulubionej substancji spływać wolniutko w kierunku przełyku. Chłonne ścianki z rozkoszą wchłaniają każdą cząstkę mocy. Moc jest z nami!”. Kiedy jako



Zanim zaczniemy świętować w kręgu rodzinnym, czekają nas celebracje w zakładzie pracy.

dyrektor potężnej korporacji styśszy od własnej kochanki: „Jesteś cudowny, kiedy nie pijesz”, odpowiada w jedyny możliwy sposób: „Ja nie znoszę być cudowny. Chcę być tak samo sytym, zadowolonym z siebie kretyńcem jako i wy, bracia i siostry moje”.

O ile jednak Wigilie PRL-owskie toną w odmętach ponuractwa, o tyle *Christmas movies* lat ostatnich są otchłanią kiczu i zidiocenia. W arcypopularnym przekładańcu „Listy do M.” (2011) nikt nie panuje nad własnym życiem, które za każdym razem biegnie w przepaść. Psychologa praco- holika zdradza żona, a on udaje, że nie widzi. Szef potężnej firmy za nic

nie może znaleźć dziewczyny, którą bez obciachu można przedstawić rodzicom. I podobne. Na szczęście nadchodzi „ta magiczna noc” i los – sam z siebie – uśmiecha się do tych zidiociałych nieudaczników. Ale takie rzeczy to tylko w polskiej komedii romantycznej...

ZDROWIA I JESZCZE RAZ PIENIĘDZY!

Teraz można zrobić przegląd świątecznych życzeń, które nadesłali krewni, przyjaciele, znajomi, instytucje. Większość jest skopiowana z internetu, a tam podział na rodzinne, biznesowe i śmieszne. Biznesowe biegną tak: „Tych, którzy mi życzyli wszystkiego najlepszego w 2018 r., uprzejmie informuję, że NIC TO NIE DAŁO! Dlatego na 2019 rok przysyłam mi, proszę, wyłącznie pieniądze, alkohol i talony na benzynę”.

Życzenia w wersji „śmieszne” rozmaicie rozkładają akcenty. Przodem biegną serdeczności ludowe, pszenno-buraczane: „Żeby święta były syte, / żeby różgą było bite. / By choinka w twojej chacie / nie śmierdziała tak jak gacie. / Tylko była kolorowa, / a na dole stał se browar. / Na pasterkę ruszaj śmiało, / ksiądz na tacy ma za mało. / Daj złotówkę albo dwie / niech i on ucieszy się”. Naturalnie nie powinno zabraknąć wsadu erotycznego: „Hej, kochanie, jadaj sanie, / a na saniach Twe kochanie / i Mikołaj, co raz w roku wypucuje Ciebie w kroku”. Światowy sznyt eksponują życzenia w wersji disco polo: „Choinki zielonej jak studolówka, rozświetlonej jak Las Vegas, w sylwestra imprezy o temperaturze wulkanu i długości muru chińskiego”. Wariant dla światowców: „Kasy Kulczyka, fury Rydzika, mocy Pudziana, chaty Beckhama”. Wreszcie życzenia na modłę staropolską, typu „Kochajmy się!”, „Dzbaną miodu, litra wódki, by odrzucić wszelkie smutki / i sto latek na dodatek, aby smaczny był opłatek”. Zdarzają się niekiedy życzenia uniwersalne: „Bo dzisiaj jest piękny dzień, / wszystko się rodzi na nowo, / więc w blasku tajemnych świąt / żyj zdrowo i kolorowo”.

Ale – zaraz, zaraz – albo się żyje zdrowo, albo kolorowo. Ja wybieram kolor.

Wiesław Kot

Dobrzy ludzie „dobrej zmiany”

Pisowcy głośno pomstują na Unię Europejską i instytucje międzynarodowe, ale skwapliwie korzystają z ich możliwości. Nie, nie o to chodzi, żeby ugrać coś dla Polski, ale żeby mieć coś dla siebie.

Jednym ze sposobów na to jest umieszczanie znajomych, a także swoich dzieci na dobrze płatnych stanowiskach w instytucjach międzynarodowych. A warunek, że te stanowiska wymagają szczególnych kwalifikacji? Pisowcy są przekonani, że oni kwalifikacje mają.

W praktyce wygląda to żałośnie.

Polska – przypomniano o tym zupełnie niedawno, gdy wybuchła awantura związana z zatrudnieniem w Banku Światowym Kacpra Kamińskiego (o tym za chwilę) – ma udziały nie tylko w BŚ, ale również w Europejskim Banku Odbudowy i Rozwoju oraz w Międzynarodowym Funduszu Walutowym. I w związku z tym ma pulę stanowisk, które może obsadzać. To są ważne, wymagające szczególnych kwalifikacji stanowiska, dzięki którym możemy wspomagać politykę państwa.

Wysyłano więc tam rzeczywistych fachowców. Na przykład do MFW delegowani byli tacy ludzie jak były minister finansów Andrzej Raczko, po nim pracowało tam kilku wiceministrów finansów. A kogo teraz wysłano?

Wysłano Piotra Trąbińskiego. To nie jest ekonomista, tylko prawnik. Pracował przez kilka lat w BZ WBK, kiedy bankiem kierował Mateusz Morawiecki. Był też harcerzem. Po katastrofie smoleńskiej wymieniano go wśród osób z ZHR, które ustawiły krzyż przed Pałacem Prezydenckim.

Podobnie rzecz się ma z Europejskim Bankiem Odbudowy i Rozwoju. Do EBOiR Polska wysyłała byłych premierów: Jana Krzysztofa Bieleckiego czy Kazimierza Marcinkiewicza bądź ludzi pokroju prof. Zbigniewa Hockuby, członka zarządu NBP. A teraz Adam Glapiński delegował

do tej instytucji Wiolettę Barwicką, wcześniej szefową departamentu zagranicznego w NBP. Jej kariera w banku centralnym rozpoczęła się za czasów Sławomira Skrzypka. Była szefową jego gabinetu, wcześniej pracowała z nim w warszawskim ratuszu.

A Kacper Kamiński, syn ministra koordynatora ds. służb specjalnych? Wszyscy wiemy, że pracuje jako asystent w Banku Światowym w Waszyngtonie, tam zarabia 150 tys. dol. rocznie (nieopodatkowanych). I że na to stanowisko rekomendację (i *de facto* skierowanie) otrzymał z NBP. Kamiński, oprócz tego, że syn ministra, to był radny PiS w powiecie otwockim. Od roku 2015 był już w Brukseli jako doradca frakcji Europejskich Konserwatystów i Reformatorów, do której należą m.in. europosłowie PiS. I też mają tam swoją pulę stanowisk.

Mają i korzystają.

Zastępcą sekretarza generalnego Europejskich Konserwatystów i Reformatorów jest Gabriel Beszlej. To dyrektor gabinetu premiera Jerzego Buzka, jeszcze z czasów AWS. Potem był ambasadorem w Meksyku. Jego asystentką jest Magdalena Czaputowicz, córka szefa MSZ.

W dziale prasowym frakcji EKR pracuje też córka wiceszefa PiS Adama Lipińskiego Marta. A jej przełożoną jest Katarzyna Ochman-Kamińska, córka znanej działaczki Solidarności Marii Ochman, przyjaciółki posłanki PiS Jolanty Szczypińskiej. Jej mąż Rafał Kamiński też pracuje w Brukseli, jest asystentem europosła PiS Kosmy Złotowskiego.

W Parlamencie Europejskim spotkamy też Marcina Skrzypka, syna sekretarki Jarosława Kaczyńskiego, czyli słynnej „pani Basi”. A także Mateusza Kochanowskiego, syna byłego rzecznika praw obywatelskich.

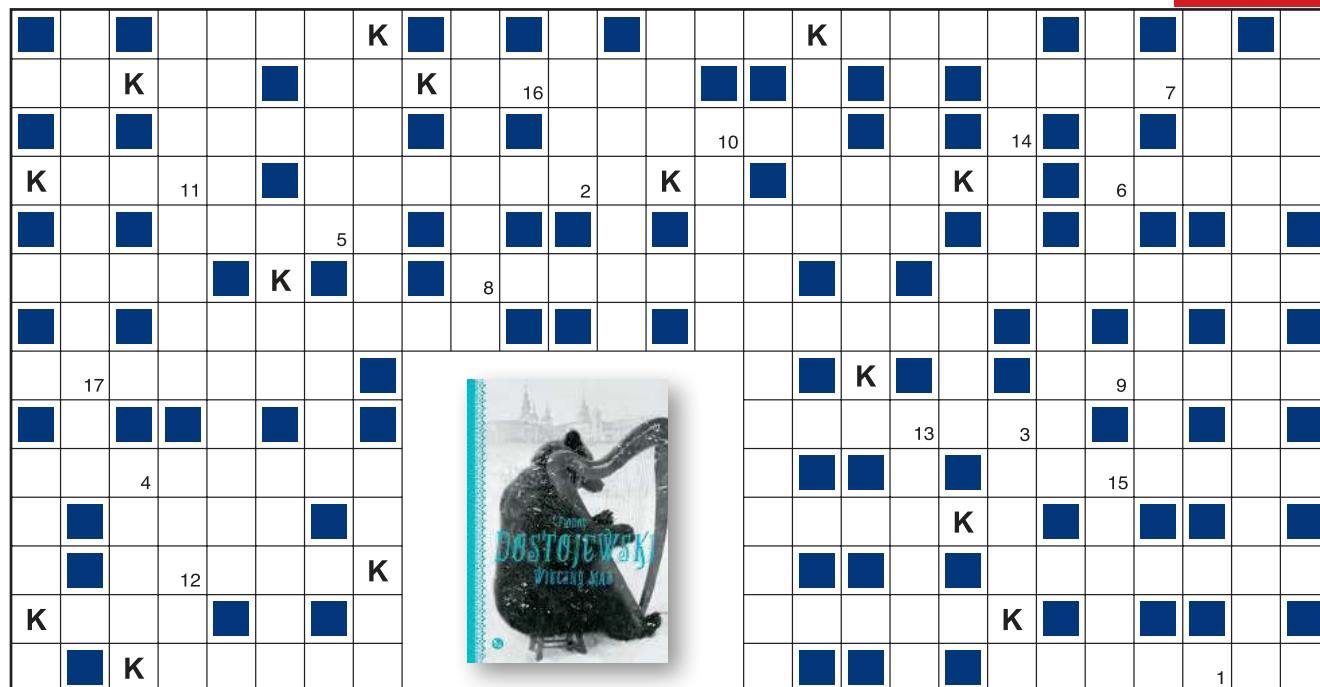
„Dobra zmiana” ma się dobrze.

Attaché

Zdjęcia roku AFP

Ponowna wygrana w wyborach prezydenckich w Hondurasie konserwatywnego Juana Orlanda Hernándezza wywołała falę protestów. Nz. zwolenniczka kontrkandydata – Salvadora Nasrallii.





1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17
---	---	---	---	---	---	---	---	---	----	----	----	----	----	----	----	----

Objaśnienia są podane w kolejności alfabetycznej odgadanych wyrazów. Miejsce wpisu do odgadnięcia. Wszystkie litery K ujawniono. Litery z pól ponumerowanych od 1 do 17 utworzą końcowe hasło.

- ulotka lub mówka propagandowa
- Fernando w bolidzie
- dawniej nazywany inzeratem
- opracowuje melodie lub organizuje, urządza
- Tatarzyn jeńca na nim wiódł
- zespół gości łączących rękę z tułowiem
- z nią człowiek w tytule filmu z Alem Pacino

- niegdyś kosztowna, błękitna tkanina jedwabna
- fuszer, partacz
- ciężar towaru z opakowaniem
- kontroler publikacji
- szmirowaty utwór
- ptak i dawna łódź kozacka
- piosenkarka Zawiałów lub aktorka Widawska
- ścisłego zarachowania

- hoża i dorodna pannica
- z aulosem Euterpe, ona z kitarą
- główny ośrodek Zagłębia Ruhry
- drzewo w grądzie
- prowadzenie jachtu zmiennym kursem pod wiatr
- ipsylon
- czajnik
- "... z Aldebarana"
- Stanisława Lema
- Grzegorz, reżyser teatralny
- łosza i wyzwiszko
- o zacofoanym, ograniczonym
- placowy nie na dachu
- dółków pod kims
- do chemicznego udrożniania rur
- twardy, kolorowy cukierek

- sen jak śmierć, bezwład
- Abrahama lub natury
- "... 1" z cyklu „Gwiezdnych wojen”
- narodowość
- biblijny odpowiednik mezopotamskiego Utanapisztima
- ...Roberts, autorka romansów
- tam sporządzane akty poświadczenia dziedziczenia
- może być o 180 stopni
- skraj, krawędź
- kostium dla plażowiczki
- od przedszkola do niego w tytule programu
- np. noworoczne głowy państwa
- silny wiatr połączony z burzą
- roślinny narodowy symbol Szkocji
- ogrodzony wybieg dla koni
- palenie elektronicznego też szkodzi
- parząca roślina

- np. od nowego roku rzućmy słodycze
- powieść z Rochem Kowalskim
- można trafić w czuły
- stopień w hierarchii wojskowej
- do ubijania śniegu na stoku w Zakopanem
- zrolowany filet śledziowy
- dotknęła bankruta
- twarzy lub w Tatrach
- jego mama
- przy leśnym paśniku
- bełchałowski klub siatkarski
- klub Ryszarda Ochódzkiego
- roślina zwana też fuksją
- nad morzem odpoczywa od pracy
- umyślnie niszczy
- pseudonim Gomułki
- bywa nie do wykonania
- wyraz z połączenia dwóch lub trzech
- papirusa to atrybut Klio

KUPON JOLKI „Przeglądu”

hasło:

imię i nazwisko:

adres:

Ja, niżej podpisany(a), wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych przez Fundację Oratio Recta z siedzibą w Warszawie, ul. Inżynierska 3 lok. 7, 03-410 Warszawa, w celu niezbędnym do rozwiązania jolki w „Przeglądzie”, opublikowania moich danych osobowych na łamach tygodnika w razie wygranej i przesłania mi nagrody. Oświadczam, że zostałem(am) poinformowany(a) o dobrowolności podania danych osobowych, o prawie wglądu do moich danych, prawie do ich poprawiania i usuwania.

data, miejscowość

czytelny podpis

Rozwiązania samego szyfru prosimy nadsyłać w ciągu 14 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji, z dopiskiem na kopercie lub pocztówce: „JOLKA-888”. Do rozlosowania książki „Wieczny mąż” ufundowane przez Wydawnictwo MG. Rozwiązanie można wysłać też z telefonu, pisząc SMS o treści: KRPRZ.XXX.HASŁO KRZYŻÓWKI. W miejsce XXX wpisujemy numer krzyżówki (uwaga, stosować tylko litery, cyfry i kropki, wielkość liter nie ma znaczenia). Osoby nadsyłające rozwiązania wyrażają tym samym zgodę na przetwarzanie ich danych osobowych. SMS-y należy wysłać pod numer 72550 (płatny 2,46 PLN + VAT) do 20 grudnia 2018 r.

Rozwiązanie „JOLKI-885” z 2 grudnia: Uparty płacze do skutku.
Nagrody otrzymują: Zenon Czajczyc z Olsztyna, Ryszard Jarzembowski z Włocławka, Krystyna Paluch z Czechowic-Dziedzic.

PENETRACJE

WOLNOMULARZ
POLSKI

PROF. TADEUSZ CEGIELSKI,
HISTORYK

Moja deklaracja będzie deklaracją historyka, który jest tej samej złej myśli, co Andrzej Friszke. Obaj obawiamy się, że dojdzie do rozlewu krwi. Pretekst czy sygnał może wyjść z obu stron, nie można wykluczyć prowokacji. Podkreślam więc: to nie ma żadnego przełożenia na masonerię, tutaj zachowuję wstrzemięźliwość jak zdecydowana większość polskich wolnomularzy. Wyrażam jedynie najwyższe zaniepokojenie rozwojem sytuacji; mam poważne obawy co do przyszłości naszego kraju, obawy, które ocierają się o pewność. Dodam coś, co wynika tak z mojego temperamentu, jak i doświadczenia. W sprawie, o której mowa, każdy musi robić to, co do niego należy. Koniecznie. Nie można się bać. Bo najgorszą rzeczą jest właśnie strach.

DOGMATU

MICHAŁ KOZŁOWSKI,
PUBLICYSTA

Porównania do Hitlera często bywają absurdalne, niekiedy są hiperbolami, kiedy indziej zwykłymi inwektywami. Jednak czy zawsze? Wbrew potocznemu mniemaniu porównywanie nie oznacza zrównywania, ale odnajduje podobieństwa i różnice, umieszcza w kontekście, jest częścią procesu rozumienia. Idea, że nikogo i niczego nie wolno porównywać z Hitlerem, oznacza, że postać Hitlera staje się uniwersalnym alibi, zamiast być ostrzeżeniem i probierzem tego, co śmiertelnie niebezpieczne.

MONDE
diplomatique

MICHAŁ RAUSZER,
ANTROPOLOG, UW

Bez zrozumienia tego, że chłopcy nie mieli prawa być częścią narodu, a szlachta uważała ich w najlepszym razie za podludzi, nie zrozumiemy ruchów emancypacyjnych w XIX w. Symbolem tego wszystkiego są stojące jeszcze w wielu miejscach na wschodzie kraju wznoszone przez samych chłopów pomniki z okazji zniesienia pańszczyzny. Pomniki te wznoszono dla cesarza i cara w podziękę za emancypację. Jeżeli taki pomnik miał szczęście być schowany gdzieś głęboko na prowincji (jak np. w Hucie Kryształowej na Roztoczu), to przetrwał. Dlaczego „polski” chłop miałby wznosić pomnik carowi? Wtedy, kiedy go wznosił, chłop nie miał prawa ani nie chciał się czuć Polakiem. Dlatego że kojarzyło mu się to ze znienawidzonym panem, dla którego musiał wykonywać pracę niewolną.

STYL

BARBARA KRAFFTÓWNA,
AKTORKA

Ze zdumieniem przyjmuję, że mijają lata, a ludzie wciąż Honoratę lubią i pamiętają. Jestem szczęśliwa, że zaistniałam w „Czterech pancernych i psie”. Nawet zorganizowano dla nas festiwal filmów Krafftówny i Pieczki w Modle Królewskiej. A kiedy pojawia się gdzieś oddzielnie, to jestem pytana o Gustlika, jego pytają o Honoratę. Taką po sobie zostawimy dla świata pieczęć.



Zdjęcia roku AFP. Ważenie w szpitalu dwuletniego chłopca. Organizacje humanitarne alarmują, że w Jemenie z powodu wojny domowej 5,2 mln dzieci jest zagrożonych głodem.

FOT. AFP/EAST NEWS

Aby język giętki...

BP TADEUSZ PIERONEK
O TELEWIZJI TRWAM

Zaproponowałem, żeby mnie zaprosili i posadzili naprzeciw Rydzyka. Do dziś czekam na odpowiedź.

ALEKSANDER HALL
O MATEUSZU MORAWIECKIM

Jest coś zdecydowanie niesmacznego w manierze tego polityka, który sam sobie wystawia laurki.

HENRYK MARTENKA
O STANISŁAWIE KARCZEWSKIM

Nie jest to mąż nadzwyczaj inteligentny i w sprawie KNF niewątpliwie różnie głupa.

WOJCIECH SMARZOWSKI
O TYM, DOKĄD ZMIERZAMY

Na razie zmierzamy w kierunku totalitarnego państwa wyznaniowego. Tyle że po cichu liczę na niepokorność Polaków.

PROF. ZBIGNIEW LEW-STAROWICZ
O OBRONIE KSIĘŻY

Do diabła! Badałem kilkudziesięciu księży i prawie wszyscy zostali skazani.

MARIUSZ SZCZYGIEL
O TYM, CZEGO SIĘ WSTYDZI

Kiedy zapomnę torby płóciennej i muszę kupić reklamówkę.

DAWID CELT
O ŻONIE AGNIESZCE RADWAŃSKIEJ

Życie w permanentnym stresie doprowadziło do ogromnego zmęczenia układu nerwowego, coraz gorzej radziła sobie z emocjami.

MAJA KŁECZEWSKA O MĘŻCZYZNACH

Nie chcą podzielić się władzą. Mówią oczywiście, że chcą, ale nie chcą. Mało tego, chcą kontrolować kobiety i ich ciała.

EUGENIUSZ KORIN O PRZEWIDYWANIU

Umiejętność niby potrzebna, ale często odbierająca radość życia. Psychicznie czuję się, jakbym przeżył już ze 150 lat.

KATARZYNA WARNEKE
O SŁOWIE ŁADNIE

Nie znoszę tego słowa. Ładnie to dla mnie znaczy przeciętnie i nijako.

Prezenty od aplikacji

Coraz więcej konsumentów korzysta przed świętami z pomocy sztucznej inteligencji, po to by kupić trafione prezenty pod choinkę. Aplikacje oparte na algorytmach mogą śledzić aktywność naszych bliskich na portalach społecznościowych, obserwować ich działania, polubienia, kliknięcia i kategorie wyszukiwania. Na tej podstawie tworzą listę artykułów dopasowanych do konkretnego użytkownika. Próbuje przewidywać, co kupić danej osobie, algorytm opiera się również na trendach świątecznych. Pułapką korzystania z aplikacji mogą być jednak zmasowane prezenty (takie, które są w danej chwili modne) oraz ich dublowanie. Może więc lepiej kupić coś od serca?

Jobs przebił Trumpa

Firma Paul Fraser Collectibles, specjalizująca się w handlu przedmiotami kolekcjonerskimi, wycenia autograf Steve'a Jobsa na 51 tys. dol. Cena jest tak wysoka, gdyż Jobs niechętnie dawał autografy, podkreślając, że sukces Apple'a to osiągnięcie całego zespołu. Dla porównania – zdjęcie z autografem prezydenta Donalda Trumpa jest wyceniane na ok. 830 dol.

Rodzinny samolot

Słynny argentyński piłkarz FC Barcelona Lionel Messi kupił ostatnio za 15 mln dol. samolot Gulfstream V. Na pokładzie są miejsca dla 16 osób. Samolot będzie spersonalizowany – na sterze namalowany zostanie nr 10, z którym Messi występuje w reprezentacji Argentyny i w Barcelonie. Na schodkach prowadzących na pokład zostaną wypisane imiona trójki jego dzieci, żony oraz samego piłkarza.

MEMY BEZ ŚCIEMY



Pod różną szerokością geograficzną – nie ma jak u mamy. Tygrysica bengalska Clarita z potomstwem w zoo w Limie w Peru, a gorylica Sheila z noworodkiem w zoo w Saint-Aignan we Francji.

Robot pośrednik

W Japonii powstała restauracja Dawn ver.β, w której klientów obsługują roboty humanoidalne. Nie byłoby w tym nic nadzwyczajnego, powstaje bowiem coraz więcej miejsc, gdzie ludzi zastępują roboty, gdyby nie fakt, że w tym przypadku roboty są sterowane zdalnie przez osoby niepełnosprawne i sparaliżowane. Roboty odgrywają rolę ludzkich awatarów, które umożliwiają wykonanie wszystkich czynności, a dodatkowo pozwalają utrzymać kontakt wizualny i dźwiękowy z klientami. W tej chwili restauracja zatrudnia 10 niepełnosprawnych osób, chorujących na stwardnienie zanikowe boczne.

Unikać w ciąży

Naukowcy z Uniwersytetu Kalifornijskiego w Berkeley przeprowadzili badanie wpływu składników zawartych w kosmetykach na wcześniejsze dojrzewanie płciowe. Objęto nim 338 dzieci – od urodzenia do wieku nastoletniego. Wcześniej, gdy matki były w ciąży, pobrano od nich próbki moczu, w których sprawdzano poziom różnych chemikaliów obecnych w kosmetykach. Teraz





JAK MÓWIĆ „NIE!”

- Dzięki, ale nie skorzystam
- Wykluczone
- Nie czuję się z tym komfortowo, więc odpowiedź brzmi „nie”
- Nie, ale dziękuję za propozycję
- Jaki cudowny pomysł. Żałuję, że do was nie dołączę
- Po prostu nie mogę
- Brzmi świetnie, ale to nie dla mnie
- Znam swoje granice i muszę je szanować
- Nie mogę, robię sobie przerwę od...
- Nie, nie chcę

Na podstawie: Regina Brett,
Mów własnym głosem, Insignis,
Kraków 2018

charaktery
magazyn psychologiczny

okazało się, że u połowy dziewcząt z grupy badanych dzieci pierwsza miesiączka wystąpiła nieco po 10. roku życia, widoczny był również szybszy wzrost piersi. Naukowcy powiązali to z wyższym stężeniem triklosanu i 2,4-dichlorofenyli, a także parabenów w kosmetykach używanych w ciąży przez matki. U chłopców w zasadzie nie odnotowano wpływu tych chemikaliów na szybsze dojrzewanie.

Wpadli, bo zdradzał

Pewna kobieta z Palermo we Włoszech postanowiła zawiadomić Gwardię Finansową o niezdyscyplinowaniu małżonka, gdyż przypuszczała, że jej mąż zdradza ją, kiedy wymyka się z pracy w sycylijskim urzędzie regionalnym. Służby postanowiły zająć się sprawą, ponieważ uchylanie się od obowiązków jest we Włoszech traktowane jako oszustwo. Ukryte kamery potwierdziły niestety przypuszczenia zdradzanej żony, ale przy okazji zarejestrowały 41 innych pracowników, którzy w godzinach pracy wychodzili np. do fryzjera czy na zakupy. Wszystkim przytłaczanym prokuratura postawiła już zarzuty popełnienia oszustwa.



ADRES REDAKCJI
03-410 Warszawa,
ul. Inżynierska 3 lok. 7
Telefony +48 22 635 84 10,
+48 503 158 795, 503 159 027
fax +48 22 635 84 10 wew. 119
przeglad@tygodnikprzeglad.pl

www.tygodnikprzeglad.pl

Redaktor naczelny: Jerzy Domański
e-mail: j.domanski@tygodnikprzeglad.pl
Pierwszy zastępca redaktora naczelnego: Paweł Dybicz
e-mail: p.dybicz@tygodnikprzeglad.pl
Zastępca redaktora naczelnego
– **sekretarz redakcji:** Joanna Wielgat
e-mail: j.wielgat@tygodnikprzeglad.pl
Sekretarz redakcji: Agata Gogółkiewicz
e-mail: a.gogolkiewicz@tygodnikprzeglad.pl
Zastępca sekretarza redakcji: Aleksandra Pańko
e-mail: a.panko@tygodnikprzeglad.pl

ZESPÓŁ I WSPÓŁPRACOWNICY:
Julian Bartosz (Wrocław), Tomasz Borejza (Kraków),
Marek Czarkowski, Regina Dachówna (Zielona Góra),
Paweł Drag, Beata Dżon (Wiedeń), Leszek Konarski (Kraków),
Marek Książek (Olsztyn), Helena Leman (Malbork),
Kacper Leśniewicz, Maja Markowska-Dzierżak,
Mateusz Mazzini, Tomasz Miłkowski, Lech Miodek,
Jan Ordyński, Wojciech Osiniński (Berlin), Maciej Polkowski,
Michał Sobczyk, Małgorzata Szczepańska-Piszcz (Bydgoszcz),
Konrad Szelest, Bronisław Tumiłowicz, Krzysztof Wasilewski,
Andrzej Werblan, Roman Wojciechowski,
Elżbieta Wojtalik-Soroczyńska, Artur Zaborski,
Beata Znamirska-Soczawa (Bielsko-Biała)

Stali felietoniści: Tomasz Jastrun, Roman Kurkiewicz,
Bronisław Łagowski, Edward Mikolajczyk, Ludwik
Stomma, Jan Widacki, Agnieszka Wolny-Hamkało,
Rysownicy: Grzegorz Bąkowski, Kain May,
[Małgorzata Tabaka]
Studio graficzne: Dorota Markowska-Burbelka,
Anna Rosiak
Dyrektor artystyczny: Izabela Mierzejewska
Fotodzyktor: Magdalena Głuska
Fotoreporterzy: Leopold Dzikowski, Krzysztof Żuczkowski

Dyrektor ds. wydawniczych i reklamy:
Anna Banaszek e-mail: a.banaszek@tygodnikprzeglad.pl
Wicedyrektor ds. wydawniczych i reklamy:
Agata Mierzejewska e-mail: a.mierzejewska@tygodnikprzeglad.pl
Kierownik sekretariatu fundacji i redakcji:
Sandra Zawadzka
Dział Kolportażu:
tel. +48 22 635 84 10 wew. 120
e-mail: kolportaz@tygodnikprzeglad.pl
Wydawnictwa książkowe:
tel. +48 22 635 84 10 wew. 111
e-mail: sklep@tygodnikprzeglad.pl

Prenumerata. Prenumeratę krajową i zagraniczną od dowolnego numeru można zamówić w Dziale Kolportażu.
Sprzedaż elektroniczna: www.sklep.tygodnikprzeglad.pl

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo do opracowywania i skracania tekstów. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w PRZEGŁADZIE bez zgody wydawcy jest zabronione. Przedruki po uzyskaniu zgody wydawcy.

Sprzedaż numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez wydawcę jest nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

Druk: Quad/Graphics Europe Sp. z o.o.
07-200 Wyszów, ul. Pułtowska 120

WYDAWCA:
Fundacja Oratio Recta
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
NIP: 951-19-67-251, REGON: 016275090
KOD SWIFT: WBKPLPP, **IBAN:** PL
Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821





Hawrot + Krajewska + Waliszewska

Galeria Leto, Warszawa, ul. Dzielna 5
Od 18 grudnia do 10 stycznia

Japońskie kimono po raz kolejny zostało zinterpretowane przez modę. A w projekcie Hawrot & Waliszewska w obiektywie Zuzy Krajewskiej – przez modę i sztukę. Baśniowe, mroczne prace malarki Aleksandry Waliszewskiej trafiły na tkaniny. Za ich miękkie lądowanie odpowiada Gosia Nierodzińska. Projektantka Joanna Hawrot proponuje, by podejść do mody jak do sztuki i kolekcjonować ubrania, tak jak kolekcjonuje się dobrą sztukę. Najnowsza kolekcja Joanny Hawrot to 16 kimon, których funkcję wybierają noszące je osoby – mogą być szlafrokiem, marynarką, suknią albo płaszczem.



Akademia Humanistyczna

im. Aleksandra Gieysztora



Administracja
Historia
Pedagogika
Politologia
Bezpieczeństwo
Narodowe

seminaria doktorskie
w dyscyplinie historii i nauk o polityce

studia I stopnia • studia II stopnia • studia podyplomowe

INFORMACJE I ZAPISY

Dziekanaty właściwych Wydziałów
ul. Mickiewicza 36B, Pułtusk

www.ah.edu.pl

SYLWESTER 2018/2019

Przywitaj Nowy Rok z Gwiazdami TEATRU CAPITOL

PRZEKŁAD Emilia Miłkowska

KOSTIUMY Tomasz Jaczków

Billy Van Zandt & Jane Milmore
Dwie PARY do PARY
REŻYSERIA
Olaf Lubaszenko



START 17:30 oraz 21:30

MULTIKINO Ursynów - Al. KEN 60



Do każdego spektaklu: poczęstunek i kieliszek wina!



START 17:30 oraz 21:30

Bilety już od 139 zł

KINO Elektronik - Ul. Gen. Zajęczka 7

Bilety i szczegóły: teatrcapitol.pl